gratis [illegible]

PIEŚNI I PIOSENKI

MARYI SZELIGI. Mirecka

WARSZAWA.

Nakładem Wydawnictwa S. Czarnowskiego i Sp., ulica Chmielna № 8.

Drukiem Aleksandra Pajewskiego, ulica Niecała № 12.

1873.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 25 Іюня 1873 года.

KONSTANCYI MIRECKIEJ

tę pracę poświęca

AUTORKA.

URSZULA ZMORSKA.

I.

Między lasem ponurym i olszowym gajem,
Leżała wieś. Jéj białe, rozrzucone chaty,
Skromne budową; znać je chłopek niebogaty
Stawiał w mozole, trudzie, odwiecznym zwyczajem:
Sklecił z kawałków drzewa, pokrył lichą słomą,
I mieszkał w niéj nie troszcząc się o chłód i słotę;
Powierzchowność wsi polskiéj—wszakże nam znajomą,
Tylko że większość z wzgardą pátrzy na nędzotę,
Że mając zagraniczny komfort w wyobraźni,
Ten widok oczy pańskie nieprzyjemnie drażni,
Bo prosty, sielski, zwykły,—a niewymuszony!—
Co do mnie, choć znam wszystkie słabe nasze strony,
Cenię ład, i porządek, i dobrobyt innych,
Przecież do swych ojczystych stron i miejsc rodzinnych
Sercem ciągnę, i wdzięku dla mnie mają wiele;
A nasze wioski małe, ubogie choć liczne,
Wydają mi się miłe—nawet się ośmielę
I pięknemi je nazwać! tak są poetyczne
Rozmaitością swoją i prostotą jawną,
Jak lud, który w nich mieszka!—

Było to niedawno.

Po zniknięciu ostatnich promieni słonecznych—
Wieczór cichy, pogodny opadał na ziemię,

Zbudził się rój komarów, co w dzień niby drzemie,
I zmieszawszy się z chórem owadów nadrzecznych,
Cichym jękiem wtorują krzykom żabiej rzeszy.
Słowik rozpoczął piosnkę, gardząc tym hałasem,
Ale strwożony umilkł; silniejszy pod lasem
Zabrzmiał śpiew. Dziatwa wiejska śpiewając gdzieś śpieszy,
I przerywając koncert wieczorny, natury,
Pędzi z głośnym okrzykiem, śmiechem, skacząc żwawo,
Aż do stojącej we wsi, przy drodze, figury,
Biegnąc, świszcząc, zbaczając na lewo i prawo.
Wreszcie Pana Jezusa otoczyli kołem,
Co tam wisiał na krzyżu z pokrwawionem czołem,
Na ich zabawy codzień poglądał z wysoka,
A gdy dziatwa igrała wesoło, swobodnie,
Zdało się, że uśmiechał się do nich łagodnie
Twarzą, gdzie obok bólu jest litość głęboka.
Obok figury rosły akacyje, topole
I w czerwone korale strojna jarzębina;
Daléj—była kwiecista łąka i dolina;
Potem ciemny bór, rzeka—bliżéj—chłopskie role.
Oto i cały obraz. Ale któż opowie,
Ile powabu, piękna, wdzięku się mieściło,
Jak cudnie słońce w wodzie swe blaski odbiło,
Ile niezapominek kwitło ślicznie w rowie,
Jak zboże wykłoszone w polu falowało,
Ile ptasząt na wyścig z dziatwą świergotało,
Jak się zdala odzywał dźwięk pastuszéj fletni,
I jaki był czarowny, cichy wieczór letni?!...

Między dziatwą rumianą, czerstwą, jasnowłosą,
Odznaczało się dziewczę, ośmiolatka może,
Czarnemi oczętami i swą kruczą kosą,
I cerą lilijową;—a tak było hoże,

Takie zręczne i smukłe, jak topolka młoda,
Że musiała zadziwić ta cudna uroda,
Ten typ odmienny, obcy, wschodni—i uroczy.
Szczególniéj piękne, duże, miała czarne oczy!
Takie błyszczące, mądre, głębokie, gwiaździste,
Otaczały je długie rzęsy jedwabiste,
A gdy się malinowe usta rozchyliły,
To równiejsze i bielsze nad perły urjańskie,
Prześliczne rzędy ząbków drobnych wabnie lśniły,
A rączka, nóżka, kibić—rzekłbyś—dziecko pańskie!

Bo też i nie wieśniacza była to dziewczyna:
Ojciec jéj, grojse puryc, arendarz z téj wioski,
Dzierżawca propinacyi, i pachtu, i młyna,
Wiódł żywot pracowity, lecz prawie bez troski,
Bo mu się dobrze działo—miał pieniądz, rodzinę;
To i szczęście dla żyda! Nie pragnął też więcéj;
A po rublu, ukochał sercem najgoręcéj;
Swoją Miryam, najmłodszą, najmilszą dziecinę,
Bo była taka piękna, dowcipna i śmiała.
Ojciec marzył—wpatrując się w dziecko miłośnie,
Że z niéj będzie ich rodu bogactwo i chwała,
Bo on ją wyda, jeśli szczęśliwie dorośnie,
I zachowa się taka ładna, dobra taka!
Za najbogatszych kupców syna jedynaka,
Z sąsiedniego miasteczka, gładziuchnego żydka,
Z czerwonemi pejsami hussytę Dawidka!
Ach! i cmokał z radości na tę myśl tak miłą,
I patrzył znów, i serce mu się weseliło!
A mała Miryam, rosnąc swobodnie tymczasem,
Bawiła się z wiejskiemi dziećmi, to pod lasem,
To u figury—razem dzieląc ich igraszki,
Śpiewy, pląsy, wyprawy, skoki i gonitwy,

A często ich pacierze, pieśni i modlitwy.
A lubiła swobodę, niby leśne ptaszki,
I rodzice nie mogli jéj w domu utrzymać;
Więc choć na te zabawy z gojem źle patrzyli,
Zaczęli jéj tłumaczyć, gorszyć się i zżymać,
Gdy Miryam zapłakała—wszystko pozwolili!
Starsze dzieci Mośkowe wciąż się uwijały
Po izbie, po podwórzu, lub w kącie drzemały;
Ale Miryam, gdy słońce zabłysło z okienek,
Zrywała się z posłania—w białéj koszulinie,
Nawet nie narzucając na siebie sukienek,
Biegła jakby sarenka po ładnéj dolinie,
Ledwo muskając trawy swoją nóżką bosą,
Lubując się kwiatami, i słońcem i rosą.
A gdy stanęła cicho nad rzeką srebrzystą,
I utopiła oczy w błyszczącéj topieli,
A słońce ją oblało łuną pozłocistą,
Lub gdy przyszła jéj chętka używać kąpieli,
I zrzuciła koszulkę, pluskając się w wodzie
Z bezwiedną kokieterją, z wdziękiem niezrównanym,
Każdy byłby się dziwił téj cudnéj urodzie,
I czując zachwycenie, byłby przekonanym,
Że ujrzał niespodzianie—nie żydowskie dziecię,
Ale jakąś nadludzką, cudowną istotę,
Co zawsze żyjąc w elfów i rusałek świecie,
Dziś się zjawiła jego oczom—przez pustotę.

Mała Miryam lubiona była przez wieś całą,
Przez dziatwę i przez starszych:—każdego zjednało
Jéj pełne niewinności, a śmiałe spojrzenie,
A jeśli przemówiła dźwięcznie, pieszczotliwie,
To w każdem sercu nikła niechęć, uprzedzenie
Do żydówki. Więc dnie jéj płynęły szczęśliwie,

Wszyscy jéj dogadzali, nie znała cierpienia.
Chyba że jakieś smętne przeczucia, marzenia,
Niepokoiły duszę myślącéj dziewczyny,
Bo czasem w dal wpatrzona i długie godziny
Stała, wznosząc ku niebu anielskie oblicze,
I miała wtedy oczy dziwnie tajemnicze,
I uśmiech nikł z usteczek nawpół niedomkniętych,
Zdawała się zagłębiać w rzeczach niepojętych,
A wtedy, nawet dziatwy prośby i wołania,
Nie zawsze ją wyrwały z dziwnego dumania.

Ale dziś—Miryam była żywą i wesołą,
Dzieci ją okrążyły, wziąwszy się za ręce,
I wykrzykując, wielkie utworzyły koło.
Ona była w pośrodku. Ot! figle dziecięce;
Nie chcieli jéj wypuścić, aż przerwie to kółko,
Lub przeskoczy, lub zręcznie wyśliznąć się zdoła,
I kto inny znów będzie musiał iść do koła.
Ta zabawa się zwała u dzieci „Jaskółką."
Bo uwięziony w kole, był niby ptaszyna,
Co schwytana, z rąk dzieci uwolnić się stara.
—Podczas gdy się tak bawi wioskowa drużyna
Na drodze zatętniło; ogromna landara,
Zaprzężona w pięć koni, szumnie wyzłocona,
Wychyliła się z boru i jechała zwolna,
Zmierzając ku figurze.—Gromadka swawolna,
Zrazu się przyczaiła—a potem spłoszona,
Pierzchła na wszystkie strony. Tylko Miryam mała
Na widok niezwyczajny patrząc z ciekawością,
Na wzgórku pod figurą wciąż spokojnie stała.
Czy zdziwieni przestrachem tamtych, téj śmiałością,
Czy z jakich innych przyczyn—właściciel landary
Skinął ręką—stanęli—drzwiczki otworzyli,

I piękna młoda pani, a za nią pan stary,
Ku stojącéj dziewczynie prosto się zbliżyli.
—No cóż—zaczęła dama—czy się nas nie boisz,
Że nie myślisz uciekać i na miejscu stoisz?
—Nie!—odparła podnosząc oczy niezmącone,
I wstrząsnęła swe włoski czarne a kręcone.
—A wiesz kto my? —Nie! nie wiem! podróżni zapewne.
—*Tiens!*—zawołała dama—ona mię *charmuje!*
— Mnie bawi!—rzekł towarzysz—i bardzo zajmuje,
Uważasz ty jéj rysy—z wschodniemi pokrewne?
—Jak się nazywasz? —Miryam! —Jakie dziwne miano!
Czyliż ci na chrzcie świętym takie imie dano?
—Nie, pani! jam nie chrzczona! —A czyjaż ty? —Żyda!
—Żydówka! a! poznałem!—mówił pan z uśmiechem.
—Być nie może! wiesz, *mon cher!* może się tu wyda
Tajemnica! zaniedbać to byłoby grzechem!
Może to jakie dziecko przez żydów skradzione!
Patrz tylko jakie piękne! jakby wyrzeźbione!
To mówiąc pani bierze dziecinę za ramię,
—Mów prawdę—zkąd tyś rodem? —Ależ ja nie kłamię!
Mój ojciec trzyma tutaj pacht i młyn w arendzie,
I nazywa się Mosiek! —Parbleu! ta dziewczyna
Jakiś mi cudny obraz włoski przypomina!
Wiesz mon cher co zrobimy? —Tak najlepiéj będzie,
Jako ty postanowisz!—odparł bardzo grzecznie.
—Téj cudownéj dziewczyny tutaj nie zostawim,
Zabierzem ją, ochrzcimy i duszę jéj zbawim!
—Kiedy to—rzekł małżonek—trochę niebezpiecznie,
Porwanie, uwiezienie! —Ha! ha! ty się boisz!
Pauvre bête!—Lecz moja droga! bo ja nie wiedziałem,
Że przy swoim projekcie już tak mocno stoisz...
Jeśli chcesz... lubo lepiéj... bo ja tylko chciałem!...
—*Assez!*—wyrzekła dama—no mała, chodź z nami!

—Ja nie chcę!—rzekła Miryam—wolę z dzieciakami
Pójść i znowu w jaskółkę i pliszki się bawić!
—Ale ja nie chcę ciebie dłużéj tu zostawić
Wśród grzechu i zepsucia! zabiorę cię z sobą,
Dam ci cacek, łakoci i zajmę się tobą,
Ochrzczę cię i nauczyć po francuzku każę.
No! chodź, zobacz jak pięknie jest w naszéj landarze!
Miryam zaciekawiona zbliżyła się nieco,
Państwo wsiedli—znak dano—lokaj wsadził dziecko
I zaraz potem drzwiczki zatrzasnął zdradziecko,
Stangret świsnął—i konie jak skrzydlate lecą.
Tuman kurzu się podniósł i wlókł się szarawy,
Przybiegła dziatwa—strasznéj narobiła wrzawy,
I uciekła do domów, mocno przekonana,
Że Miryam przez złe duchy została porwana!
I kto wie—ile prawdy było w przypuszczeniu!
Mosiek, gdy się dowiedział—rozpaczał jak wściekły,
Gorzkie łzy mu po bladem licu strugą ciekły,
I podniosłszy wzrok w górę, w strasznem uniesieniu
Wzywał piorunów, groźnie przeklinał goima!
A matka, z spuchniętemi od płaczu oczyma,
Ciągle nadsłuchiwała, bo jéj się zdawało,
Że Miryam biegnie, mówi!—to znów, że tak płacze,
Aż się serce matczyne boleścią szarpało.
I długo trwały w domu te straszne rozpacze,
A pomimo starania—dojść nie mogli wcale,
Kto im córkę tak porwał nagle i zuchwale?—
Kareta, państwo, Miryam—przepadli bez wieści
I zagasł im nadziei promyczek jedyny.
Więc Mosiek musiał poddać się strasznéj boleści:
I w domu odprawiali po córce bosiny,
Jak po zmarłéj—popiołem posypali głowy,
I jękliwie zawodząc—wzywali Jehowy.

II.

U hrabiostwa dziś było ogromne przyjęcie.
Hrabina się nudziła, ziewała co chwila,
A że czuły małżonek życie jéj umila,
I co ona pomyśli, on wykona święcie.
Więc gdy pani bąknęła, że lubi mieć gości,
Nie było pilniejszego nic dla jegomości,
Jak całą okolicę na suty bal sprosić.
Hrabina nie przestała się jeszcze unosić:
Że pałac ma sal mało, obicie nie nowe,
Że jéj brzydkie przysłano ubranie balowe,
Jednak przed samym balem twarz rozpogodziła
I mężowi łaskawie dłoń podać raczyła.
Potem zleciwszy gości mu przybyłych bawić.
Sama, z miną swojego już pewnéj kobiety,
Kazała kilkanaście świec sztucznie ustawić,
I rozpoczęła obrzęd swojéj tualety.
Nie była już młodziutką, ale jeszcze ładną;
Miała czoło wysokie, nos orli, wzrok śmiały.
Kibić dosyć otyłą, ale przytem składną,
Włosy upudrowane i gors bardzo biały;
Przywykła rozkazywać, miała ruchy męzkie,
Spojrzenie burych oczu niezmiernie zwycięzkie.
Ale usta wydatne, rumiane, namiętne,
Mała i pulchna ręka—były dość ponętne.
Ubierała się przytem zalotnie, starannie,
Więc mówiono ogólnie—że chociaż hrabina
Nieprzyjemną trzydziestkę już pono zaczyna,
Lecz może przy najmłodszej podobać się pannie.
Wiedziała o tem dobrze. Hrabia był niemłody,
Cichego charakteru, kochał bez zazdrości;
Więc hrabina robiła próby zalotności,

Bez najmniejszéj ze strony małżonka przeszkody.
Jeszcze dawniéj skłonności swe wzajem pojęli:
Ona lubiła stroje, przepych, wielbicieli,
On kolekcje, antyki, książki, numizmaty,
Storczyki — a niekiedy — ładne *żywe* kwiaty.
A więc nie mieli sobie nic do wyrzucenia,
I żyli pośród szczęścia i wyrozumienia.

Właśnie garderobiana, z pomocą lektorki,
Zasznurowała panią i suknię jéj kładzie,
Na to drugą przejrzystą, w haftowane wzorki,
Potem sama ze sobą w milczącéj naradzie,
To kwiaty, to znów wstęgi do sukni przypina.
A była to przebiegła i zręczna dziewczyna,
U hrabiny w ogromnych łaskach, zachowaniu,
Pierwsza do rady, gdy szło o zmianę w czesaniu,
Gdy hrabina podwyższyć pragnęła swe wdzięki,
Nigdy się nie obyła bez jéj zręcznéj ręki.
Lubił ją też i hrabia za różne usługi,
Mieszkała więc w pałacu przeciąg czasu długi.—
Po za obiciem ściany były skryte drzwiczki.
Ktoś zastukał. — Idź Zuziu! zobacz kto to taki?
Powiedziała hrabina, biorąc rękawiczki,
I różem doprawiając młodości oznaki.
— Książe Stanisław przybył! — Hrabina cisnęła
Róż pod stół. — Książe! poproś! — i cała spłonęła,
Niespokojne ku lustrom rzuciwszy wejrzenie.
— Pani hrabina dzisiaj cudna jak marzenie!
Szybko Zuzia w przelocie wydeklamowała.
Hrabina już swą rączkę komuś podawała,
Ale jéj w uchu zabrzmiał ten komplement mile.
Przed nią stanął mężczyzna, w młodych wdzięków sile,
Wzrost wysoki miał — białe jak u kobiet lice,

Duże, błękitne, tkliwo-namiętne źrenice,
I wargi jak z korala — ale układ śmiały
I wąsik miękki, kręty — i uśmiech wyzwania,
Dorosłego mężczyznę co chwila zdradzały,
I głos co tylko miękkie słóweczka wydzwania,
Miał czasem, niespodzianie ton męzki, głęboki.
Włos jasny w pięknych puklach spadał mu na czoło,
Ruchy miał bardzo zręczne i uczone kroki,
Podaną sobie rączkę pochwycił wesoło
I pocałował szczerze. — A! jakże to grzecznie
Żeś przybył — rzekła z miłym uśmiechem hrabina,
Ściskając paluszkami dłoń swego kuzyna.
— Dziękuję ci, mój Stasiu! dziękuję serdecznie!.
— Ale czyż nie mnie raczéj dziękować należy,
Że moja kuzyneczka zawsze tak łaskawa,
I pośród zabaw, gości i roju młodzieży,
Nie zapomniała — widzę — swego Stanisława?
— Oboje — rzekła ona — godniśmy też siebie,
Ja pomimo wszystkiego — kocham zawsze ciebie.
A ty znów w téj powabnéj, uroczéj Warszawie...
— Ja — przerwał młody książe — ja się tam nie bawię,
Znudziłem się i spleenu dostaję — z rozpaczy!
Ale niech mi hrabina łaskawie wybaczy,
Że się w nią tak upornie wpatruję! — Zmienioną
Znalazłeś może? powiedz! — Tak! jeszcze piękniejszą,
Jeszcze bardziéj niż zwykle milszą, powabniejszą...
— Pochlebca! — rzekła, niby gromiąc go wejrzeniem,
Lecz pulchne ramię wsparła na jego ramieniu,
I skłoniła swe uszko z wdzięcznem przymileniem,
Aby słuchać, co szeptał w czułem uniesieniu.
Tak razem, była wcale przyjemna z nich para.
Ale ktoby się bliżéj przyglądał wszystkiemu,
Byłby dojrzał, że księciu, chłopcu tak młodemu,

Widocznie się nudziło, choć się ukryć stara
Pod maską galanteryi, formuł etykiety.
I z przymusem te gładkie prawił jéj czułości.
Lecz za to w sercu dumnéj i zimnéj Elżbiety
Płonął ogień namiętny, ostatniéj miłości,
Taki, co przepalone na wskroś przejął serce,
Co prowadzi do strasznych, gwałtownych wybuchów,
Co bierze swój początek w maleńkiej iskierce,
Aż pod wpływem szatańskich chyba, złych podmuchów,
Rozszerza się w płomienie krwawe i gorące,
Wszystko co się przeszkodą zwie, gwałtem niszczące.
Takie uczucie nie zna hamulca ni tamy,
Nie cofnie się przed zbrodnią, nie ulęknie kary.
Egoistyczne, chociaż zdolne do ofiary,
Ale w tem, co pomaga skruszyć wstępu bramy
Do bezbożnéj świątyni występnéj miłości,
Gdzie panuje wyłącznie popęd namiętności.
Hrabina z księciem djalog coraz cichszy wiedli,
Zmieniwszy na francuzką tę czułą rozmowę;
Służba dawno zniknęła, więc swobodnie siedli:
Ona pięknego Stasia kształtną, miłą głowę
Do swojéj nagiéj piersi z uczuciem tuliła,
I okiem, i wyrazy, i usty paliła.
Ale jak djament w słońca blaskach, tęczowemi
Kolory, ogniem błyska — zda się iskry rzucać,
Choć sam zimny, — tak książe słowami czułemi
Zastępował uczucie — nie chcąc jéj zasmucać.
— Słuchaj Stasiu! — szeptała gładząc jasne zwoje
Miękkich włosów kochanka, — słuchaj szczęście moje!
Ty może już nie kochasz i miłość udajesz?...
Tyle wdzięków cię wabi — a może — niestety!
Już twe serce do innéj należy kobiety?...
Coraz starszym, piękniejszym i śmielszym się stajesz,

Może pożałowałeś młodzieńczych uniesień?...
Ty ledwo liczysz wiosny — ja zaczęłam jesień,
Zastanów się — i wyznaj mi z całą szczerością;
Ja cię zawsze, mój Stasiu, tkliwie kochać będę,
Jeżeli nie kochanki, to siostry miłością!
Tu hrabina jak rybak co zarzucił wędę,
Nawpół przymkniętem okiem śledzi przyczajona,
Czyli szczęśliwym trafem ryba nie złowiona.
Wiedziała, że Stanisław miał szlachetne serce,
Że kłamstwa się wystrzegał, na obłudę zżymał;
Więc na wabik szczerości chciała przeniewiercę
Odkryć — lub się utwierdzić, że kocha. On trzymał
Jéj kibić w swem objęciu — i milczał przez chwilę,
Hrabina, chociaż wściekła — uśmiecha się mile,
Niepewna, czeka, oddech w swéj piersi tamuje,
Oczy jéj się przymknęły, naprężyła szyja,
Rzekłbyś — na swą ofiarę czychająca żmija!
Nagle — szelest przybycie czyjeś oznajmuje.
— Czego?! — gniewna hrabina groźnie zapytała.
Poznał książe, jak strasznéj uniknął zasadzki,
Co tam wrzało w jéj piersi. Aż jękły posadzki
Gdy tupnęła w nie nogą! — aż Zuzia zadrżała,
Mówiąc: — Pani hrabina może mi wybaczy!...
Panna Urszula Zmorska przed chwilą przybyła,
I natychmiast zapytać mi się poleciła,
Czy ją pani hrabina teraz przyjąć raczy?
— Panna Urszula nadto rozpoczyna szumnie!
Kto śmie dać polecenie mojéj słudze u mnie?!
Zawołać ją! — Zniknęła Zuzia przestraszona,
Książe się pomiarkował i westchnął głęboko —
— Elżuniu! ukochana moja! uwielbiona!
Szeptał śmiałe w jéj twarzy swe utkwiwszy oko:
Czyż nie czujesz, że ciebie ubóstwiam — bogini!

Żem twój wierny poddany! piękna monarchini!
Że moja cała rozkosz w twem uroczem łonie,
W twych prześlicznych usteczkach—w tych...— Tutaj hrabina
Zasłoniła rękami twarz swego kuzyna
I smakowała sercem w téj słodkiéj truciznie!
Ach! któraż nie uwierzy zręcznemu mężczyznie,
Gdy upragnione słowa szepnie jéj do ucha?
Któraż z kobiet takiego wyznania nie słucha?....
Książe rad, że zażegnał taką straszną burzę,
Powstał słysząc krok cudzy — raz jeszcze dłoń ścisnął,
I odjętą od sukni wciąż całował różę,
Lecz wzrokiem na wchodzącéj ciekawie zawisnął.
Hrabina poprawiła ubiór nieco zmięty,
I ku drzwiom obróciła błyszczące wejrzenie,
Znikła surowość — wyraz miała uśmiechnięty.
Z półcienia drzwi, tak cicho, jak powietrzne duchy,
Wychyliła się smukła, powiewna dziewica;
Nie można było dotąd rozeznać jéj lica,
Tylko kibić prześliczną i wspaniałe ruchy.
— Zbliż się Urszulo! czy masz list od przełożonéj?
Daj go! aha! i patent nauki skończonéj,
Dobrze! — Hrabina wzięła papier z rąk przybyłej,
I zaczęła go czytać pilnie. Za zbliżeniem
Dziewicy — książe cofnął się, patrząc z zdumieniem,
Widocznie doznał jakiejś niespodzianki miłéj.
Potok światła jéj postać oblewał jasnością,
I pozwalał dokładnie rozeznać jéj rysy.
Ah! jakże ona była cudowną pięknością:
Wysmukła, giętka, niby topol lub cyprysy,
Cera przyćmiona, ale matowa i gładka
Przebijała się pod nią żyłek błękitnawych,
W których znaczne krwi tętno — delikatna siatka.
Włosy barwy piór kruczych, przy świetle złotawych;

Głowa się zdała chylić od splotów ciężaru;
Ah! a oczy, zachwytne, jak siedlisko czaru!
Bo gdy raz się spojrzenie wkradło pod powieki
Ciemne, jakby żar źrenic ogniem je przepalił,
Toby człowiek rad patrzeć w te oczy przez wieki,
Nigdy się nie nasycił — nigdy nie oddalił!
Nosek prosty, z nozdrzami lekko różowemi,
Usta malutkie, pełne, jak kwiat purpurowe,
Wpół otwarte, ząbkami lśniące perłowemi,
Owal twarzy prześliczny — tylko marmurowe
Wzory greckiéj bogini, tak dziwnéj piękności
Mają kształty — tak pełne wdzięku i czystości.
A przytem miała ona jakiś wyraz smętny,
Lśniące wilgotne oczy, tęskne i marzące,
Usta, jak płynny koral, ruchome, płonące;
Jakiś nieokreślony, czysty, a namiętny
Wdzięk, powab, czar!— Na opis słów mi już brakuje!
Bo piękność nieokreślną jest! Tylko się czuje
Ten wpływ dziwny, niezmierny, wielki —prawie święty!
Książe stał — patrzył — oczom własnym nie chciał wierzyć,
Nieruchomy, jak wzrosły w ziemię — jak zaklęty,
Lecz z téj iskry zachwytu — poczęły się szerzyć
W jego piersi płomienie — i krew mu zawrzała,
Ogień w żyłach popłynął — łuna twarz oblała.
Nagle drgnął — wzrok Urszuli spoczął na nim chwilę,
I po tem wyrazistem obliczu dziewicy
Mignęło coś — wrażenie — nakształt błyskawicy.
Coś ją dotknęło — ale czy przykro, czy mile,
Trudno zgadnąć. — Skończyła czytanie hrabina.
— Przełożona łaskawie o pannie wspomina,
A więc sądzę, że ja też z niéj będę kontenta.
— Pani! — zaczęło dziewczę.— Niech panna pamięta,
Że tylko na pytanie ma mi odpowiadać!

Bez mego pozwolenia ni mówić, ni siadać
Niewolno! Idź zawołaj Zuzi — i wnet obie
Wracajcie! — Wyszła z wzrokiem spuszczonym. — Aniele!
Rzekł książe — Wybacz że cię zapytać ośmielę,
Kto to jest? — A! ciekawy jesteś? i zajęty?
Nieprawdaż? — E! poprostu ciekawością zdjęty!
— Wątpię czy cię zachwyci historja Urszuli.
Wszak mój drogi, nie lubisz czosnku i cebuli?
— Wiesz Elżuniu oddawna, że się niemi brzydzę,
I mam nadzieję, że mię tem nie utraktujesz.
Ale nie o kolacyi mowa!—Dobrze! widzę,
Że gdy zapach cebuli od Zmorskiéj poczujesz,
To przestaniesz ją śledzić. — Czyliż to wymówką
Elżuniu? Na pytanie tak proste, zwyczajne,
Nie odpowiesz? Więc panna Urszula żydówką?
— Świeżuteńko wychrzczoną. — Lecz wraca z Warszawy,
Z klasztoru, gdzie kończyła nauki, więc...—Proszę!
Nie wiedziałam że książe jest taki ciekawy!
Nudzisz mię! —Ach hrabino! nie wiedziałem o tem!
Więc odchodzę! — rzekł książe szybkim mowy zwrotem.
— No! czy się gniewasz Stasiu? —Trochę! —To przeproszę!
Widzisz — ja cię przepraszam! Jaki tyran z ciebie,
Zamiast ty mię wciąż błagać o łaskę dla siebie,
To ja się tak poniżam, przepraszać cię muszę!...
Ah! Stasiu! tyś mi zabrał i serce i duszę
Jam przywykła panować — a ty ze mnie swoją
Niewolnicę byś zrobił, gdybyś tego żądał!..
Książę tymczasem ku drzwiom ukradkiem poglądał:
— Umiem — rzekł — cenić łaskę, wielbić dobroć twoją,
Ale ja znów, Elżuniu! nie znoszę niewoli,
Ani jéj nie narzucam, ani dźwigać nie chcę!..
— Przestań — odparła ona — taka mowa boli!
Obraziłeś mię. Klęknij! Naszą próżność łechce

Bardzo mile, gdy widzim u nóg swych kochanka;
Niewola u kobiety mężom nie ubliża,
Wierz mi! ten się wywyższa kto się do stóp zniża
Kochanéj, kochającéj!—Mam klęknąć? Tyranka!....
Szepnął książe z kolei przez ściśnięte wargi.
Dawniej miłe mu były te wszystkie zatargi,
Ale dziś już nieznośne. W tem weszła Urszula.
I Stanisław się zerwał niby oparzony.
— Zuziu! wyznaczysz pannie pokoik zielony,
Posługiwać jéj będzie wyłącznie Hanula!—
Garderobiana znikła wykonać rozkazy,
A hrabina mówiła: — Będziesz mi haftować
I krzyżową robotą wyszywać obrazy,
Ozdabiać paciorkami, lub wzory rysować;
Miałam zamiar umieścić cię jako lektorkę,
Ale wolę zachować swoją Izydorkę,
Bo widzę żeś niezdatną! No! idź i bądź pilną!
Może która mądrzejsza panna respektowa
Przezwycięży swą dumę, będzie ci przychylną,
To znajdziesz towarzystwo! Twoja już w tem głowa!
Wyperswaduj jéj przecie — że żydostwa błędy
Wyrzucone z twéj duszy! — Bądź skromną, pobożną,
W mowie, w myślach, postępkach, pokorną, ostrożną,
A pozyskasz mą łaskę i hrabiego względy.—
Urszula wysłuchała téj całéj przemowy,
Nie odetchnąwszy piersią, nie schyliwszy głowy.
Tylko wzdęły się żyłki na czole przejrzystem
I dłoń drobną ścisnęła w fałdach swojéj szaty
I zmierzywszy hrabinę wejrzeniem ognistem,
Zwolna, poważnie wyszła do drugiéj komnaty.

III.

W salonach pałacowych lśnią świateł seciny,
Wszystko co bawi zmysły, co zbytek dostarcza,
Znalazło się, zdobiło mieszkanie hrabiny;
Gęsto porozsiewana hrabskich herbów tarcza,
Przypominała gościom cny ród gospodarzy.
Wonna tu atmosfera, piękne otoczenie,
Mnóstwo prześlicznych strojów, niemniéj ładnych twarzy,
Szmer rozmów i muzyki harmonijne brzmienie,
Wszystko mogło odurzyć, podniecić, upoić
Wrażliwe charaktery, gwałtowne natury.
Czemuż książe Stanisław tak bardzo ponury?
Co mogło zmienić humor, myśl zaniepokoić?!
Ni dam komplimentami zabawiać nie raczy,
Ni z starszymi nie pije, tańczy bez zapału;
Przemawia z roztargnieniem, w pojęciach dziwaczy,
Aż się z balowéj sali wysuwa pomału;
Niepostrzeżony przebiegł szybko przez salony,
I wszedł do oranżerji, pełnéj cudnych kwiatów,
Niby w czarowny ogród z fantazyjnych światów
Przez dobrą wróżkę cudem tutaj przeniesiony.
U stóp białych posągów, pod liści zasłoną,
Głębokiem odetchnieniem chłonąc woń z roskoszą,
Usiadł książe, wspierając głowę zamyśloną.
O! widać że daleko te myśli unoszą,
Bo długo nieruchomy, w jakiemś rozmarzeniu,
Z okiem lśniącem, to blednął to naprzemian płonął;
Widno ulegał chętnie silnemu wrażeniu,
Wywoływał obrazy i w wspomnieniach tonął.
— Urszula! myślał książe — to ona! to ona!
Moja nieznana, zdala wielbiona kochanka!..
Spotkaliśmy się wreszcie! Ha! źle urodzona,

Z żydów — eh! niechże będzie nawet i poganka!
Nic piękniejszego w życiu nigdy nie widziałem!
Ah! gdyby ją zobaczyć! Czy ona poznaje,
Że to ja? — Przy Elżbiecie — witać jéj nie śmiałem.
Ha! przeklęte stosunki, niewola, zwyczaje!..
Pamiętam — nasze pierwsze przed rokiem poznanie,
Szedłem obok klasztornych ogrodów. — Z pustoty,
Chciałem jakie wśród panien sprawić zamieszanie,
I stanąłem by sobie ułożyć plan psoty.
Nagle, tuż nad mą głową, stanęła na murze,
Widocznie wydrapawszy się tam po drabinie,
Dziewczyna bosko piękna! Z podziwu jedynie
Osłupiałem! trzymała w ręku białą różę,
Muskała ją ustami i w dłoni pieściła,
I prześlicznym głosikiem coś do niéj nuciła;
Pieśń była smętna — słowa dziwnie poetyczne:
Dziewczę, róży tęsknotę swoją powierzało,
O sieroctwie, o smutnéj swéj doli wspomniało,
I potem jakieś słowa szepcząc wciąż mistyczne,
Pocałowała różę — o coś jéj prosiła,
I po za ogrodzenie kwiatek przerzuciła.
Chwyciłem go — i nagle się jéj ukazałem;
Zmierzyła mię wejrzeniem spokojnem i śmiałem.
— Pani, zostań na Boga! mówiłem z pośpiechem.
— Nie uciekam! odparła mi z smętnym uśmiechem.
— Pani! powiedz mi! kwiat ten — rzuciłaś — dla kogo?
Jakie było téj róży szczęsne przeznaczenie?
— Mów pan ciszéj! odparła — podsłuchać nas mogą!
Ja téj róży zwierzyłam smutek mój, pragnienie,
Tęsknotę do wolności, zabawy... swobody!
My tu uschniemy obie, w więzieniu ponurem,
Więc zerwałam, wyniosłam z klasztoru kwiat młody,
Niech szczęśliwszy odemnie — choć skona za murem!..

— Ja go z sobą zabiorę, przy sercu poniosę!
Ozwałem się — ożywię swojem własnem tchnieniem!
Będzie żyć pod mem okiem, łez moich pić rosę!..
— Łzy? mówiła — Pan także znajomy z cierpieniem?
Ah! widać moja wioska tylko była rajem!
Tam choć czasem płakano — lecz było wesoło!..
Tu wszędzie smutek, jęki, westchnienia w około,
My same umartwienia sobie wciąż zadajem,
Bo nam tak każą blade, smutne zakonnice!
Oh! gdybym mogła wrócić w moją okolicę!..
Na co mię z niéj porwano? tutaj uwieziono!..
Zamilkła — jam zdumiony patrzył na jéj postać
Uroczą! — Ah! nie mogę tu dłużéj pozostać!
Zawołała — Już słyszę że mię wyśledzono!..
— Aniele mój! błagałem — zostań chwilę jeszcze!
Niech twym widokiem oczy spragnione napieszczę!
O! czemuż cię dosięgnąć nie mogę ramiony!
Ty cudowna istoto! — Spojrzała się dziwnie —
I uciekła z wyżyny, jak ptaszek spłoszony.
Sądziłem że to tylko wybieg — lecz przeciwnie
Wszystkim moim pojęciom, myślom, doświadczeniu,
Choć tysiąc razy na nią długo czatowałem,
Choć się po jéj śmiałości wiele spodziewałem,
Nie ujrzałem jéj więcéj. — Chyba w śnie — w marzeniu!
Bo mię tak zachwyciło to cudowne dziecię,
Żem jeszcze bardziéj uczuł się wszystkiem znudzonym,
I wśród gry, tańca, szału — nawet przy kobiecie,
O ideale moim marzyłem straconym!
Oh! bo ona niebiańskiem pragnień mych spełnieniem,
Znalazłem ją! kochankę wyobraźni mojéj!..
Żydówka! ach! ja gardzę majątkiem, znaczeniem!
Ja chcę ciebie! piękności! miłości chcę twojéj!..
Zerwał się młody książe z błyszczącem wejrzeniem.

Rozmarzony myślami, podniecon wspomnieniem,
I wybiegł do ogrodu — pędził jak szalony,
Ah! on wiedział gdzie leży pokoik zielony!
Że na dole i z oknem na ogród zwróconem;
Pod niem rosną akacje i piękne jaśminy.
Noc piękna — może okno będzie otworzonem?
Stanisław już stał drżący w zaroślu krzewiny
I wlepił wzrok ciekawy. — Na tle ciemnem, mrocznem,
Widna była — kobieca postać wychylona;
To Urszula! Siedziała smutna, zamyślona,
W ubraniu białem, lekkiem, przejrzystem, obłocznem.
Obnażone na piersiach skrzyżowała rączki,
Głowę wtył przechyloną o ramę oparła,
Wpatrzyła się w głąb nocy — usta wpół otwarła,
Niby spragnione rosy wonne róży pączki;
Spokój niewinny, smętność i tęsknota łzawa
Kolejno się na cudnem jéj licu mieniły.
Coś — jak wyrzut targnęło sercem Stanisława,
Miałże odejść! Nie! było to nad jego siły;
Więc słuchając wyłącznie głosu namiętności,
Zbliżył się — mówiąc tonem, miękkim od tkliwości:
— Urszulo!.. moja droga!.. Tyżeś to?.. aniele..
Ah! czy ty mię poznałaś! czy pamiętasz różę?..
— Wiem! toś książe był wtedy przy klasztornym murze!
Rzekła cicho. — Urszulo! mam ci mówić wiele!..
A najprzód — daj mi dłoń swą!.. pozwól ucałować!..
— Książe ze mnie jak widzę — także chce żartować!..
Nie godzi się doprawdy! w mojéj smutnéj doli
Wszyscy szydzą — nie pomnąc że mnie serce boli!
Wasz Chrystus, Bóg łagodny — dobry, litościwy,
I Matka Jego także: — Wy ich ubóstwiacie,
A w pamięci ni w sercu ich nauk nie macie,
Każdy z chrześcjan podstępny, dumny i złośliwy!..

O! czemuż ja nie żyję za czasów Jezusa!..
Byłabym żydów od złéj zbrodni wnet odwiodła,
Przekonałabym ile myśl taka jest podła,
By zabijać na krzyżu dobrego Chrystusa!
I wszyscyby się pewno chętnie pojednali;
A Jezus błogosławiłby mnie i mych braci
I wszyscyby się razem serdecznie kochali!...
Książe słysząc tę mowę — prawie rozum traci:
— Urszulo moja droga! nie myśl o tem więcéj,
Są dobrzy — co umieją kochać najgoręcéj!..
— Mnie nikt z chrześcjan nie lubi! choć jam nic niewinna,
Że Jezusa zabili żydzi! — Ah! ty dziecię,
Mniejsza o nich! — jest jeszcze dla ciebie na świecie
Serce tkliwe, i miłość bardzo wielka, inna!..
A wiesz ty co to miłość? znasz ty jéj płomienie?..
To potężne uczucie... roskosz... słodycz życia!..
Ten szał — co w sercu wzbiera, dwojąc jego bicia,
Tę gwałtowną tęsknotę — namiętne pragnienie?!..
Milczała. Książe stanął tuż przy niéj pod ścianą,
Zmierzył okiem wysokość co go od niéj dzieli.
— Książe! — mówiła zwolna, z twarzą zadumaną;
Gdyśmy się po raz pierwszy w Warszawie widzieli,
Jam nic o twéj godności wcale nie wiedziała,
I wtedy nie umiałam nic panów szanować,
A teraz, choć uczona, jak się mam zachować
W rozmowie, o przestrogach jam już zapomniała!
Powiedz pan — jak mi mówić, postąpić należy?
Mówiono mi, że państwa obrazić tak łatwo!
A ja nie chcę uchybić — proszę! niech pan wierzy!..
Do lat ośmiu igrałam tylko z wiejską dziatwą,
Potem mię uwieziono gwałtem — do klasztoru.
Umiem tylko nauki — i to co wymarzę —
Obce mi wasze sprawy — obyczaje, twarze;

Czuję — że nic nie umiem etykiety dworu!
A tu nie ma się komu zwierzyć ni zapytać!..
Ale pan taki dobry i łaskawy książe,
Mnie już dawna znajomość przecie z panem wiąże...
Przytem — zdajesz się myśli me jak w książce czytać!..
Pan pierwszyś mię zrozumiał.. i nie wiem dla czego
Ja się tu wszystkich boję—tylko oprócz niego!...
Na to cudne wyznanie, tak bardzo dziecinne,
Książe prawie nic wiedział co mówić? co czynić?
To anielskie stworzenie, czyste i niewinne
Miałby zdradą, jak jadem wąż plugawy, ślinić
I nieszczęsną ofiarę bezwstydnie uwodzić?
Nie! Książe był szlachetnym — zwalczył chęć namiętną
Honorem, i gdy zdołał wzruszenie ochłodzić,
Powiedział do Urszuli z łagodnością smętną:
— Twoje serce mą przyjaźń dla ciebie poznało...
Dla mnie bądź zawsze szczerą, zapomnij, żem księciem!...
Innych strzeż się... unikaj! — Gdy byłam dziecięciem,
Wymówiła dziewica cicho i nieśmiało,
Nazywano mię innem, żydowskiem imieniem...
Może to grzech — lecz jabym pragnęła raz jeszcze
Usłyszeć je... —-Mów luba! co chcesz, z zachwyceniem
Wypełnię! I z roskoszą tą myślą się pieszczę,
Żem już twym powiernikiem... a może — zostanę
Kimś bliższym!.. Mów najmilsza! dziewczę ukochane!..
— Nazywano mię Miryam — powtórz to pan teraz.
— Miryam! najdroższa Miryam! mówił książe czule.
— Dziękuję! wolę takie imię niż Urszulę...
— Miryam! Ja ci powtórzę twoje miano nieraz,
Bo jest piękne — tak miło, idealnie brzmiące,
I podobne do ciebie! Lecz i ty kochanie,
Zwij mię Stasiem! —Nie!.. —Czemu? —O nie mogę panie!
— Czemu? pytał utkwiwszy oczy pałające

W licach nagle spłonionych, po raz pierwszy może.
— Ah! to ty mię nie lubisz? wcale? —Oh! mój Boże!..
Lubię! — szepnęła cicho — lecz się czegoś boję...
Aż mi serce drży w piersiach! —Czemuż tak? jedyna!..
Wszak nie ja cię przestraszam... Tak daleko stoję...
Miryam! — Schyliła głowę na piersi dziewczyna,
Silniéj złożyła ręce, przytuliła skronie,
Choć w ciemności — znać było, że rumieńcem płonie
Jak jutrzenka na niebie — zwiastując świtanie.
I oczy jéj zamgliły się czystemi łzami,
Jak gwiazdy z przyćmionemi nad ranem blaskami.
Książe czuł, że niedługo z lubą się rozstanie.
Dźwięk muzyki balowéj zdala dolatywał,
Uroczo dźwięcząc tutaj; razem z serc harmonją
Nic piękniejszego nad tę miłosną symfonją.
Książe się w nią i duszą, i zmysłem wsłuchiwał,
Lecz pałac jaśniał, niby bazyliszka oczy
Czychając na ofiarę — z podstępem i zdradą;
Książe westchnął — jak kamień smutek pierś mu tłoczy,
— Muszę iść! — szepnął, chyląc ku oknu twarz bladą,
Żegnaj Miryam najdroższa!.. szczęście mojéj duszy!
Do jutra... Ty znów tutaj będziesz? prawda? droga!
Daj mi dłoń ucałować!... Nie bądź-że tak sroga!
Czyliż cię tak pokorna ma prośba nie wzruszy?...
Nie chcesz nawet tak skromnéj dozwolić pieszczoty!...
A więc ty mnie nie kochasz! ty chcesz méj zgryzoty?..
— O nie panie! — dziewica z ogniem zawołała,
Kocham!... ale pan raczéj niech mi poda rękę,
To na niéj pocałunek złożę na podziękę
Za pierwszą chwilę szczęścia — com jéj dziś doznała!..
Ja nie umiem wyrazić, co w mem sercu czuję!
Ale tam taka błogość!.. mój duch się raduje!...
— Aniele! — Książe wspiął się — objął ją ramieniem,

Cudną kibić do piersi gorąco przycisnął,
I oczami w jéj oczach z rozkoszą zawisnął,
I w usta pocałował z tkliwem uniesieniem.
Ona się nie broniła — lecz mu w rękach drżała,
Jak schwytana, zalękła gołębica biała.
— Do jutra! — mówił książe mocując się z sobą,
Śpij spokojnie aniołku! śnij o mnie — dziecino!...
Bo ja myślą i czuciem ciągle będę z tobą!
Odszedł — zwolna — zwracając się — znikł za krzewiną.
Dziewica stała jeszcze, odurzona prawie:
Co jéj jest? co to było? we śnie czy na jawie? —
Nie wiedziała! — Przez mglisty ranek niewinności,
Do jéj czystego serca, do piersi dziewiczéj,
Przedarł się jasny promień uczucia miłości...
I łuny téj światłości boskiéj, tajemniczéj,
Wciąż różowym płomieniem lice oblewały,
I usta pocałunkiem zwilgocone — drżały...
Niby kwiat, gdy weń nagle kropla rosy padnie.
Co się działo w jéj sercu? i któż to odgadnie?
Czy są słowa na świecie coby określiły
Miłość? Nie ma! Bo to się nie mówi — lecz czuje.
Więc niech każdy przypomni sobie to uczucie,
I miłosną pieśń Miryam niech sobie dosnuje
W swéj własnéj wyobraźni — na znajoméj nucie.

IV.

Smutne jest obudzenie po śnie rajskich marzeń,
Gdy przykra rzeczywistość przed oczyma stanie,
A pośród pospolitych, często nudnych zdarzeń,
Trzeba stłumić tęsknotę, skargę, narzekanie,
I wyprzeć się wszystkiego co najmilsze w życiu,
Uśmiechem łzy pokrywać — i cierpieć w ukryciu!

Takie były Urszuli dnie, po owéj nocy.
Hrabina jéj niewiedząc czemu nie lubiła,
Więc cała służba żeńska wciąż z biednéj szydziła,
Krzywdząc ją — dokuczając jéj, z całéj swéj mocy.
Lecz ona to znosiła w milczeniu upornem,
Nie zachwiała się nigdy pod złośliwym ciosem,
Ani się poskarżyła z uczuciem pokornem,
Nie walczyła ni czynem, ni chęcią, ni głosem;
Schylona przez dzień cały nad swemi krosnami,
Wpatrzona w wzór do haftu, w motek z jedwabiami
Jak posąg marmurowy zdała się nieczułą.
Czasem tylko spojrzeniem się na nich pomściła,
Zdradzało ono — co się w piersi jéj burzyło,
A panny się żaliły — że ich *uroczyła!*
Najbardziéj dokuczliwą, nieznośną, złośliwą,
Była Zuzia, hrabiny owa faworyta,
Zacięta i zazdrosna jak szatan — a skryta,
Umiała się wykręcić swą mową kłamliwą,
Tak, że choć komu strasznie a milczkiem dojadła,
Pozór, gniew i pretensja osoby skrzywdzonéj
Niezawodnie na inną, a niewinną spadła;
I wszystko téj szczęśliwéj, choć niezasłużonéj,
Wiodło się podług życzeń, zamiaru i planu.
Umiała się przychlebić i Pani i Panu,
Nawet książe Stanisław lubił ją widocznie
I piękne podarunki przywoził z Warszawy,
Które mogły stanowić znaczną część wyprawy,
A posag dość pokaźny zwiększał się corocznie.
Lecz Zuzia miała wadę — jéj saméj szkodliwą:
Była strasznie zazdrosną — ztąd nadto złośliwą.
Urszula się jéj bała prawie, mimowoli,
I gdy Zuzia ją bystro oczyma zmierzyła,
To czuła że jéj serce drży, że ją tak boli,

Jakby w pierś ostra strzała nagle uderzyła,
I krwawy ją rumieniec oblewał niechcący.
Biedne dziewczę! od chwili pierwszego spłonienia,
Nieraz twarz jéj kolory traci albo zmienia,
Wystąpi jéj na lice błysk ognia gorący;
Albo bladość marmurów kararyjskich. — Biedna,
Pośród intryg, zasadzek — obca — sama jedna!
Tylko Boga modlitwą i łezką wzywała,
Tylko księciu wierzyła i jego kochała!
Gdy mrok zapadł — i panny rzucały roboty,
Rozbiegając się śpiesznie używać swobody,
To układając razem — zwyczajnie, wiek młody!
Dla kogoś z dworskich figiel — śmiejąc się z pustoty—
Urszula nie dzieliła zabaw tego grona,
Tylko cicha i smętna, w myślach zagłębiona,
Wracała do pokoju z obiciem zielonem.
Tam maska nieczułości z twarzy jéj spadała,
Z oczyma wilgotnemi, z sercem utęsknionem,
Skargi, myśli, uczucia, pieśni powierzała,
I nucąc melodyjne strofy pełne wdzięku,
Czasem tkliwe, marzące — czasem tak żałosne,
Że ogrom bólu zadrżał w tym sercowym jęku;
Nie znając co weselne pieśni i radosne,
Wypowiadała całą głębię swojéj duszy.
Naokół była cisza, na niebie gwiazd roje,
Na ziemi lato wdzięki roztaczało swoje.
Ah! któreż młode serce pięknem się nie wzruszy,
Gdy taki cudny obraz na zmysły podziała!..
Noc cicha, tajemnicza, z wonnem, czystem tchnieniem,
W fałdy ciemnego płaszcza ziemię owijała,
A księżyc, gwiazd myrjady, swym bladym promieniem
Przyświecały z daleka — podnosząc blaskami
Jéj wdzięki. — Ziemia cała przybrana kwiatami,

Niby oblubienica, strojna, piękna, cicha,
Czekała na kochanka, wzywając go skrycie —
Blask pochodni, szmer, zdala zwiastuje przybycie
Upragnione. Zbliża się — miłością oddycha,
Noc — kochanek dostojny chwyta ją w ramiona;
Ziemia zorzy odblaskiem uroczo spłoniona,
Zawiera z nim tajemne, skryte zaślubiny,
I w wzajemnym zachwycie łączą się uściskiem—
Noc igra z jéj wdziękami, muska włos krzewiny,
I czoło gór — a pomnąc że rozstanie bliskiem,
Smętne, ciche westchnienia, szemrzą wśród pieszczoty,
I łzy rosy padają na kwiaty jéj stroju,
Mącą się wód źrenice pełne niepokoju,
I chwile tajemnicze płyną wśród tęsknoty.
Tak Urszula częstokroć porównała siebie
Z ziemią, skrycie pieszczącą noc w swojem objęciu,
I raz widząc świt pierwszéj jutrzenki na niebie,
Swoją myśl poetyczną powiedziała księciu:
— Wiesz mój luby — dodała chyląc skroń płonącą
Ku niemu — teraz słońca, jasnych dnia promieni
Nie lubię! i za nocą tęsknię znikającą;
Gdy blask świtu na wschodzie niebo zarumieni,
Zdaje mi się, że na mem czole i na licu
Widne twoich ust ślady — gorące — płomienne,
Mnie razi i olśniewa jasne światło dzienne!
Mam naturę tych kwiatów, co to przy księżycu,
W mrocznym półcieniu nocy pączki rozwijają,
A we dnie, swe kielichy zawsze zamykają!..
Ah! gdyby to noc zawsze i pogoda trwała,
Gdyby nie było zimy — dżdżystych dni jesieni!..
— Nie mów tego o Miryam! bylebyś ty chciała,
Dla nas się ani pora, ani czas nie zmieni!
Ja tu długo zabawię — a gdy przejdzie lato,

Wszak nas klasztor nie dzieli ni murem ni kratą,
Twój pokoik nas przecie pomieści oboje!..
Ty mi wreszcie pozwolisz przestąpić te progi!
Mówił książe z czułością. — Mój luby, mój drogi!..
Ja się teraz z dniem każdym coraz więcéj boję!..
Tutaj — choćby kto nadszedł — to jesteś bezpieczny,
Możesz się w krzewy schronić, lub uciec w téj chwili,
A w pokoju... gdyby cię — panie mój serdeczny,
Spostrzegli, napotkali — gdyby wyśledzili?..
Boję się!.. serce moje coś niedobrze wróży;
A jak mi wciąż ukrywać się z uczuciem trudno,
Jak mię ta ciągła czujność i obawa nuży,
Jak mi bez ciebie tęskno, i smutno i nudno,
Tego żadne wyrazy nie skreślą prawdziwie!..
Mój Boże! tyle złego na świecie, tak jawnie
Czyni krzywdy, bliźniemu dokucza nieprawnie,
I ci źli, mimo tego — żyją tak szczęśliwie!
A my — musimy taić się jakby zbrodniarze,
Choć nikomu nie szkodzi nic, że się kochamy;
Czemu to Pan Bóg tamtych natychmiast nie karze,
A nam nie dopomoże? — Choć świat stawia tamy,
Nic uczucia naszego potłumić nie zdoła:
Tyś mi droższa nad złoto, zaszczyty, godności,
Uwielbiam cię!.. O Miryam! ty nie znasz miłości!
Moje serce tajemnie tak pragnie i woła,
Ty się nawet w objęcie nie chcesz do mnie zbliżyć,
Do poziomu uczucia miłości kochanki,
Z sfer marzeń idealnych nie pragniesz się zniżyć,
Ty masz umysł, uczucia i postać niebianki,
A jam zwykły śmiertelnik, słabe dziecko ziemi,
Nie wystarcza mi podziw — bo ja kocham ciebie!..
Miryam! tyś mi daleką jak gwiazda na niebie,
W którą ja się wpatruję oczyma tęsknemi.

Gwiazda budzi natchnienie i zapał poety,
Ja na cześć jéj promieni, piękna — rymy składam!
Lecz sercem szukam w tobie — i pragnę, kobiety!..
Ha! i po co to wszystko ja ci wypowiadam?
Ty na mnie w zadziwieniu poglądasz niewinnem,
Podczas gdy mą pierś ogień pali namiętności,
Twoje uczucie czystem, chłodnem jest, dziecinnem.
I zwalczasz mię potęgą swojéj niewinności!..
Choć cierpię — mimowoli ustąpić ci muszę,
I jak kapłankę Westy z pokorą szanować,
Bo czuję, że od piekieł czarniejszą by duszę
Miał ten, coby inaczéj zechciał postępować!
Wybacz Miryam! aniele! daj mi przebaczenie
Za moje słowa, myśli, żądze i marzenie!..
— Tak sobie kochankowie uroczo gwarzyli,
Książe codzień Urszulę ubóstwiał goręcéj,
A ona w swéj prostocie anielskiéj, dziecięcéj,
Ni sztucznemi wyrazy mówić się nie sili,
Ni wabić go postacią, strojną, wyszukaną;
Była zawsze swobodną, a pełną godności,
Nie znała umiejętnych praktyk zalotności.
A nad tą gruchającą parą rozkochaną,
Chyba skrzydła aniołów, bratnich Miryam duchów,
Musiały się unosić, dotykać jéj w locie,
Strzegąc, by żaden z ziemskich okrutnych łańcuchów
Nie zakrwawił stóp czystych, nie ciężył sierocie!
Łączyło się niekiedy — ich jasne wejrzenie,
Jak blaski gwiazd świecących wśród niebios szafiru,
I zmieszało się razem dwojga serc westchnienie,
Niby róż wonie, z lekkim podmuchem zefiru;
Wezbrały słów potoki, i uczuć kaskady,
I drżące pocałunki jak krople bryznęły,
Ręce jak dwie gałązki splotły się — ścisnęły;

Lecz nie było w tem grzechu, sromoty, ni zdrady:
Jak gwiazdy, kwiaty, jakby wód przeczyste zdroje,
Tak oni pozostali niewinni oboje.
I książe choć się skarżył — czuł że w duszy jego,
Jakiś czysty pierwiastek powstał odrodzony,
I doznawał uczucia niezmiernie błogiego,
Nie był już obojętny, ani też znudzony,
Nowym urokiem życie doń się uśmiechnęło,
Serce, dotąd milczące — po raz pierwszy drgnęło,
Stracił dawną zuchwałość i ckliwość udaną,
Po młodemu pokochał, z zapałem, prawdziwie,
I było mu z tem dobrze, miło i szczęśliwie;
Sam postrzegł i radował się taką odmianą,
Błogosławiąc swą Miryam za te błogie wpływy,
I czerpiąc z niéj codziennie dobro serca swego.
Ach! ona, czysta, święta, — stała się dla niego
Cudem, co wskrzeszał zmarłe! W niéj znalazł zdrój żywy!
Najwyższy skarb — co wielu mają weń nadzieję,
A straciwszy ją w drodze nieznanéj, zawiłéj,
Wędrowiec czuje że go opuszczają siły,
I powoli w głaz zimny cicho skamienieje.

V.

W salonach pałacowych — bale i festyny
Prawie codzień bywały, wesołą koleją
Bo humor, słowa, chęci i oczy hrabiny,
Niezwyczajną radością i życiem jaśnieją.
Strojna, grzeczna, śmiejąca, zachwycała gości,
Jak za czasów swéj pierwszéj minionéj młodości.
A widocznie ją hołdy cieszyły — i zawsze,
Dla tych co komplimentów nie zwykli żałować,
Miała uśmiech, wejrzenie, słówko najłaskawsze.

Sądziła, że tem zdoła najdłużéj zachować
W sercu próżnego księcia to dobre mniemanie,
Że ona jest piękniejszą ponad wszystkie panie,
Że wzbudza uwielbienia i uczuć zapały,
Aż dziwić się nie można, że on, choć tak młody,
Ulega tym powabom wdzięku i urody,
I dla pięknéj Elżbiety tak długo jest stały
W uczuciach raz powziętych. Śledząc Stasia pilnie,
Nie dojrzała powodu zazdrości najlżejszéj:
Żadnéj z dam nie pochwalił, chociaż najpiękniejszéj,
O żadnéj względy nie dbał — a więc nieomylnie
Kochał czule, gwałtownie, całem sercem, wiernie!
Co ją czyniło dumną, szczęśliwą niezmiernie.
Cieszył się i pan hrabia, że żona kontenta,
I książe, bo mu żółcią dni nie zatruwała,
I Zuzia, bo hrabina nic się nie gniewała,
A nawet jéj kosztowne dawała prezenta.
Ale często tak bywa, że przed burzą w lecie,
Najcudniejsza pogoda i cisza nastaje,
A w naszym ludzkim, innym przez kulturę świecie,
Są jednak czasem znaki. objawy, zwyczaje,
Co się godzą z odwiecznym porządkiem natury.
Otóż po tym poranku pogody promiennéj
Na czystym horyzoncie zebrały się chmury,
I zaszumiał świst wichru, po ciszy niezmiennéj.
Dnia pewnego, pan hrabia pijąc czekoladę,
Przy śniadaniu, w tureckim zagłębion szlafroku,
Rzekł: *Cherciu!* Jakieś dziewczę kręci się tu blade,
Rysy wschodnie, ruch wdzięczny, a płomienie w oku;
Widziałem ją przez okno, w angielskim ogrodzie,
Kto to jest? — A, zapewne mówisz o Urszuli,
Już drugi raz poznałeś się z rysów na rodzie,
To owa żydóweczka, na któréj los czuli,

Wzięliśmy ją w opiekę, i w własnéj karecie
Uwieźli to żydowskie, zasmolone dziecię,
By ją ochrzcić, ochronić od piekielnéj męki.
Oddałam do klasztoru tę owcę zbłąkaną,
Skończyła już nauki — więc mi ją przysłano!
Odparła żona — Aha! dobrze! Bogu dzięki,
Że się nam tak udało zbawić jedną duszę!
Proszę jak ona wzrosła! jak się rozwinęła...
A! wypada ją widzieć — pomówić z nią muszę!
Hrabina się złośliwie tylko uśmiechnęła,
I spojrzała na księcia z skinieniem znaczącem,
Stanisław drgnął jak gdyby żelazem gorącem
Kto dotknął jego piersi. — Przestrach, oburzenie,
Obawa o dziewicę, gniew dziki, szalony,
Bladą twarz jego w krwawe ubarwił płomienie,
— Co tobie? Stasiu! powiedz! widzę żeś zmieniony!
Zawołała Elżbieta z miłą troskliwością.
Książe wstał i wymówił się nagłą słabością,
Hrabiostwo chcieli posłać po doktora, leki,
Lecz Stanisław dziękował, tylko spocząć żądał,
I wyrwał się przemocą z łaskawéj opieki.
W oczach mu jakiś odbłysk ponury przeglądał,
Ścisnął rękę Elżbiety, w dziwnem roztargnieniu,
Aż krzyknęła z boleści! i bez związku słowy,
Wspominając o nagłem, przechodniem cierpieniu,
Uciekł. — *Cherciu!* rzekł hrabia — czy jemu do głowy
Nie wpadła jaka manja? pora kanikuły!...
Hrabinie inne myśli złowrogo się snuły,
I nie wiedząc czy ma się gniewać? czy przerażać?
Na hrabiego wyrazy nie raczyła zważać.
Stanisław bez pamięci, wybiegł uniesiony,
Burzy się — podejrzenia umysł jego drażnią,
Jeszcze je wciąż podnieca bujną wyobraźnią,

Sam nie wie gdzie się udać, w które pędzić strony,
Pragnąłby ostrzedz Miryam — nie śmie iść jéj szukać,
Boi się aby hrabia wielbiąc płeć nadobną,
Téj śnieżystéj lilijki nie chciał podle zbrukać,
Choćby głupim umizgiem. — O! na myśl podobną,
Dreszcz febryczny nim wstrząsnął i gniewnie się zżymał!
Ona taka niewinna — anielska istota,
Może paść pod naciskiem ziemi, kału, błota!
Książe biegł w ogród szybko — nagle się zatrzymał,
Mignęła jasna suknia, krok usłyszał cichy.
Może ona? Nie! Zuzię książe ujrzał tylko,
Szła, zręcznie otulona wytworną mantylką,
Z głową strojnie przybraną w powoju kielichy;
Zmieszała się ujrzawszy księcia Stanisława.
— A dokąd to panienko? spytał roztargniony.
— E! to do ogrodnika, po bukszpan zielony...
— Moja Zuziu! rzekł znowu — bądź-no tak łaskawa,
I powiedz, gdziebym teraz mógł znaleźć? — A kogo?
— Widzisz, bo mam interes — pilny — bardzo ważny,
Do panny Zmorskiéj! — Zuzi wrócił ton odważny:
— A! rzekła — w garderobie jest — ale tą drogą
Książe pan zdaje mi się nie dojdzie! A może
Byłoby lepiéj mną się w tym razie posłużyć?!
— Zuziu! Czy mi przyrzekasz — Ah! wszystko! mój Boże!
W każdym razie mię można do posługi użyć!
Więc się książe przybliżył dla lepszéj rozmowy,
I w kwadrans Zuzia była jego powiernicą:
Pierwszy raz się podzielił swoją tajemnicą!
Za drugi kwadrans, liścik pachnący, różowy,
Został téj pośredniczce przez księcia wręczony,
Aby doszedł Urszuli jak można najprędzéj;
Wsunąwszy Zuzi w rękę pełną garść pieniędzy,
Powrócił do pałacu już uspokojony,

Bo w liście swym ostrzegał Urszulę nieznacznie,
By zdwoiła ostrożność, pozór obojętny,
Unikała hrabiego, pilnując się bacznie,
Jak każdy, co posiada charakter namiętny,
Skłonny do wrażliwości i do uniesienia.
Książe działał pod wpływem swego zaślepienia,
Skarb swéj duszy powierzył w te niegodne ręce.
Zuzi, chytréj i chciwéj dziewczynie, zazdrosnéj;
Aby ulżyć téj nagłéj tęsknocie miłosnéj,
I, dotąd bezzasadnéj, niepokoju męce,
Naraził nierozważnie Urszulę i siebie,
Do raju wpuścił węża, zamiast go się chronić.
Uczynił zadość serca swojego potrzebie,
Ale zamiast kochankę od intrygi bronić,
Sam wydał w zapomnieniu głębię tajemnicy
Co mogła splamić honor nieszczęsnéj dziewicy.
I pośród szalonego uczucia miłości
Nie pomyślał co z tego wyniknie w przyszłości,
Że po chwilach radosnych mogą nadejść smutki
Dla téj, którą tak kochał i lękał się o nią!
Że z małéj nierozwagi płyną czasem skutki,
Które pochłonąć mogą mętną zdrady tonią.
Gdy powrócił do siebie zastał tam hrabinę,
Która przejęta trwogą przyszła go odwiedzić.
Lecz ujrzawszy u niego zwykłą, dobrą minę,
W podejrzenie wprawiona, zaczęła go śledzić,
Chcąc zręcznie coś wybadać — lecz książe milczeniem
Zbył natrętne pytanie, tłumaczył się mało,
Że sam nie wie co go tak nagle zabolało,
I raz-po-raz poziewał — z widocznem znudzeniem.
Choć bardzo zaślepiona — przecież to poznała,
I strasznym, wściekłym gniewem uniosła się w duszy,
Ale w porę swój wybuch złości hamowała,

Cierpiąc przez to podwójną torturę katuszy;
Wreszcie czując — że z bólu prawie traci zmysły,
Wyszła, trzęsąc się cała, chwiejnym, ciężkim krokiem,—
Pożółkła nagle cera, policzki obwisły,
Znać że się męczy w smutku bolesnym, głębokim,
Weszła do gabinetu, siadła, głowę wsparła
I śmiała się okropnym uśmiechem nerwowym,
Jak w przystępie szaleństwa — ruchem rąk kurczowym
Chusteczkę, bukiet, wachlarz — szarpała i darła,
Cierpiała—oh! piekielne męki! — obrażona
Duma, miłość — gwałtownie w duszy się żaliły,
I podejrzeń się żmija przypięła do łona.
Piekło! — hrabina jękła — (W tem się uchyliły
Skryte drzwiczki od wschodów — ktoś się w nich umieścił)
— Stasiu! — mówiła dalćj — musisz do mnie wrócić,
Na to-żeś mię rozmarzył, ukochał, rozpieścił,
Aby potem tak zimno odepchnąć — porzucić?
Stasiu! bóstwo ty moje!.. ja sobą nie władnę!..
Pójdę — będę go błagać... do nóg mu upadnę...
Wszystko zniosę — co zechce ja wszystko uczynię,
Tylko jego miłości chcę w zamian jedynie!..
Ah! bo ja go tak kocham! — Obłąkanym wzrokiem,
Powiodła w okół siebie — nagle się zerwała,
W drzwiach nieco uchylonych Zuzannę ujrzała,
Stojącą nieruchomie, z wbitym w ziemię wzrokiem.
Ścisnęła pięść hrabina, z najsurowszą groźbą:
W tem Zuzia klękła przed nią, nie podnosząc głowy,
I wyciągnęła rękę, z niemą, dziwną prośbą,
A w tćj ręce trzymała bilecik różowy.
Chwyciła go hrabina z radości okrzykiem,
Inaczéj go pojąwszy, — i czytać zaczęła.
Nagle — Zuzię gwałtownie od stóp odepchnęła
I znów ręce zawarła w uniesieniu dzikiem.

A potem się rzuciła, jak hyena ranna,
Chwyciła sługę, bliżéj przywlokła za ramię....
Tego tylko widocznie czekała Zuzanna,
I zaczęła coś mówić cicho gniewnéj damie,
Która słuchała pilnie, ponura, milcząca,
W słuch się cała zmieniła — a okiem się wpiła
W twarz dziewczyny, co blada, przestraszona, drżąca,
Coś długo i po cichu wciąż do niéj mówiła.
Gdyby kto spojrzał wtedy na lice Elżbiety,
Byłby się przeląkł pewno téj strasznéj kobiety:
Wszystko — co złość, szkarada, moralna ohyda,
W rysach może piętnować wstrętnemi oznaki,
To jéj twarz przedstawiała wizerunek taki!
Bo twarz wewnętrzną głębię stanu duszy wyda,
I dla tego, gdy piękność nadzwyczajna ciała,
Jak strojny płaszcz pokrywa brzydkie ducha wady,
Nie będzie dusz wabiła — ni serc pociągała!
A gdy skromnych powabów małoznaczne ślady,
Rozjaśni wyraz duszy wzniosły i szlachetny,
To twarz choćby nie ładna — uczyni wrażenie,
Może nawet wywołać szczere zachwycenie,
Bo dobry, mądry człowiek — nigdy nie jest szpetny.
Uśmiech usta ozdobi — rozum wzrok rozświeci,
Spokój lice wygładzi, a uczucie doda
Wdzięku, — który zajęcie i sympatję nieci!
Najwabniejszą jest taka duchowa uroda!
Hrabina, niezbyt więcéj od małp mając duszy,
Okropnie wyglądała, gdy sztuk zalotności,
Minek, słodkich wyrazów, zapomniała w złości!
Stojąc, z Zuzią u kolan — nadstawiła uszy,
Zacięła wargi, oczy szeroko rozwarła,
Najeżył się w fryzurze włos kręto trefiony,
Oddech w siebie wciągnęła i w piersi zaparła.

Istny obraz straszliwéj postaci Gorgony!
Zuzia skończyła widać swe opowiadanie,
Bo zamilkła; jak niema stała i hrabina.
Korzystając z téj chwili, przebiegła dziewczyna
Cichutko poszepnęła swą radę i zdanie,
Mówiła: jak niegodnie Urszula wabiła
W sieci zdrady i grzechu, księcia Stanisława,
Że nawet ta żydówka nie jest mu tak miła,
Jest to tylko igraszka, chwilowa zabawa,
Uwiodła go przeklęta, młoda czarownica,
Ją też trzeba ukarać pokryjomu, cicho;
A jak tylko przepadnie szatańska grzesznica,
To z nią zginie przykrości i nieszczęścia licho!
Ocknęła się hrabina na tę zręczną mowę,
Westchnęła: — Zuziu! rzekła — ty masz dobrą głowę,
Poradź-że co mam zrobić z tą dziewką bezecną!
Jak się zemścić, pognębić, w proch zetrzeć tę niecną!
Ona hańbę tu wnosi! Zapóźno poznałam,
Że przy mym własnym boku węża odegrzałam!...
— Pani! główna rzecz — trzeba działać w tajemnicy,
Nadewszystko przed księciem! — Hrabina skinęła,
Na zgodę i zachętę zdania zausznicy.
Potem wstała, starannie sama drzwi zamknęła,
I nie wiem, co radziły obiedwie — lecz długo
Trwał tajemny rozhowor pani z wierną sługą,
A gdy się skończył wreszcie — Zuzia z lisią miną
Opuściła cichutko ów gabinet pański,
I wspomnienie tajemnéj rozmowy z hrabiną,
Jawiło się przez uśmiech tryumfu szatański.
Ku pokojom książęcia z mściwością zaciętą,
Długo, mrucząc, groziła. Potem przez dzień cały
Była w dobrym humorze, mile uśmiechniętą,
Aż jéj się wszystkie sługi o powód pytały.

Lecz ona nie raczyła objaśniać nikogo,
Owinęła się tajnią milczenia jak togą,
I litośnie mierzyła oczyma dworaków,
Jakby ich chciała z sobą porównać niekiedy,
Lecz potem pogardliwie szydziła z biedaków.
Jakże się czuła wyższą od całej czeredy!
W zręczności i przebiegach, w oszustwie, rozumie,
Była pewną, że nikt jéj dorównać nie umie!

VI.

I znów noc — lecz pochmurna, ponura i czarna,
Grzmot odzywał się zdala — wicher szalał w górze,
A w dole atmosfera była ciężka, parna,
Powiędły kwiaty, zbladły i spłowiały róże,
Bo je skwarne promienie słońca przepaliły;
Strwożone, smutne ptaki do gniazd się tuliły,
Zmęczone, opuściwszy skrzydła aż do ziemi.
Kropla rosy nie padła — a wiatr gorącemi
Podmuchami, osuszał wszystko bardziéj jeszcze,
Księżyca, gwiazd, nie było—bo chmury złowieszcze,
Jak kirem czarno cały horyzont zasnuły,
Lub jak arkusz szarawéj i grubéj bibuły,
Plamami atramentu gęsto zawalany,
Zmięty, chropawy — czarną cieczą pokalany,
Tak niebiosa wstrętliwą powłokę przybrały.
W pałacu zgasły światła — czarny, niby trumna
Przykre sprawiał wrażenie. Jakaś ręka dumna,
Szydząc z gróźb burzy — z grzmotów, co dziko huczały,
Otworzyła okienko — a w niem postać biała,
Nieruchoma jak posąg — milcząca, czekała.
I wnet krzaki jaśminów z gwałtownym szelestem
Uchyliły się nagle — ktoś przybiegł pod ścianę,

—Miryam! —Ah! czy to książe?—Tak! luba ja jestem!
Moje dziewczę najmilsze! drogie! ukochane!...
—Taka burza!—Co mnie tam burza ma obchodzić!
Większa huczy w méj głowie, w mem sercu i łonie!
O Miryam! ty mi musisz całunkiem nagrodzić,
Co cierpię od dni kilku! Daj mi twoje dłonie!...
Ty nie wiesz!...—Wiem już — książe! ty odjeżdżasz!—Droga!
Muszę! Jakaś fatalność przeklęta i sroga
Rządzi mną! — Szatan chyba hrabinie myśl poddał
Aby jechać w tym czasie do Warszawy! Boże!
Połowę majętności najchętniéjbym oddał,
By pozostać! a jednak stać się to nie może,
Muszę im towarzyszyć!.. Miryam! duszo moja!
Ty płaczesz?.. Wszak ja wrócę!.. stęskniony! o luba!..
Jam twój przecieżna wieki!—Jam na zawsze twoja!
Ale to nazbyt ciężka na me siły próba!..
Ty jedziesz... ah! ja się tak boję tutaj! — Czemu?!
Wszak hrabiego nie będzie! — Wiadomość o sobie
Dam ci nieraz, przez Zuzię!—O! wierz złowieszczemu
Przeczuciu! Nie zobaczysz mię więcéj — aż w grobie!..
— Miryam! dziecko! co mówisz? smutek nerwy drażni
I ponure obrazy w twojéj duszy stwarza!
— O tak! widny mi ciągle głąb okropnéj kaźni,
Lub zakrwawione szczątki świętego ołtarza,
Na którym Abel składał Jehowie ofiarę,
A zły Kain go zabił!... Boję się! ah! boję!..
Ten obraz prześladuje dnie i nocy moje!
— Ależ droga! odrzucaj tę złowrogą marę!
Ja wrócę tu do ciebie — ty ptaszku mój złoty,
A wtedy — prawda Miryam? ty będziesz względniejszą...
Nie poskąpisz uścisku — nie wzbronisz pieszczoty...
Miryam! bądź-że weselszą! — Jam coraz smutniejszą!...
Żal mi ciebie mój Stasiu!.. mój książe!.. mój panie!..

Żal siebie — oh! straszliwem mi jest to rozstanie!
Mówiła z łkaniem Miryam. — W klasztorze prawili,
Że na tym nędznym płaczu padole, na świecie,
Nie ma szczęścia! — że kto go doścignąć się sili,
To ściąga niebios karę, jak niesforne dziecię,
Które chwyta za płomień! Może to prawdziwe?..
Jakże krótko, mój Boże! moja rozkosz trwała!..
Ha! lecz przeżyłam chwile cudowne, szczęśliwe!..
—Nie! tyś jeszcze o Miryam! szczęścia nie doznała!
Tylko przedsmak rozkoszy zaprawny tęsknotą...
Nie słuchaj co ci ludzie fałszywie naplotą!
Jest szczęście — bo jest miłość! — Ja w to wierzę! czuję
Że raj istnieje — ale, gdzie? czy pozagrobny,
I jak trzeba doń zmierzać? — Nie! pieszczoto moja!..
Raj jest w twojem objęciu! raj to miłość twoja!...
Mówił książe — lecz odgłos, do zgrzytu podobny
Zębów złością zaciętych — przerwał zapał jego,
Ucichli — a choć potem nic się nie zjawiło,
A książe też nie wierzył w sprawy ducha złego,
Przecież im się coś w sercu boleśnie zrobiło.
Burza już była blisko — wicher ją zwiastował,
Więc książe usta Miryam czule ucałował,
I szepnęli wśród cichych łez—te smutne słowa:
— Żegnaj! Stasiu najdroższy! — O Miryam! bądź zdrowa!..

Rozstali się! — a czy ich serca zasmucone,
Zabiją znów radośnie, w chwili powitania?
Czy będą znowu kiedyś do siebie zbliżone,
Ha! któż to może wiedzieć!... Więc chwila rozstania
Ze wszystkich najsmutniejszą, najgorszą jest zawsze,
Choćby dwoje kochanków, po długićj rozłące,
Spotkało się ze sobą — prób czeka tysiące,
Czasem bardzo bolesne, od tortury krwawsze!...

Czyż w sercu ich jest pewność taka niezachwiana,
Że w umyśle, uczuciach — nie zajdzie odmiana?
Człowiek jest taki słaby! pełen ułomności,
A wpływy rozmaite dużo działać mogą,
Kto wie, jakie w nim życie rozbudzi skłonności?...
Ale Miryam nie taką dręczyła się trwogą,
Do duszy jéj niewinnéj jak umysł dziecięcia,
Nie trafiły-by myśli światowéj niewiary:
Równie czyste jak serce były jéj pojęcia,
Obce jéj były ludzkich namiętności żary,
Tylko inna ją ciągle męczyła obawa,
Lękała się nieszczęścia, jakich strasznych zdarzeń,
Snuła smutne widzenia, wśród okropnych marzeń,
I tęskniła! kochając księcia Stanisława,
Całem uczuć bogactwem — namiętniéj i więcéj,
Niźli to wiedzieć mogła — w prostocie dziecięcéj.
Dotąd także nie przyszła jéj myśl, czy ta miłość
Ma jakie jutro? przyszłość przed sobą? Kochała,
I uczuciem przejęta — nic już nie badała,
Zbyt nieznaną jéj była — praw świata zawiłość.
Piękną jest taka duszy i serca przeczystość,
Lecz niestety! tę lilję — zawsze, to burz gromy
Złamią, to starga, zbrudzi — tknięciem, rzeczywistość,
Jéj powab jest nietrwały, przechodni, znikomy!
Na ziemi aniołami być — ludziom nie trzeba!
Pośród świata kolei, przeznaczeń, kłopotów,
Człowiek powinien ludzkich pełen być przymiotów,
Strzedz pilnie iskry Bożéj, mieć przeczucie nieba,
Ale żyjąc, z prawami natury wciąż zgodnie,
Badając prawdy życia — trzeźwo i praktycznie
Oceniając właściwie czyny, cnoty, zbrodnie,
Żyć zarówno moralnie, jak też i fizycznie.
Taka to tylko ciała z duchem równowaga,

Ułatwi życia próby — szczęściu dopomaga!
A nasza biedna Miryam zanadto anielską
Miała duszę! — I tylko różowo-świetlaną
Stronę życia poznała! Sferą marzycielską
Jak obłokiem czarownym wciąż była oblaną,
Nie umiała żyć tutaj, po ludzku, na ziemi,
Tylko skrzydeł jéj brakło — szkoda że zniknęły!...
Że się przed nią niebiosa już dawno zamknęły,
A ona je pamięta — i tęskni za niemi!..
Czemuż nie mogła wstrząsnąć śnieżystemi pióry,
I przed ludźmi, w nadziemskie ulecić lazury?!
Niestety! widać trzeba ofiar światu, krwawych,
Za mało Jezusowéj męki i skonania!
Po przesycie szkaradą postępków nieprawych,
Dopiero lud przychodzi do upamiętania.
Nadmiar złego, zabija złe swą własną bronią,
Reakcja sama przez się, w pojęciach u ludzi,
W wymaganiach, uczuciach, w zdaniu się obudzi!
I porzuciwszy tamto, za innem pogonią.
Ale tych, co wpierw chcieli postawić im opór,
Radziby wydać śpiesznie pod katowski topór,
I tych co inne zdania mają, inne czyny,
Tratują z zajadłością — pędząc na bezdroże,
Choć kiedyś ich śladami zapragną iść może!
I na grobach męczeńskich położą wawrzyny.
Biedna Miryam! wszak ona tylko wyznawała
Czystą wiarę Chrystusa, co braterstwo głosi,
Równa ludzi, kastowy przesąd, dumę znosi;
Wśród uczucia zupełnie o tem zapomniała,
Że między nią i księciem przepaść jest niezmierną!
Kiedyś — może niedługo — będziemy jéj zdania,
Że gdy *on* stale kocha, *ona* sercem wierną,
Nic im złączyć się związkiem małżeńskim nie wzbrania!

Ale dawniéj — *mezalians* był grzechem straszliwym!
Dziś sąd nań, stał się trochę więcéj pobłażliwym,
Zachodzi pod tym względem zdań szczególna sprzeczność,
Co już wróży na przyszłość niezgorzéj! Lecz — jeszcze
Uważają czyn taki za szał, niedorzeczność,
I starają się stłumić święte głosy wieszcze,
Co wołają: „Wszyscyśmy bracia równi, swoi,
Jednego Ojca Boga — Matki, ziemi — dzieci!
Biada temu, co dumny na uboczu stoi
I walki bratobójcze pośród bliźnich nieci!...“
Głos ten — z postępem czasu — silniejszym się stanie,
Zabłyśnie dzień zwycięztwa dla Prawdy kapłanów —
Ołtarz Piękna i Dobra, w świętéj chwale stanie,
Na gruzach ostatecznie zwalonych bałwanów,
Którym dotąd — niestety! pilną cześć oddajem,
I z mianem Chrystusowem, w imie Chrześcijaństwa,
Działamy starym, błędnym, okrutnym zwyczajem,
Nosząc w sercu ciemnotę, obłudę pogaństwa!
Ah! obyż jak najprędzéj światło prawdy świętéj,
Przeniknęło obłędu noc ponurą, czarną!...
Oby na téj, krwią ofiar żyzną — przesiąkniętéj
Ziemi — zakiełkowało dobra zdrowe ziarno,
Oby zakwitło cudnie i owoc wróżyło!..
Oby się Chrystusowe proroctwo spełniło!
O łagodnéj owczarni i jednym pasterzu,
O pobratymstwie ludów i Boskiem przymierzu.

VII.

Szybko mija czas lotny — po uroczéj wiośnie,
Wnet jak z pączka wykwitnie pełne wdzięków lato,
Aż niedługo przeleci! — Smutnie patrzym na to
Gdy nas żegna! i westchnie się za niem żałośnie,

Kiedy nam kilka wspomnień, zwiędłych kwiatów rzuci...
A jesień hymn zniszczenia ponuro zanuci.
Listopad już obnażył drzewa z pięknéj szaty,
Wicher świszczał i liście uschłe szeleściały,
Blade słońca promienie skąpo przeświecały,
Bo je wciąż kradły ziemi chmur szarawe płaty.
Na drodze pełnéj błota, wyboi, kałuży,
W pięć koni zaprzężona wlokła się kareta,
W niéj siedziało dwu mężczyzn — i jedna kobieta.
Widno z bardzo dalekiéj wracali podróży,
Bo było pełno waliz — a pakunków siła,
Ledwo się na wóz daléj jadący zmieściła.
To znajomi nam hrabstwo, wracają z stolicy,
Wraz z księciem Stanisławem. Długo tam bawili,
I teraz mają zamiar użyć zagranicy
Przez zimę. Lecz hrabina chce aby wstąpili
Do domu, na dni kilka — nim dalej pojadą.
Hrabia, jak zwykle zgodził się na zdanie żony,
A książe nic nie mówił — tylko zamyślony,
Pochylił nad dziennikiem czytanym twarz bladą.
Ruszyli więc — a teraz — do wsi się zbliżali
I biały wielki pałac, już błyszczał z oddali.
Hrabina, w szal turecki zręcznie owinięta,
Była bardzo spokojna — często uśmiechnięta,
Hrabia wsparty o wałki, poduszki karety,
Ziewał, ale ukradkiem, przez względ etykiety.
A książe patrzył w niebo źrenicą zamgloną,
I gładził ręką brodę świeżo zapuszczoną,
Która mu dodawała pozoru męzkości.
Milczał — niekiedy ozwał się krótko, leniwie,
Na zaczepkę Elżbiety, która żartobliwie
Robiła różne minki, pełne zalotności;
Wreszcie — na trud się skarżąc — głębiéj się wsunęła,

I czy naprawdę, czyli udając — zasnęła.
Stanisław spojrzał żywiéj wówczas, ku parkowi,
Który już się rysował wyraźnie przed niemi,
I przyglądał się długo drzewom, pałacowi,
A potem spuścił głowę — palcami białemi
Przetarł błękitne oczy — przyjrzał się paznogciom,
Wygodne umieszczenie nadał obu łokciom,
I na miękkiem, rozłożon swobodnie wysłaniu,
Oddał się całkowicie myślom i dumaniu.
Posłuchajmy tajemny monolog bezsłowny:
— A więc — myśli Stanisław — ujrzę Miryam śliczną
Niezadługo! Co robi mój anioł cudowny?....
Doprawdy! śmieszność! wielbię miłość platoniczną!..
Jak pasterz gotów jestem wzdychać, kwilić skromnie,
I to całkiem niechcący! Gdy się zastanowię
Nad tym całym romansem — miesza mi się w głowie!
Coby też pomyślały moje damy o mnie,
Gdyby się dowiedziały, żem tak idealny!
Żem przed pięknem dziewczęciem, jak student lękliwy,
Drżał — maleńkiem ustępstwem ciesząc się szczęśliwy,
I skarb mając, wypuścił—go z rąk nietykalny!
Oj! szydziłyby ze mnie—aż mię biorą dreszcze!
A przecież.... to jest dziwnem! ona gdyby chciała,
Toby mię do szaleństwa nakłonić zdołała!...
Jabym uległ jéj woli—jabym dzisiaj jeszcze
Był względem niéj nieśmiałym!... Czuję to niestety!...
Mam dla niéj mimowolną cześć—jak dla kobiety,
Któraby pozostała moją ślubną żoną....
Żoną?! Miryam, żydówka—hrabiów wychowanka!
Ah! jakże wyobraźnia moja jest szaloną!...
Nawet kompromituje mię jako kochanka,
Cóż dopiero na żonę!... Biédne, śliczne dziecię!
Czemu nie urodziłaś się na wielkim świecie?!

Piękna, czysta, rozumna, lśniłabyś jak gwiazda
Między mgławym tumanem naszych patrycjuszek,
Nad wszystkie ich oznaki, że z pysznego gniazda
Starych orłów pochodzą—jeden twój paluszek,
Różowy, drobny!—świadczy, jako dowód pewny,
Że masz ciałko piękniejsze od rodu królewny!
A jednak to nikogo z naszych nie przekona,
Żeś od nich więcéj warta, lepiéj urodzona!
Ha! trudno! prawa świata—trzeba je szanować!
Ale nikt nam nie broni, po za kulisami,
Komedji téj życiowéj będąc aktorami,
Swobodnéj przyjemności po cichu skosztować!
I twoją się—ty różo Jerychońska wonna,
Nasycić mi pięknością!—Tu Staś z miłym wdziękiem,
Oparł głowę wzniesioną na wysłaniu miękkiem.
Hrabinę już znudziła cisza monotonna,
— Stasiu!—rzekła—nad czem ty rozmyślasz tak pilnie?
Czy nad minionym gwarem tych zabaw wspaniałych?
Nie warto! i na innych będziesz nieomylnie,
Zawsze, królem zabawy!—i do słów tych śmiałych,
Dołączyła maleńkie lusterko podróżne,
—Spojrzyj tu Apolinie!—Wolę na Wenerę
Patrzéć!—odparł z uśmiechem.—I te serca próżne,
Mile przyjęły wzajem grzecznostki nieszczere.
Ale już i wjeżdżali w pałacową bramę,
Wszystko było w istocie, jednakie, to same,
Jak w chwili ich wyjazdu. Lecz na pozór inne,
Jesień tak spustoszyła ogród, dawniéj miły,
Niebiosa wszystko barwą ołowiu przyćmiły,
Aż książe się strofował za strachy dziecinne,
Jakiemi go te smutne widoki przejęły;
I zmuszał tylko usta, by się uśmiechnęły.
Hrabina wymawiając się wielkiem strudzeniem,

Dała wiedzieć, że dzisiaj do stołu wieczerzy,
Nie przyjdzie. Hrabia wyrzekł z głębokiem westchnieniem,
Że cały wieczór, czując się słabym, przeleży,
Stanisław więc zupełnie był swobodnym. Długo
Rozmyślał co ma czynić? Chodził po salonie,
Gryzł wargi, ściskał pięście i pocierał skronie,
Zepsuł zegarek, wazon zrzucił i z papugą
Misterną klatkę, idąc zaczepił niechcący,
Był bardzo niespokojny, zły, aż się służący
Dziwili, bo go takim nigdy nie widzieli.
A książe ciągle myślał.—Od czasu rozstania,
Nic już o sobie wzajem z Miryam nie słyszeli,
Więc co ona porabia?—czy czeka spotkania?
Czy zawsze jednakowa? Prawie się obawiał
Stanąć przed nią—choć widzieć żądał jéj serdecznie,
Lecz tysiąc różnych uczuć walczyło w nim sprzecznie:
Potępiał się, unosił, sam przed sobą sprawiał,
Że słusznie postępował, zamiar ma logiczny,
Bo człowiek przedewszystkiem winien być praktyczny,
I nakoniec gdy przyszła noc—jakby z nałogu
Machinalnie wziął czapkę i stanął na progu,
Potem zbiegł do ogrodu, krokiem pewnym, śpiesznym,
Wciąż sobie powtarzając — że jest bardzo śmiesznym!
Pod oknem pokoiku z zielonem obiciem,
Szeleściły jaśminy bezlistnemi prątki,
Czerniły się bez kwiatów opuszczone grządki,—
Książe z okiem spuszczonem, z mocnem serca biciem
Dotarł wreszcie do celu—spojrzał—za firanką
Błyszczało mdłe światełko—zapukał cichutko,
Otworzono—Wejść proszę! ktoś wezwał milutko,
Wskoczył żwawo i znalazł się—tuż przed Zuzanką!
—Tyżeś to! a gdzie Miryam? spytał z przerażeniem.
—Miryam?! Czyli doprawdy książe pan nic nie wié?

Odpowiedziała Zuzia z sztucznem zadziwieniem.
—Nie! powiedz mi—gdzie ona? wołał książe w gniewie.
—Panna Urszula Zmorska oddawna w klasztorze!
Żądała tego gwałtem — biedactwo! mój Boże!
Widać jakiś grzech tajny miała na sumieniu,
Wszyscy się sprzeciwiali temu jéj życzeniu,
Ale tak narzekała, aż bolały uszy,
Że chce być zakonnicą dla zbawienia duszy!
—Nie może być!—rzekł książe—ona, do klasztoru!
Taka piękna i młoda! przytem świat lubiąca,
Zkądże jéj do klasztoru taka chęć gorąca?
—Nie wiem!—odparła Zuzia—bo mnie tu nie było,
Tylko mi powiedzieli co się z nią zrobiło,
Że się jéj pobożnością wszyscy zbudowali,
I jéj modłom, jak świętéj chętnie polecali;
Bo ciągle pośród postów, umartwienia żyła,
Jak druga Magdalena, tak gorliwą była
W żałowaniu za grzechy, pełna pobożności.
—Biedna!—westchnął Stanisław—ofiara miłości!
Żal mi jéj! taka cudna! ah! doprawdy—szkoda,
Że pod mniszki habitem zginie ta uroda!
Musiał jéj kto skrupułów niewczesnych narobić,
Do pojęć fanatycznych duszę usposobić!
—Ależ ona tu z nikim nawet nie gadała!
Niech mi książe pan wierzy, zrobiła jak chciała!
Mówiła Zuzia wiążąc końce pelerynki,
I ubiór poprawiała—mając skromne minki,
Ale książe—był nadto wzruszony głęboko,
By zważał na cokolwiek—stał smutny, ponury,
Wodził na okół siebie roztargnione oko,
Szepcząc: Biedna! skryła się za klasztorne mury!
Jaka szkoda!... Biedaczka!... tyle poświęcenia!....
Lecz Staś wyznał przed sobą mimo rozrzewnienia,

Że nie mogło się lepiéj zakończyć! Dziewica
O wzniosłéj szlachetności jego przekonana,
Dobrowolnie się zrzeka praw swych. Tajemnica,
Jak najściśléj przed światem będzie zachowana,
A on wyszedł z honorem—choć z trochą przykrości,
Lecz wolał to, niż szereg utrapień możebnych,
Z téj szalonéj, władnącéj nim silnie miłości,
A jednak, choć się lękał wzruszeń niepotrzebnych,
Bo to starość przyspiesza—miał szczerą ochotę,
Klęknąć przy łóżku Miryam i zapłakać rzewnie,
Bo w sercu czuł ogromną próżnię i tęsknotę.
—Książe Pan—chce powrócić do siebie już, pewnie,
Nieśmiało rzekła Zuzia spuszczając powieki,
—Ale na co przez ogród kurs robić daleki,
Ja poprowadzę cicho przez sionkę i wschody,
Aż do apartamentu! Dojdziem bez przeszkody!
—Dobrze! odparł łagodnie—powiesz mi co może,
Jeszcze o biednéj Miryam!—Ja nic nie słyszałam!
Przyszłam tu, bo się księcia pana spodziewałam!
Rzekła Zuzia naiwnie—westchnąwszy—Mój Boże!..
Staś nigdy swoich wrażeń niczem nie potłumiał.
I uczuć kryć głęboko, tajemnie nie umiał.
Więc lżej mu było trochę—że mógł opowiadać
Przed kimkolwiek, co czuje.—Zuzia każde słowo
Rozszerzała wybornie stosowną rozmową,
Aż się książe formalnie zaczął jéj spowiadać,
I choć dawno już doszli do pokoju księcia,
On mówił bez przestanku—ona go słuchała,
A Staś widząc że wszystko dobrze pojmowała,
Mówił płynnie, wytwornie i nie bez przejęcia.
O stosunkach z hrabiną—awanturach różnych,
Swem znudzeniu—o Miryam—i swoich zamiarach,
O stanowiska swego niezmiernych ciężarach,

A wreszcie o przygodach i trudach podróżnych.
Zuzia była przystojna—dowcipna i miła,
Smutek księcia swobodą pozakulisową,
Jakiéj on właśnie pragnął, tak rozweseliła,
Że zapomniał swych żalów, smutną sprawę ową,
I rzekł śmiejąc z żartu dziewczęcéj pustoty,
Wychyliwszy nie jedną szampańskiego szklankę:
—Na rozpędzenie smutków naszych i nudoty,
Bodaj to księciu taką, jak ty miéć kochankę!
—A gdyby książe tego lekarstwa spróbował?
Rzekła śmiejąc się Zuzia—czy tak bardzo wstrętne?...
Stanisław zwrócił ku niéj wejrzenie namiętne,
—Skosztuję!... i z uśmiechem dziewczę pocałował.

A Miryam?... czy się ona tego domyślała,
Jakim był ten którego tak bardzo kochała?!
Że jak dziecko milutki, lecz jak dziecko—słaby,
Tkliwy a zniewieściały—typ téj kasty całéj,
Z wielkich ojców zrodzonéj—lecz nędznie skarlałéj!
Miał porywy zapału—łudzące powaby
I nic więcéj! moralne przymioty i siły,
Przed rozwojem—zostały stłumione w iskierce,
Może gdyby jéj—losy tę prawdę odkryły,
Od męki rozczarowań—pękłoby jéj serce!
Bo dla uczuć serdecznych, dziewiczych przeczystych,
Co wielbią swój ideał cudnie wymarzony,
Otaczając go nimbą zalet promienistych
Topiąc w nim wzrok swéj duszy, czuciem zaślepiony,
Nic nie ma straszniejszego nad rozczarowanie!
Gdy jak bańka mydlana, pierwéj taka cudna,
Pryśnie nagle! a oczom zdumionym zostanie
Do widoku bezbarwna, mała kropla, brudna.
O! wtedy biednem sercem—takie szarpią bóle!...
Dobry los—że choć od nich uchronił Urszulę!

VIII.

—I po cóż mówić tęsknie—że nic się nie wróci?
Kiedy dowód przeciwny widzimy w naturze!
Spojrzyj—wiosna wróciła—kwitną znowu róże,
Czegóż się twoje serce tylko ciągle smuci?
Tak mówił młody człowiek z wesołem wejrzeniem,
Do kolegi—którego twarz piękna, myśląca,
Pochmurnym melancholji słoniła się cieniem,
A źrenica jak gdyby łzą tłumioną lśniąca...
Obadwa powracali z przechadzki zamiejskiéj,
Gdzie chodzili używać pełnéj przyjemności
Swobody ciszy, wdzięku i prostoty wiejskiéj,
I podziwiać naturę w jéj całéj piękności.
—Czemu? odparł towarzysz z łagodną tęsknotą,
Po cóż tobie, Henryku! mnie się pytać o to?
Tyś szczęśliwy—wesoły—bo może z tą wiosną,
Wyśpiewasz twoją pierwszą piosenkę miłosną,
Pierwszy kwiat twoich uczuć z pączka się rozwinie;
Lecz zaczekaj—aż cudna ta pora przeminie,
Aż gniazdko twego szczęścia zły los ci rozburzy,
Aż przetrwasz grad pocisków, straszną wściekłość burzy,
I miesiące zimowe! Wtedy, obojętnie
Przyjmiesz powrót wiośnianéj pory!—nie w jéj wdziękach
Będziesz szukał tych skarbów—lecz zwrócisz się smętnie,
Do przeszłości.—I kwiatu coś go pieścił w rękach
Przed rokiem—dziś nie znajdziesz! on usechł! on w grobie!
Z żalem spojrzysz na szczątki listeczków zmienionych,
A mnóstwo ich brakuje, bez śladu straconych,
I zapłaczesz nad brakiem—pobledniesz w żałobie
Za zwiędłemi kwiatami złudzeń i nadziei,
Za snami młodzieńczemi, miłosnym urokiem,
Wszystko przeszło! minęło! Smutnem, zimnem okiem

I ty wtedy na życie popatrzysz z kolei.
A jednak ktoś, co znowu rozpoczął wędrówkę
Tę samą, którąś skończył dopiero—z uśmiechem
Wstąpi na swoją drogę—robiąc ci wymówkę,
Ża taka obojętność na piękno jest grzechem!
Lecz twe serce zbolałe tylko się zasmuci,
I szepniesz: moja wiosna minęła—nie wróci!
—Ty, bo tylko wciąż widzisz groby i cmentarze!
Odparł Henryk z niechęcią: — samo złe widziałeś,
Trosk, nieszczęść, rozczarowań tysiące doznałeś,
I drugich niemi straszysz! Lecz to są potwarze!
Jest radość, młodość, piękno—są także cierpienia,
Ciche smutki się często z weselem spotkają,
Łzy popłyną wraz z skargą—a potem znikają,
I znowu się uśmiechem życie rozpromienia!
Patrz! właśnie taki obraz mamy tu przed sobą:
Między ludną ulicą i ogrodem ślicznym,
Stoi kościół i klasztor, poważny żałobą,
Dostojny swoją ciszą, smętkiem poetycznym.
Tutaj gwar—a tam spokój!—te dwie przeciwności
Dobrze harmonizują!—tu serca gorące
Rwą się do walki i próby—tamte skromne, drżące,
Przed trudem się cofnęły—lecz pełne godności,
Jak Marja u stóp Mistrza—lepszą część obrały,
Nie odjętą im nigdy! W prawdę się wsłuchały,
Uniesione uczuciem, marzące łagodnie
O rzeczach świętych!—Dziecko! to ty wierzysz temu?
Jak błogo się rozczulasz! a wiesz? tu są zbrodnie!
Te z świętem godłem mury, ileż razy, złemu
Dają chętny przytułek! ile tu się mieści
Krzywd, bezprawi, ohydy, skargi, łez, boleści!
Aż zgroza bierze tego, co się wtajemniczył
W tę jaskinię obłudy!—Jabym sobie życzył,

Odparł Henryk,—cokolwiek wiedzieć to obszerniéj;
Dostarcz faktów—twierdzenie jest mało głębokiem!
—Dobrze! jeden ci tylko opowiem najwierniéj,
Który na własne oczy widziałem—przed rokiem,
W tym klasztorze!—Co? tutaj!—Tak, tutaj to właśnie!
Posłuchaj! a twój zapał do pozorów zgaśnie!
Że nie samą głosiłem czczą, pustą teorję,
Ale prawdę stwierdzoną istotnym przykładem,
Niechcę złośliwym bryzgać i potwarczym jadem,
Bo mówiąc to, o własną potrącam historję,
Ranę serca mojego dotykam w téj chwili!...
Posłuchaj—miałem piękną, dobrą narzeczoną,
Kochałem ją! miłością nieograniczoną,
Rodzice na nasz związek chętnie się zgodzili,
I byłem tak szczęśliwy!... marzyłem z roskoszą
O dniu, w którym na wieki złączę się z kochaną,
Wierzyłem, że się wszystkie me troski rozproszą,
Gdy ją zyskam!—oh!—przyszłość widziałem świetlaną!
Życie mię napoiło już żółcią—lecz ona
Była słodkim balsamem, za wszystko nagrodą!
Cóż na świecie przykrego! gdy miłość osłodą?
Gdy łagodna, rozumna, kochająca żona,
Zmęczoną naszą głowę, do piersi gorącéj
Przytuli ze współczuciem!—chmurę smutku z czoła
Pocałunkiem wygładzi—słowem kochającem
Ukoi! Zda się, że masz przy sobie anioła!
I czułem że się lepszym, doskonalszym stanę,
Gdy będzie przy mnie, moją, ta święta istota,
Zachwycały mię wdzięki, jéj cudna prostota,
W sercu mem niebo było!—i blaski świetlane!
Zosia moja—jedyna córka, dobre dziecię,
Wychowane starannie, wśród cnót i miłości,
Była istnym wyjątkiem, cudem na tym świecie,

Nie miała wad! prócz jednéj—zbytek pobożności!
Jam wierny Chrześcijanin—ale mi się zdało,
Że Zosia do przesady pobożną się staje,
Alem to lekko ważył—i troszczył się mało,
Myśląc—że ją po ślubie trochę odzwyczaję
Od zbyt częstéj spowiedzi—postów i pacierzy;
Widziałem że mnie kocha, a więc mi zawierzy,
Że nie na tem religja Boska się zasadza,
By świata zapomniawszy—tonąć w fanatyzmie.
Inaczéj ja sądziłem o Chrystyjanizmie!
Modlitwa dobrych czynów, litość dla bliźniego,
Dążność święta ku prawdzie, i z naturą zgodne
Ludzkich praw, obowiązków, pojęcia łagodne,
Walka z podłem i zacne unikanie złego:
Oto podług mych pojęć—religija! Ah! czemu
Inne, wstrętne, poczwarne zasady i czyny,
Wyznawane przez intryg i podłości syny,
Ubliżają téj nazwie i uczuciu temu?
Tylu mamy wyniosłych, złych Faryzeuszów!
Co gardzą Celnikami, choć sami grzesznicy,
Ciskają grom na wszystkich niby ateuszów,
A straszne ich postępki giną w tajemnicy,
A mało tych—co Boga czczą nie swych warg ruchem,
Ale sercem i czynem!—Biedna Zosia moja!
Pod złym wpływem i zręcznych zabiegów podmuchem,
Codzień więcéj stawała się dzika i nieswoja,
U spowiedzi bywała co tydzień!—w kościele
Przesiadywała poranek prawie każdy!—cały!
Spoważniała, a lice zbladły, zeszczuplały;
Postrzegłem się zbyt późno, że tego zawiele!
Zacząłem perswadować, prosić jéj, tłumaczyć,
Zosia to uważała za herezję zdrożną,
I podnosząc oczęta z mimiką pobożną,

Błagała Boga, by mi raczył grzech wybaczyć!
Zbliżał się termin ślubu—meta mego szczęścia,
Ale Zosia się dziwnie zrobiła lękliwą,
To chciała odwlec chwilę swojego zamęźcia,
To płakała po cichu.—Czyś ty nieszczęśliwą?
Spytałem jéj raz z żalem—może twoje serce
Zmieniło swe uczucia?—Nie, ale w rozterce
Szarpie się w mojem łonie!—tak odpowiedziała,
Zalewając się łzami.—Napróżno pytałem,
I tkliwie przemawiając, rączki całowałem;
Kryjąc mi powód smutku—upornie milczała.
Aż raz—wchodzę w próg domu ich— było to rano,
Rodzice jéj—z śladami łez na licu zbladłem,
Wybiegli—ku mnie, krzycząc:—Nie ma jéj! — Przypadłem,
Chwyciłem list od matki—z płaczem go czytano
Przed chwilą.—Ah! bo strasznéj, okrutnéj był treści,
Zosia mnie i rodziców, wszystko opuszczała,
Bo zostać zakonnicą—Bogu ślubowała.
Przeczytawszy to—z nagłéj omdlałem boleści!....
Ha! potem poznaliśmy ślubów tych przyczyny,
Zakonowi ponętnym był posag dziewczyny!
Ksiądz spowiednik znał dobrze korzyści téj duszy,
Gdy ją zjedna klasztornym murom! Ja myślałem,
Że Zosię nasza rozpacz i błaganie wzruszy,
I widzieć się z nią bardzo gorąco żądałem.
Po zatargach wpuszczono mię do rozmownicy,
Czekałem—po za kratę wzrok przeniosłem chciwy,
I niechcący—zostałem świadkiem tajemnicy,
Niepojętéj! Wśród ciszy—nagle przeraźliwy
Rozległ się krzyk—a potem gwary pomieszane,
I kroki.—Ktoś uciekał przez korytarz ciemny,
Goniony!—Mnie o Zosię strach porwał tajemny
Lecz to nie była ona! Szaty potargane,

Twarz biada, wielkie, czarne, błędne z bólu oczy,
W nowicyuszki ubiorze—przebiegła dziewica!
Mignęła cudna postać, niby błyskawica,
Ledwom ujrzał jéj profil prześliczny, uroczy,
Znikła—tylko raz jeszcze zabrzmiały jéj jęki,
Jakby komu najsroższe zadawano męki;
Łkania, krzyk—i ucichło!—Co to jest?—spytałem
Zakonnicy, co zamiast Zosi wyszła do mnie.
—To warjatka—odparła, kryjąc oczy skromnie.
—Ha! tu można zwarjować prędko, pomyślałem.
Chcąc Zosię choć uporem do wyjścia przymusić,
Przedłużyłem rozmowę—i pytam się siostry
O szczegóły choroby.—Zabrzmiał wyrok ostry:
—Widocznie opętana! Zły ją musi kusić!
Nie słucha matki ksieni, bluźni i wyrzeka,
Płacze po całych nocach,—choć wié co ją czeka,
Jeżeli się nie podda!—Co?—pytałem żywo.
—Eh! nic!—prosimy Boga, by tę nieszczęśliwą
Zwrócił na świętą cnoty i pokuty drogę!
Widząc, że się już z Zosią zobaczyć nie mogę,
Z rozpaczą głuchą w sercu do domu wróciłem.
Rodzice ze zmartwienia ciężko chorowali,
Opuszczonym choć w części córkę zastąpiłem,
I oni mię jak własne dziecię pokochali,
Jednak życie zatrute nam było cierpieniem,
I każde z nas goniło tęsknie za wspomnieniem.
Słońce szczęścia naszego zaszło już na wieki,
Smutek wpił się do serca—łzą brzmiały powieki!...
Od Zosi rzadko kiedy miewaliśmy wieści,
Pisała krótko—prosząc, aby klasztorowi
Oddać część majętności, co posag stanowi!
Ten list tylko pomnożył nasz żal i boleści,
Bo widzieliśmy jasno, że z swą dobrą wiarą,

Podłych, nikczemnych intryg stała się ofiarą.
Ojciec do niéj napisał, to z czuciem błagając
O powrót do rodziny—to z groźną rozpaczą,
Swe dziecko nieposłuszne prawie przeklinając.
Lecz to nic nie pomogło!—Gdy pojęcia spaczą,
Młodą duszę napoją błędnemi zasady,
To już na to nie znajdzie się leków, ni rady!
A jednak—jéj serduszko, dobre, ciche, tkliwe,
Musiało strasznie cierpieć! bo w miesięcy parę,
Smutna wieść dopełniła nieszczęść naszych miarę...
Umarła biedna Zosia—dziecko nieszczęśliwe!
Nie mogła znieść téj walki, na jéj umysł słaby
Nadto ciężkiéj!—O, stokroć podły jezuita,
Który jak zdradny pająk, muchy w sieć swą chwyta,
I umie znaleźć w słowach, przynęty, powaby,
Aby tym niewiniątkom tak zawracać głowę,
Niech tę śmierć na sumieniu poniesie przed Boga!
I łzy nasze niech trapią go, jak zmora sroga!
Niech przepadnie i zginie plemię Judaszowe!...
—Mój biedny przyjacielu! twą boleść pojmuję—
Odparł Henryk wzruszony—oburzenie czuję!
Jakież szkaradne brudy kryją pod płaszczykiem
Świętym!—Lecz powiedz jeszcze, co się z tamtą stało,
Którą wtedy widziałeś chroniącą się z krzykiem?
—Odtąd jéj ludzkie oko nigdy nie ujrzało
Zdjęty wielką litością dla biednéj dziewicy,
Pytałem się kilkakroć o nią zakonnicy,
I co mnie dziwi — że mnie ona zapewniła,
W kilka tygodni potem—że tamta umarła;
Ale sądząc nieufnie, że kłamstwo mówiła,
Zapytałem się drugiéj—ta się wręcz wyparła,
Że tu żadnéj warjatki nie ma i nie było,
Że to plotka niegodna, potwarz złość nieczysta!

—Wiesz, że to mnie niezmiernie dziwi, oczywista
Intryga! Śledzić może to by się godziło?...
—Daj pokój!—odparł starszy—kto tę otchłań zgłębi!
Nie wydrzesz już gołąbki ze szpon tych jastrzębi!
Ot! chodźmy! Może przyszłość świat przecie oczyści
Ze zbrodni, hypokryzji, brudów i zawiści,
My—choćbyśmy zburzyli nawet i klasztory
Złego nie wykorzenim, ono w ludziach leży,
Zniesie je postęp—wsparty zastępem młodzieży,
Którzy dzielnie wywalczą ludom nowe tory!—
Z pieśnią świętą, z wolności i czynu sztandarem!
A próchno i zgnilizna samo się rozsypie,
Kruki, wstrętne puszczyki, zakraczą na stypie,
Zapadnie się mogiła, pod własnym ciężarem!...
Zagrzebie niewiadomych ofiar liczne ciała,
Lecz to smutna konieczność!—Tak gwarzyli oba,
Znać że się Henrykowi ta mowa podoba,
Bo mu ogniem źrenica nagle zajaśniała:
—O tak!—odparł—byt przyszły, szczęśliwszy ludzkości,
Zawisł od woli, siły, uczuć, działalności
Nas—młodych! Wszak my sercem narodu jesteśmy!....
—Tylko szczerze, wytrwale się do czynu weźmy!
Odrzekł Jan—nie sięgajmy za krańce możności,
Niech każdy choć materjał teraz przysposobi,
A resztę—i następca w przyszłości urobi!—
Przyszłość! to wielkie słowo! biada kto niepomni,
Że skutki naszych czynów uczują potomni!...
Żeśmy tylko członkami olbrzymiego ciała
Co się zowie ludzkością! Wielka to nauka
Praw społecznych! w nich mądrość i potęga cała,
Tam, kto chce być człowiekiem, niechaj prawdy szuka!
Nie oddalon od świata—ale pośród świata,
Z zasadami Chrystusa zgodny, podług tego

Niech żyje, uważając bliźniego za brata,
Spragnionego napoi, nakarmi głodnego,
Niech zbłąkaną owieczkę poniesie na barkach,
Mniéj mówi o massonach, lutrach, niedowiarkach,
A niech szczerzej się zajmie udoskonaleniem
Własnéj swojéj istoty—ludów zjednoczeniem!..
—Ty nie lubisz przeszłości?—rzekł Henryk z zapałem,
A ja kocham ją duszą całą, sercem całem!
Ona ma dla mnie taki powab, jak wspomnienie,
Rodzinnéj mojéj chaty!—Ja—odparł mu drugi,
Śledzę, ze czcią prawdziwą, z szczerem uwielbieniem
Wielkich mężów przeszłości czyny i zasługi,
Ojczystą swoją ziemię i chatę — serdecznie
Kocham! Ale gdy spojrzę okiem historyka,
To surowość mą władnie — i zgroza przenika,
I mój rozum i serce stawiają się sprzecznie!
Nie będąc zaślepionym — widzę straszne błędy,
Ciemnotę, przesąd, zbrodnie, kierunek fałszywy,
Szaleńców ku przepaści wiodących bieg krzywy,
Których pragnie się ostrzedz: Nie tędy! nie tędy!
Tam zginiecie samochcąc! i światło swéj duszy,
Co gdzieniegdzie tli jeszcze w słabiuchnéj iskierce,
Zagaśnie przytłumione!.. Wierz mi — kto ma serce,
Ten choć kocha rodzinę — jednak też się wzruszy
Na nieszczęścia obcego! — Mnie, chłopów poddaństwo,
Buta szlachty, swawola, i panów bezprawia,
I władzy rodzicielskiéj okropne tyraństwo,
I pognębienie kobiet! — w zachwyty nie wprawia!
A niektóre imiona gwałcicieli dumnych,
Muszą wzbudzić dreszcz wstrętu u wszystkich rozumnych,
Tak jak inne nazwiska, bohaterów, wielkich,
Przejmują myśl podziwem i serce radością.
— Ale powiedz — te czyny były koniecznością

Wynikłą z ducha wieku! widzimy we wszelkich
Objawach współczesnego pojęcia też błędy,
U nas jeszcze mniéj było fanatyzmu, zbrodni,
Niźli ich postrzegamy u sąsiadów — wszędy!
A! kto wie? czyśmy teraz nie gorsi, wyrodni!..
— Stój Henryku! na Boga! pokora fałszywa!
Głos miły jezuitom przemówił w téj chwili!
Przystoiż to, abyście pokornie kwilili!
Gdy nas postęp do życia zaszczytnie przyzywa!
Gdy nareszcie możemy siły zużytkować,
Z chwałą, zacnie, szlachetnie! Gdy młodym być wolno,
I z piersią silną! zdrową myślą! ręką zdolną!
Ster łódki społeczeństwa możem obejmować!
Wstydź się! — Na te wyrazy Jana tak gorące,
Zadrżał Henryk i podniósł czoło pałające,
Znać że iskra w płomienie buchnęła gwałtownie,
Że się w nim jakaś siła znalazła cudownie,
— Janie! — zawołał śmiało, ty mię sądzisz mylnie!
I ja będę pracować — szczerze i usilnie!
Ale powiedz mi czemu? — gdy pełne nadziei
Snułem myśli — tyś odrzekł mi słowo, *mogiła!*
A teraz przy zwątpieniu, znów twoja z kolei
Mowa, mię pocieszyła, a żale skarciła?
— Czemu? bo w tem ogromne zachodzą różnice!
Kwiat szczęścia — krótko kwitnie — opada za chwilę,
Jam go złożył na zawsze zwiędnięty w mogile,
Tam gdzie Zosię pogrzebli — najmilszą dziewicę!...
Moje serce i tęskni, i płacze, i smuci,
Nie znam uśmiechu, ani dawnéj wesołości,
I wiosna mego szczęścia nigdy już nie wróci!
Ale choć już skończona pora méj miłości,
Póki żyję, to na mnie obowiązki ciążą
Względem bliźnich, najściślćj wypełniać je muszę!

Węzły nierozerwane do ziemi mię wiążą,
Oprócz serca, mam jeszcze myśl, rozum i duszę;
To na mnie wkłada wielkie, święte powinności,
Nie mogę apatycznie gnuśnieć w swéj żałości!
Jam pracownik — którego żale i frasunek,
W obliczu pryncypałów — nie wchodzą w rachunek!..
Teraz kielich życiowy z rezygnacją sączę,
I śpieszę do swéj mety, po właściwej drodze,
A kiedyś — może z moją Zosią się połączę...
Lub przynajmniéj choć martwy, spocznę przy niebodze!..
I Jan łzawe źrenice powieką przysłonił,
Westchnął cicho — i myślą daleko pogonił,
A Henryk ścisnął jego dłoń w wielkiem wzruszeniu,
I zadumał się także, wtorując westchnieniu.

IX.

Wiosna! Młodość! to pora w świecie najcudniejsza!
Przepełniona uczuciem nad roskosze słodszem!
Pragnienie, marzeń barwa, świeża, najpiękniejsza,
Rozwija się prześlicznie w pokoleniu młodszem,
I na starszych odbiciem swoich blasków rzuca.
Wiosna! Młodość! w orszaku wesela, piękności,
Nieznająca burz, gromów — ledwo się zasmuca
Lekkim chmurki obłokiem — i znów, wśród jasności,
Lazurową pogodą uroczo się śmieje!
Szczęśliwy ten co jeszcze nie przeżył téj pory,
Co posiada wiosenne lata i nadzieje,
I rwie się naprzód, życia ciekawy, i skory
Do użycia owoców, które mu kwiat wróży,
I dłoń miękką wyciąga po gałązkę róży!
Nim pozna z doświadczenia jéj kolce kłujące
Upoi się jéj wonią — nim słońce palące

Dokuczy mu — i barwa spłowieje zielona,
A tęsknota się zmieni w przesyt, żądzę chciwą,
Przeżyje on niejednę chwilę tak szczęśliwą,
Że najmilszą — nad wszystkie mu zostanie ona!
Lecz nie wszyscy tę porę właściwie ocenią,
Inne mają pojęcie o chwil tych znaczeniu,
I własną winą nieraz, plącząc się w cierpieniu,
Dopiero się spostrzegą, gdy się one zmienią
Na troski, i boleści, i smutki prawdziwe,
Ile tamte marzone nieszczęścia i straty
Były nikłe, maleńkie — a nawet szczęśliwe!
Ile skarbiec ich szczęścia był wtedy bogaty!
Tak młody Henryk — mową Jana podniecony,
Czując w sobie nadludzką siłę i odwagę,
Że nie mógł jéj okazać był bardzo zmartwiony!
I wziąwszy znowu rzeczy pod ścisłą rozwagę,
Pożałował że się też tak późno urodził!
Gdyby to w czasie wojen Szwedzkich lub Tatarskich,
Toby to było pole do tych czynów dziarskich,
Do jakich pałał chęcią! — Próżno czoło chłodził
Zdjąwszy kapelusz, kąpiąc je w wietrze wieczornym,
Krew mu biła do głowy — i serce jak młotem,
Pragnął czegoś — ah! choćby zostać Donkiszotem!
A w przechodzie ujrzawszy dziedziniec klasztorny,
Przypomniał sobie żywo smutną powieść Jana,
Którą przed godzinami kilkoma usłyszał—
W wyobraźni stanęła mu owa „nieznana“
Warjatka! — Nagle pobiegł, i aż się zadyszał,
Tak szybko pod klasztoru mury się przybliżył,
Ukląkł, ucho przychylił — do ziemi się zniżył,
Bo mu się wydawało, że wśród nocnéj ciszy,
Jakiś jęk, skargę, łkanie przytłumione słyszy.
Czekał — oddech stłumiwszy — całe pół godziny,

Nic nie przerwało pełnéj uroku cichości,
Tylko słowik z daleka nucił wśród krzewiny,
Tylko wietrzyk obwiewał go fąlą wonności.
Wreszcie, młody — sam z siebie uśmiechnął się gniewnie,
—Ot! głupstwa robię — to mi się zdawało pewnie!
Szepnął wstając — lecz znowu przypadł cały drżący,
Wyraźnie słyszał jęki — głos ludzki, stłumiony,
Przerywanie litości, łaski, wzywający.
Henryk wylękły prawie — pobladły, zdumiony,
Nie wiedział co ma czynić —czy o pomoc krzyczyć?
Czy stukać do klasztoru? — lecz po chwilce małéj,
Postanowił Janowi rzec o sprawie całéj
I z początku nikogo w to nie wtajemniczyć.
Jęk ucichł — choć brzmiał przed tem—nie ma wątpliwości.
Henryk poczekał jeszcze długo — już świtało
Gdy odszedł — jakoś trochę z swéj zapalczywości
Ochłonięty — A jeśli mi się też zdawało?
Myślał idąc do domu — Może to puszczyki
W starych murach klasztoru wydają te krzyki?
I choć przez dzień następny, chodził jak raniony,
Lecz nic nie rzekł nikomu. — O wieczornym zmroku,
Był jak zwykle u Jana — mówił roztargniony,
I śpieszył się, niezwykły wyraz mając w oku.
Wracał ztamtąd — tak prędko, jakby go kto gonił,
I z ręką wciąż na piersi — gdzie pistolet schował,
Koło murów klasztoru usilnie czatował.
Aż się wreszcie za wyłom gruzów zręcznie schronił.
Rozejrzał się w około — zajął stanowisko
Trochę inne wczoraj — Cel klasztornych szyby
Świeciły mu nad głową — Ale bardzo blisko
Stanął miejsca zkąd słyszał wczoraj jęk, i gdyby
Choć najlżejszy głos dobył się z miejsca owego,
Był pewny że nie może ujść słuchowi jego.

Ucichł gwar miasta zwolna — zamilkły i ptaki,
Wszystko spało. — W tem Henryk skoczył jak sparzony,
Ktoś jęknął! — i wyraźnie! — a głos to był taki
Żałosny, miękki — silny, chociaż przygnębiony,
Że jak sztylet mu w sercu przeniknął boleśnie,
Jęk przedłużył się w piosnkę — dziwaczną, łkającą,
Żalącą się tak cicho, jak dziecina we śnie,
I słabo coraz cichszym jękiem konającą.
Już teraz znikły względy, skrupuły młodziana,
Szybkim, szalonym biegiem poleciał do Jana.
A gdy ten wierzyć nie chciał — pociągnął go żywo,
Aby sam szedł to sprawdzić. — Wiesz? ja mam przeczucie,
Mówił — że ta co skarży się w tak dziwnéj nucie,
Jest właśnie tą coś widział! — ratuj nieszczęśliwą!..
— Zobaczymy! — I poszli obadwa z pośpiechem,
Przybyli — cichość znowu martwa panowała,
I tylko się piosenka owa odzywała
W sercu, w duszy Henryka, przykrem łzawem echem.
Jan milczał — i nie szydził z swego towarzysza,
Ale niekiedy szepnął — Głucha, ciągła cisza!
Usiadł w płaszcz obwinięty na rozłomie głazu,
I nie spojrzał się w stronę klasztoru, ni razu.
Henryk mury obchodził — nadsłuchując bacznie,
I stuknął po kilkakroć w mur laską nieznacznie.
W tem krzyknął — Janie! słyszysz? — Nie! — A więc chodź bliżéj,
Przychyl się ku téj stronie — O tu! jeszcze niżéj!
Lecz nie trzeba już było takiego starania,
Powtórzyły się głośniéj jęki, prośby, łkania!
Rozróżnili słów kilka — ktoś wzywał Jehowy,
Potem płacząc wymawiał imię Stanisława,
A płacz był straszny — ciężki, bolesny, sercowy.
— Wierzysz? zapytał Henryk — Wierzę! jakaś krwawa
Tajemnica w tem wszystkiem zapewne się mieści!..

Boże! jakiż to straszny jest ten głos boleści!
— Co czynić? — Do policyi biegnę! — Ja zostaję,
Nie mogę jéj zostawić — serce mi się kraje!
Gdybym ją mógł ocalić!.. Bież Janie! —Jak strzała
Już pędził — a choć im się sekunda wydała
Wiekiem, jednak tak prędko Jan się w mieście sprawił,
Że ledwo pół godziny wszystkiego zabawił,
Choć musiał budzić, wszystkie wystawiać szczegóły,
I ledwo się przedostał do drzwi urzędnika.
Ale prawda co każdy umysł wnet przenika,
Zwyciężyła — i pan ów, na skandale czuły,
Postanowił się udać tamże osobiście,
By zbadać, czy słyszano jęki rzeczywiście.
Straszne chwile dwaj młodzi téj nocy przebyli,
Gdy teraz przekonani o zbrodni istnieniu,
Wszyscy trzej z urzędnikiem ucho natężyli,
A tu dowód utonął w najgłębszem milczeniu!
Już urzędnik z uśmiechem niezmiernie szydzącym,
Coś bąkał o powrocie — Henryk podniósł głowę —
I zawołał serdecznym tonem i gorącym:
— O Marjo! wzywam Ciebie, nieszczęsnych królowę!
Wybaw ją!.. odkryj prawdę! rozświeć zbrodni ciemnie!
O! niech nasze starania nie giną daremnie!..
Tutaj ucichł — i czekał — potem nagle klęknął.
Pan urzędnik pobladły wyszepnął: — „Ktoś jęknął.“

Nim świt błysnął na wschodzie — ruch dziwny i gwary
Zapanował w klasztorze. — Zakonnice blade
Snuły się w korytarzu niby senne mary,
A panna ksieni miała z kimś ważną naradę.
Jacyś panowie, chociaż w tak niezwykłéj porze,
Uporczywie do furty dzwonili, żądając
Widzieć się z przełożoną.—Groźbą zastraszając,

Wymogli, że swe wązkie opuściła łoże,
I ubrawszy się wyszła.—Do swéj rozmownicy
Dozwoliła ich wpuścić—i bardzo zgniewana,
Spytała: Co za powód? głosem męczennicy,
Aby klasztor nachodzić—ją wzywać tak z rana!
— Niech nam matka wielebna łaskawie wybaczy,
Rzekł najstarszy kłaniając się jéj aż ku ziemi,
A patrząc po za welon oczami bystremi,
— Może czyn nasz uwzględni gdy posłuchać raczy!
I nadzwyczaj uprzejmie rzecz swoją wyłożył,
Że jakieś głosy, jęki niewytłumaczone,
Dają się słyszeć—że się lud niemi zatrwożył,
Więc muszą być na miejscu powody sprawdzone.
Dreszcz febryczny chwilowo wstrząsnął słuchającą,
Ale wkrótce znikł—z głową podniesioną dumnie,
Odparła mową silnie i spokojnie brzmiącą:
— O ile mi się zdaje—nie jest to rozumnie,
Aby dla jakichś płonnych wieści i pogłoski,
Mącić pokój klasztoru! Może biedne dusze,
Którym tu pokutować kazał wyrok Boski,
Jęcząc wzywają modłów wiernych? — Lecz ja muszę,
Rzekł urzędnik policyi—o tem się przekonać,
Musimy przejrzeć klasztor. —Ależ to nie wolno!
Mężczyzni!... Każda z sióstr mych wolałaby skonać,
Niż mężczyznę zobaczyć! Grzeszną i swawolną
Myślą swą, pokalacie nam to miejsce święte!
Idźcie precz! Nie wstąpicie świętokradzką nogą
W nasze progi! te bramy przed wami zamknięte,
Jak niebo przed szatanem! — Uchylić się mogą
I muszą! brzmiała zimno odpowiedź surowa.
A pomimo strasznego gniewu przełożonej,
Urzędnik już nie wyrzekł do niej ani słowa
I rozpoczął swój pochód. Przy ksieni strwożonej,

Zebrały się wybladłe strachem zakonnice,
A przez ciemne, ponure, długie korytarze,
Zdające się jak płaszczem skrywać tajemnice,
Poszli nasi znajomi. Uroczyste twarze,
Słów mało, oczy bystre, usta zaciśnięte,
Zwiastowały mścicieli. Dziwnie to posępny
Był widok! Dwie klasztorne sługi wylęknięte,
Z światłem w rękach—a drżące, jak gdyby występny,
Wiodły ich w głąb tych ciemnych, ponurych zaułków.
Chłodna, wilgotna tutaj była atmosfera.
Z odwiecznych nietoperzy, szczurów, mysz, przytułków,
Których setka się tutaj rodzi i umiera,
Woń niezdrowa i przykry szelest dolatywał.
Przelękłe kroków, światła, te mroku mieszkańce,
Rozpaczliwe po kątach wyprawiały tańce,
Pisk i zgrzyt przerażonych ciągle się odzywał.
Urzędnicy, wraz z Janem, byli tak milczący
I poważni, jak gdyby mumje ożywione.
Za to Henryk ruchliwy, gorączką płonący,
Rzucał ciągle wejrzenia, słowa przytłumione
I wyprawą pospiesznie, gwałtownie kierował;
Po której był jęk stronie—dobrze pomiarkował.
Jednak jak w Labiryntu sieci ulic krętych,
Nie prędko tam trafili. Sługi przestraszone,
Nie chciały za nic w świecie zwrócić się w tę stronę,
Gdyż tam, według powieści od siostr zaczerpniętych,
Coś strasza już oddawna! Wyraźna poszlaka
Na wzmocnienie podejrzeń podziałała żywo,
Widocznie tu więziono ową nieszczęśliwą,
Bo i na cóż stworzoną byłaby baśń taka?!
Przemógłszy opór służby—dalej postąpili,
I do miejsc podejrzanych wkrótce się zbliżyli.
Grube tu były mury i dziwne sklepienia,

Jakieś wielkie framugi, kąty, niby groby
W ścianach—jak w katakumbach! A nie do zniesienia
Zgniłe, duszne powietrze—mogące choroby
Nabawić najzdrowszego! Maleńkie okienka
U góry, nie dawały światła—i jutrzenka
Ledwo słabe promienie przez kraty wcisnęła.
— To tu! rzekł Jan—a Henryk oglądał wciąż pilnie
Mury. — Ztąd jęk się dobył—wyrzekł—nieomylnie
Pod tą stroną klasztoru ja dwie nocy stałem,
Tu ten głos, jak z pod ziemi jęczący słyszałem.
— Cicho! przerwał urzędnik—i nadstawił ucha,
Słaby stukot się ozwał—niby brzęk łańcucha,
Sługi padły na ziemię z bojaźni wpół żywe,
Wydając, mimo przestróg, krzyki przeraźliwe.
Groźbą ich ukojono. Wtedy straszny, rzewny,
Dał się słyszeć głos, jakby z głębi murów: „Eli!
Eli! lama sabathani!“ brzmiał ton tak śpiewny,
Miękki, a tak bolesny, aż wszyscy zadrżeli.
Rzucono się natychmiast za głosem w tę stronę,
Henryk dostrzegł okienko i zamurowanych
Ślady drzwi—okno było niewielkie, złożone
Z dwóch połów szybek z blachy, z zewnątrz odmykanych.
Młody człowiek za rygiel uchwycić poskoczył,
Otworzył—spojrzał—krzyknął! Jakiż widok zoczył!
W maleńkiéj pustéj celi, słabo oświeconéj,
Wsparta o ścianę, stała kobieta wybladła,
Szata zmięta, podarta, do wpół z niéj opadła,
Włos kruczy służył za płaszcz biednéj obnażonéj,
Ręce na wychudzonych piersiach skrzyżowała,
I głowę opuściła—widocznie czekała,
Lecz nie spiesząc się ujrzeć kto zagląda do niej.
Obok leżała słomy garść wstrętna i zgniła,
Stał dzbanek pełen wody, chleb, kartofle. W dłoni

Czarny miała krucyfix. Jak ona tu żyła
W tem okropnem powietrzu, przy tak lichej strawie,
W męczarniach, samotności niewygód straszliwych,
Tego pojąć patrzący nie umieli prawie!
Ten widok stał się strasznym dla najmniej wrażliwych.
Stali przez chwilę niemi, drżący, osłupiali,
Potem wszyscy krzyknęli razem: — Odmurować!
Drzwi! Odbić! i do dzieła żywo się zabrali.
Słudzy przynieśli topór—zaczęto pracować.
Pękł zamek pod naciskiem i ciosami stali,
Runęły stare cegły—już odmurowali,
Już weszli na próg celi. Kobieta zadrżała.
— Czy mię zabić idziecie? jękła. — O nie! chcemy
Oswobodzić cię! rzekli—ztąd cię przeniesiemy
Na wolność! — Ah! krzyknęła—wolność! i zemdlała.
Chwycono ją wynosząc z téj okropnéj celi,
Wrócono się natychmiast aż do rozmownicy,
Cucili ją starannie, wodą twarz obleli,
Lecz nie mogli przywołać do życia dziewicy.
Pochylony nad ciałem bladem, nieruchomem,
Henryk badał ślad życia czekając lekarza,
I rzekł podnosząc głowę: — Więc to Bożym domem
Nazywacie klasztory? Ha! Boga obraża
Wzywanie nadaremne świętych imion Jego,
Jakże musi obrażać, gdy do czynów niecnych,
Do takich spraw przeklętych i zbrodni bezecnych
Śmiecie jeszcze używać imienia Boskiego!...
— Nasze prawa klasztorne są wam nietykalne,
Za przestępstwa w regule, czyny niemoralne,
Wolno jest zakonnice karać zakonowi!
Wyrzekła przełożona. — Ale to jest zbrodnia!
Obchodząca społeczność! każdego przychodnia!
Chrystus chętnie przebaczył nawet i łotrowi,

A wy... Tu Henryk urwał, bo nagle zemdlona
Otworzyła powieki i z cicha szeptała:
— A jam żyła tak długo... tak strasznie męczona!...
I jakaż moja wina?... ah! żem go kochała...
Chrystus był taki dobry... Ah! czego wy chcecie?
Miejcie trochę litości!... i jam Boże dziecię!...
Czyliż nie macie serca? nie czuła z was żadna
Co jest miłość?... tęsknota?... I znowu zemdlała.
— Otóż—wyrzekła ksieni—ta mowa bezładna
Dowodzi, że Urszula zmysły postradała!
— Przepraszam—rzekł urzędnik żywo—pannę matkę,
Ale taka kuracja jaką przechodziła
Ta biedna! wątpię bardzo aby komu zdrowie,
Lub zmysły pomieszane łatwo powróciła.
Za to nam taki doktór przed sądem odpowie!
Przełożonej ze złości zatrzęsły się wargi,
Pod welonem oblicze purpurą skraśniało.
Tymczasem Henryk znowu ocucił omdlałą
I rzekł: — Zanim skończymy te wszystkie zatargi,
Trzeba zabrać tę biedną, wywieźć ją! źle działa
Ten widok prześladowców na ofiarę. — Zgoda!
Zawołajcie dorożki! — Ależ czasu szkoda!
Zaniesiemy ją! rzekł Jan—a twarz mu pałała,
Łza na rzęsach zawisła—starł szybko powieki
Mówiąc: — Wszak do szarytek? kurs to niedaleki,
I dobrze jej tam będzie! Urzędnik się zgodził,
Wzięli więc nieprzytomną Urszulę na ręce,
Otulili płaszczami pierś, stopy dziecięce,
Aby jej chłodny zefir ranny nie zaszkodził,
I ponieśli ten skielet dziewicy wpół żywy.
— Czyliż panią nie wzrusza ten stan nieszczęśliwy,
Ta młodość i uroda na męki skazana?
Trzeba chyba mieć serce kamienne, tyrana!...

Mówił do panny matki urzędnik surowo.
Ale ona przecząco poruszała głową:
— To była heretyczka, warjatka, szalona,
Słusznie na osobności była osadzona!
Panowie gwałt robicie! Niech wam Bóg przebaczy,
Co wam do nas? my mamy prawa swoje, inne,
Takie kary wymierzam, jak prawo wyznaczy!
Lecz na świecie pojęcia są grzeszne! Oj winne
Wszystkiemu te massońskie obrzydłe zabiegi,
Widać że i w klasztorze znajdują się szpiegi!
Tak nad zepsuciem czasów bardzo się żaliła
Pobożna przełożona, siostra Bogumiła.
A była to niezmiernie szanowna niewiasta,
Spokrewniona z hrabiami nawet dosyć blisko,
I wszyscy ją wielbili dygnitarze miasta,
Bo miała dobrą sławę i piękne nazwisko.
Jakże czuła głęboko zniewagę tak wielką,
Gdy fatalne zdarzenie pokój jéj zmąciło,
I urzędnik rzuciwszy etykietę wszelką,
Kazał ją aresztować! Słońce się zaćmiło
Pomyślności, potężnéj dziedziny klasztornéj!
Minęły średnie wieki! i to bezpowrotnie.
Dziś ludzie prawa, dobro, pojmują odwrotnie,
I postęp się swobody domaga potwornéj!
A zdzierając ułudną maskę świątobliwą,
Inne głosi zasady, inaczéj się modli!...
Rzecz dziwna! Ludzkość z nimi jest więcéj szczęśliwą,
Oświata powszechniejszą—i ludzie mniej podli!

X.

Na białem, czystem łóżku—w wesołej komnatce,
Leży śpiąca kobieta. Okno uchylone

Wpuszcza świeże powietrze, wonią przesycone.
Cisza—tylko kanarki świergotają w klatce
I zegar jednostajnym ruchem się odzywa.
Niekiedy z drzwi pobocznych cicho i łagodnie
Wyjrzy siostra szarytka i spojrzy pogodnie
Z współczuciem na tę, która na łóżku spoczywa
I cofnie się ostrożnie. A chora wciąż spała.
Twarz jéj cudownie piękna, jak kwiat lilji biała,
Śladem cierpień wyraźnie była naznaczona;
Sine obwódki oczu tak były głębokie,
Że ich nie skryła długa rzęsa opuszczona.
A jéj czoło prześliczne, gładkie i szerokie,
Męczeńskie miało blizny i tak delikatną
Cerę, że wszystkie żyłki blado-lazurowe
Przebijały się, kreśląc lice lilijowe
W tajemne hieroglify. Usta swą szkarłatną
Barwę kwiatu straciły—posiniały nieco,
Jak zwiędłe listki róży. Słoneczne promienie
Padły na twarz uśpionéj—wydała westchnienie,
Zbudziła się.—Jéj oczy dziwnym blaskiem świecą,
Skupiło się w nich życie przemocą tłumione.
W téj chwili wciąż wejrzenie wiodła zadziwione,
To po sprzętach pokoju, to po swéj pościeli,
To po sobie—złożyła ręce osłabione,
Zdziwiła się swojego ciała czystéj bieli,
Nigdzie śladu łachmanów i nędzy i brudu,
Bo poczciwe szarytki nie skąpiły trudu,
By ulżyć nieszczęśliwéj w fizycznych cierpieniach.
Westchnęła. — Gdzie ja jestem? mówiła powoli.
Czy w niebie? tak mi dobrze... tak mię nic nie boli...
Może ja tamte męki śniłam?... Czy w marzeniach,
Czy na jawie widziałam hrabiowskie pałace?...
Książe... Staś... To mój pokój! Klasztor... Pamięć tracę!...

Tu zamilkła znużona. Szarytka wyjrzała,
Weszła i nic nie mówiąc napój jéj podała.
— Gdzie jestem? z trwogą chora zapytała—Boże!...
Zakonnica! — O! nie bój się Urszulo wcale!
Odparła siostra—tutaj nikt cię już nie może
Męczyć! tobie tu z nami będzie doskonale!
— Czyś ty anioł? O pani! czyś ty anioł z nieba?!
Więc już nie będę cierpieć?... — Nie! tylko nie trzeba
Mówić dużo! — Zamilknę! Tylko... jedno słowo!...
Gdzie książe?... Czy powrócił?... Nie pamiętam tego...
Powiedz?... —Droga Urszulo! dowiesz się wszystkiego,
Ale jak wyżdrowiejesz! — Pani! jam już zdrową!...
Oh! powiedz! Staś powrócił?!... Już wiem jak to było...
On pojechał—jam strasznie... oh! strasznie cierpiała...
I zasnęłam wśród płaczu—i tak mi się śniło...
Okropnie!... Że mię zgraja służalców porwała,
Skrępowano mi ręce powrozem i nogi,
Powieziono w dalekie i nieznane drogi!...
To pewno z utrapienia dręczyła mię zmora!...
Potem mi się zdawało... żem była w klasztorze,
I włosy mi ucięto... byłam bardzo chora!...
Jak mnie wtedy bolało serce!... Ah! mój Boże!
Co za męki!... To pewno z tęsknoty sen taki!...
Bili mię! katowali... ah! muszę mieć znaki,
Bo ja czułam! Sen dziwny! jak jawa!... A potem...
Drzwi się od mojéj celi zatrzasły z łoskotem,
Nie otwarli ich więcéj—ciągle sama byłam...
Z rozpaczy głowę nieraz o mury już chciałam
Roztrzaskać!... lecz się tylko krwią własną oblałam,
I ciągle... długo... wieki!... w téj męczarni żyłam!...
Pani! to był sen straszny!... to pewno z tęsknoty...
Teraz się obudziłam, osłabłam!... To przejdzie!...
Niech tylko noc czarowna, noc cicha nadejdzie.

Gdy ujrzę mego księcia... wśród jego pieszczoty
Zapomnę o śnie przykrym!... Pani! wszak ja tylko
Myślę? Ja nic nie mówię?! wszak nie słyszysz ty mnie?
Cicho... cicho... Ah! boli! ktoś mię ukłuł szpilką
W serce! Krew płynie! Jakże Staś tu siądzie przy mnie?...
Krew!... Nie! to jest nie moja! to z Jezusa boku!
Wszystką mu z Jego ciała żydzi wytoczyli!...
Jam niewinna! nie chciałam żeby go zabili!...
Jezus na biedną Miryam spogląda z łzą w oku!...
Pamiętam—pod figurą... to nasza wieś... dzieci
Się bawią!... i ja z nimi!... Nie! to tam, na murze
On stał i chwycił z ręki mojej białą różę!...
W ogrodzie tak prześlicznie... księżyc blado świeci...
To ty książe?... czekałam... chodź! ja się nie boję!...
Kocham cię! twoją postać, oczy, słowa twoje...
Dobrze mi... słabo... cicho...
I oczy przymknęła,
I w zachwytnem marzeniu spokojnie zasnęła.
Płakała nad nią siostra szarytka, przy łóżku
Kryjąc swe łzy i lice w zakonnym fartuszku.
I lekarz co się wsunął tu niepostrzeżony,
Płakał dziwnemi słowy dziewicy wzruszony.
Nagle—Miryam zerwała się—oczy otwarła,
— Stasiu! krzyknęła głośno, spojrzała w około,
Chwyciła się za serce, pochyliła czoło,
Skoczył lekarz, szarytka—szepnęli: Umarła!
I roniąc ciche, smutne łzy szczerej litości,
Ułożyli nieszczęsnéj zwłoki—z rozrzewnieniem
Patrząc na cudne wdzięki strawione cierpieniem;
I klękli, by pomodlić się przy niéj w cichości,
Lecz nie za duszę biednéj, świętej męczennicy,
Tylko—aby Bóg wejrzał na okropne zbrodnie,
Co się dzieją podobne do téj w tajemnicy,

I tych co plamią Jego imię tak niegodnie
Wyrzucił z swéj świątyni i piorunem spalił!
Lub—aby ich natchnienie święte napełniło,
Oby się nawrócili! Oby ludzkiem było
Ich serce! By pomnieli, że się Chrystus żalił
Na nich—mówiąc: Ja byłem spragniony i głodny,
Wyście mię odepchnęli, nie dali gościny,
Otóż ja cię potępiam, ty ludu wyrodny,
Idź, niech w okropnych mękach płyną twe godziny!
A tam będą ciemności i zębów zgrzytanie!...
— Oh! uchroń nas od tego! i im wybacz Panie!

Jakim biegiem szła sprawa o zamurowaną
Zakonnicę—mniéj więcéj rzecz jest wszystkim znaną;
Ten klasztor wprawdzie został zamknięty, zniesiony,
Zresztą—wielebną matkę uwolniono rychło.
Sarkał zrazu i burzył się lud uniesiony,
Ale potem, nieznacznie to wszystko ucichło.
Ktoś czasem wspomniał o tem smutnem wydarzeniu,
Ale rzecz utonęła wkrótce w zapomnieniu.
I tylko na cmentarzu wzniosła się mogiła,
Któréj czarna tablica ten napis nosiła,
Pomysłu i układu Henryka i Jana:
„Tutaj Urszuła Zmorska leży pochowana,
Ofiara nieszczęśliwa przesądu.“ Nic więcéj,
Ani śladu żadnego po niéj nie zostało.
Tylko czasem dwu ludzi na grobie klękało,
I modlili się tutaj szczerze, najgoręcéj.

A w hrabiowskim pałacu zaszły różne zmiany,
Hrabia umarł—hrabina nad brzegiem Sekwany
Odprawiała żałobę w assystencyi księcia,
A ponieważ sukcesję jakąś odebrała,

A Staś lubił miljony, co były do wzięcia,
Więc się ta czuła para nakoniec pobrała,
I byli najszczęśliwsi. Dopiero w trzy lata
Powrócili do kraju—lecz książe tak ziewał,
Jak to umie krwi czystéj syn—arystokrata,
I na żonę o kaprys ten bardzo się gniewał,
Więc mieli znowu jechać. Pewnego wieczoru
Książe miał odwiedziny—a księżna Elżbieta,
Choć na to nie pozwala ścisła etykieta,
Miała napad gwałtowny strasznego humoru,
A z przyczyn niepojętych—jakiś list z Lublina
Podobno ją rozgniewał—aż tupała nogą.
Wtem wsunęła się cicho zręczniutka dziewczyna,
I szepnęła coś księżnie—lecz z wyraźną trwogą;
Ta natychmiast wybiegła do pokoju swego,
Tu jéj Zuzia oddała Warszawską Gazetę,
I nagły wyraz szczęścia upięknił Elżbietę,
Twarz jaśniała tryumfem wodza zwycięzkiego;
„Umarła"—poszepnęła, szybkim ruchem ręki
Mnąc gazetę—skończone wszystko, Bogu dzięki!
Weź Zuziu moją suknię jedwabną zieloną,
Daruję ci ją! jestem już uspokojoną!
W téj sprawie tyś mię dzielnie swą radą podparła,
Czego bledniesz? Bóg łaskaw—Urszula umarła!
Bogumiła już wolna! nas nie posądzają!
— Księżna pani wybaczy—rzekła sługa cicho,
Wyjdę—bo mi jest słabo!... Jakieś mi wciąż licho
Szepcze: Umarli czasem z swych grobów powstają!
— Dam na dziesięć mszy zaraz za spokój jej duszy!
Już mi teraz nikt mojéj władzy nie naruszy.
Stanisław już do żadnéj nie ma téj słabostki,
Co do tamtéj! Lecz dziwię się—tyle hałasów
Narobiono w gazetach dla takiéj błachostki!

Wśród okropnych, niestety! żyć musimy czasów!
Tu westchnęła głęboko piękna księżna pani,
Że ludzie coraz to mniéj pod władzą poddani
I nacierając skronie extraktem paczuli,
Zmówiła „Zdrowaś Marja“ za duszę Urszuli.

PO SKONIE.

FANTAZJA MARZYCIELA.

I.

(Mrok, mgły otaczają pokój, w którym na łóżku leży konający Byron. W miarę słów jego ściemnia się coraz bardziej).

Byron.

Ciemno, głucho i straszno! Jeśli się nie mylę,
Ostatnia to godzina którą mam żyć jeszcze,
Śmierć się zbliża—ha! słyszę jéj kroki złowieszcze!...
Zimny pot zwilża czoło... Za niedługą chwilę
Wszystko się skończy!... Głupia tłuszcza mię otoczy
I wrzaśnie kruków głosem: „Umarły! umarły!“
I brudnemi palcami zamknie moje oczy,
Co się gorączką śmierci szeroko rozwarły
Strasząc ich swym wyrazem. Ha! ha! tak niedawno
Te oczy zachwycały tkliwością, spojrzeniem,
Nie jedno serce dla nich zawrzało płomieniem,
Ich dowcip tak wielbiony—przenikliwość sławną!...
Dziś zastygną i będą wnet robaków łupem—
I piaskiem je przysypią!—ha! straszno być trupem!
Co jest śmierć?... wieczny koniec? czy przejście do życia?
Myślą nie władam!... cierpię!... drżę... prawie się boję!...
Czego?... czego?... ah! nie wiem! Słabe serca bicia

Zwiastują koniec! Męka! Straszliwych widm roje
Obległy mię do koła!... To mary przeszłości!...
Czego chcecie upiory?... wspomnienia przeklęte!
Ha! z nicości powstałem! dążę do nicości!...
A może są tajniki okiem nie objęte?...
A dusza, Bóg, szatany? prawdaż to, lub baśnie?
Mroczy się! noc zapada! cisza!... światło gaśnie!...
Jak życie w moich piersiach!... Gdzie młodość?... roskosze?..
Gdzie blaski i zaszczyty?... uczucia i żądze?...
Nicość! Nicość! wśród myśli labiryntu błądzę!
Nic nie pragnę!... Zadługo już męczarnie znoszę!...
Umrzeć raz! Plemię podłe! Ziemio potępiona!
Ja was żegnam przekleństwem!... Jak tysiące węży
Zimne sploty krępują pierś!... Czarna zasłona
Kryje świat—Konam!... gdyby modlić się?... pacierze?...
Nie!... modlitwa?! do kogo? wszak to wymysł księży!...
A jednak, kiedyś z matką modliłem się szczerze!...
Byłem wtedy szczęśliwy!... Ah! męka!... cierpienie!...
Szał bólu... gorycz mętów... tęsknota... marzenie...
Majaczę!... konam! konam!...

Głos z góry.

Byronie! Byronie!

Byron.

Ha! kto mię woła?... pokój zakłóca przy zgonie!...
Umieram! Cicho!... Cicho!...

Głos z góry.

Byronie! Byronie!

Byron.

Męczarnia!... Koniec... Śmierć... ah!...

Głos z góry.

Byronie! Byronie!

(Grzmot—ciemno—błyskawica oświeca poruszającego się konwulsyjnie poetę—duch światłości w postaci anioła staje przy nim wpatrując się w jego twarz. Byron zrywa się nagle i pada nieżywy na łóżko.)

Anioł.

Umarł! raz jeszcze serce targnęło się w łonie
I pękła struna—co duch wiąże razem z ciałem!
Jakże słabem to życie! jak niedoskonałem!...
Jak ciężkie jego jarzmo—gdy duch obłąkany
Nie czerpie z swéj ojczyzny—w Boskich świateł zdroju,
Mądrości, prawdy, siły, dobra i spokoju!...
Biedny genjusz!—Utonął w pomroce ziemskości!...
I własnemi rękami złamał swoje skrzydła!...
Przeszedł straszne tortury bólu, niepewności,
Szalał dziko! choć orgja mu była obrzydła!
Nurzał się w namiętności co wyniszcza ducha,
Sam zacieśniał ogniwa ziemskiego łańcucha!
I on, co był zesłanym jako kapłan pieśni,
Wieszcz przyszłości, wódz ludu, jutrzenka zarania,
Zdeptał swój wieniec chwały, nie spełnił zadania!...
Biedny synu poezyi!... o czemuż nie wcześniéj
Poznałeś prawdę życia! Czemu twoje serce,
Co miało być przybytkiem i świątynią cnoty,
Hańbiłeś występkami, szarpałeś w rozterce
Ironji, pychy, szaleństw, poczwarnéj sromoty!
Ha! zbyt późno rozpoznasz swój obłęd straszliwy!
Dotąd jeszcze duch senny w martwem ciele gości,
Lecz wkrótce go opuści dla krain światłości,
Aby był osądzony! Zbudź się nieszczęśliwy!
Nadchodzi straszna chwila!

Głos z góry.

Byronie! Byronie!

Anioł.

Zastygło serce! zimne twe usta i skronie!
Tyś już wolny! Pójdź! Dążym na inną planetę,
Tam poznasz istność ducha, jego czyn i metę!

(Odlatuje w górę, z nim dusza poety niewidzialna.)

II.

(Duch światłości wiedzie duszę Byrona — zatrzymują się w powietrzu między ziemią a słońcem.)

Byron.

Kobieto z białem licem i szatą—aniele
Czy ziemianko! Kim jesteś?... gdzie ja się znajduję?...
Powiedz! czy ja umarłem?

Anioł. (daje znak potwierdzający.)

Byron.

Lecz mój duch tkwi w ciele!
Wszak dążymy ku ziemi, widzę, mówię, czuję,
Cierpię!... ha! nie módz umrzeć—to jest stan piekielny!
Wiecznież mam żyć i boleć?...

Anioł.

Duch jest nieśmiertelny.

Byron.

Lecz ciało?... jam człowiekiem!

Anioł.

To tylko złudzenie!
Ciało twe w ciemnym grobie—pozostało w ziemi.

Byron.

Lecz ja widzę twą postać! słyszę głosu brzmienie!

Anioł.

Duchy widzą i słyszą!

Byron.

Słowami twojemi
Mącisz mi umysł!... Piekło! ja sobą nie władam!
Próżno wyciągam ręce, próżno dłonie składam—
Nie mam rąk! ciała! członków! Czarodziejko pusta!
Czy Pan Bóg, czy szatani mówią przez twe usta?...
Gdzie ty mnie wiedziesz?

Anioł.

Na sąd.

Byron.

Przed kogo?

Anioł.

Przed Boga!

Drżyj nieszczęsny! ukorz się!

Byron.

Ja nie znam co trwoga!

Ja nie drżę!

Anioł.

O! nie bluźnij! odmień twoją mowę!
Wierz! żałuj za występki!... błagaj! bo surowe
Są wyroki sędziego.

Byron.

Piekielne katusze
Mniéj będą straszne niźli te, co moją duszę
Szarpały tam, na ziemi!

Anioł.

Piekło!—wiesz co piekło?!...
To płomień namiętności, co wre, kipi w łonie,
Podżega umysł, z duszą toczy walkę wściekłą,
Oszalałej bachantki pali ogniem skronie,
Zbłąkanego pieśniarza rzuca w jej ramiona,
I jeśli się nie oprze—roskosznem objęciem
Łaskocze, aż ostatnia iskra ducha skona.
I zasnąwszy człowiekiem—zbudzi się zwierzęciem!...

Byron.

Dosyć!... znam je!... przeszedłem! wspomnienia złowieszcze!...
Lecz śmierć to koniec życia! po cóż żyję jeszcze?...
Oh! zabij mnie! uwolnij szatanko! czy święta!...

Anioł.

O! szalony obłędzie! o pycho przeklęta!
I ty sądzisz nieszczęsne, obłąkane dziecię,
Że jeden świat istnieje? jeden genjusz w świecie?

I wierzyłeś zuchwale, że w niebios przestworze
Tylko wasz świat maleńki pomieścić się może?...
O! nędzne wy robaki! nieznaczne atomy!
Jakżeście się zaciekli w ślepocie i dumie!
Choć tak dobrze mniemacie o swoim rozumie,
Nie wiecie co jest mądrość, potęga, ogromy!
Wy podrzędne istoty w hierarchji duchowej,
Sądzicie być na szczycie światła i wielkości!
Niewolnicy żądz brudnych, grzechu i słabości!
Dzieci! karły! pod wpływem roskoszy zmysłowéj,
Co zbrodnię i zuchwalstwo zwiecie bohaterstwem,
Zwierzęce namiętności uczuciem miłosnem!
Serce wasze skażone podłem jest i sprośnem.
Niesforni! pyszni! próżni—czyliż wam się zdało,
Żeście najdoskonalszem już dziełem w wszechświecie?...
Porównajcie z innemi swą planetę małą,
Czyliż jak ziarnko piasku w morzu nie zginiecie?...
W morzu światów olbrzymich, potężnych, wspaniałych,
Co są siedliskiem istot równie doskonałych!
Wy się skarżycie, bluźniąc przeciw Bogu swemu,
Jednak swojego losu jesteście panami:
Dla czego serce chętnie skłaniacie ku złemu,
Do szczęścia chcecie dobiedz krętemi drogami?!
Każdy ma powołanie, przeznaczenie, cele,
Ale by posiąść szczęście trzeba walczyć wiele!
A gdy przyjdzie zdać sprawę z włodarstwa swojego,
W waszem sercu i czynach jak mało dobrego!
— Gienjusz, to odłam bóstwa zesłany z za światów,
By ludziom był, czem promień słońca jest dla kwiatów,
By zetknięciem się swojem z innemi duszami
Obudzał je z letargu, w piersi zapał wzniecił,
Oczyszczał ten brud ziemski, co im czoła plami,
Upadających podniósł—a ciemnych oświecił!
A ty! zamiast ich unieść w duchowe wyżyny,

Sam oślepły rzuciłeś się w ciemne głębiny!
Więc całe twoje życie jest pasmem niezgody
Między duchem, dążącym w górę do swobody,
Zrywającym się ciągle jak orzeł do słońca—
A ciałem, co tamując lot jego do końca,
Więziło w pętach zmysłów i szałów ziemskości!
I tobież to gienjuszu dojść do téj nicości?...
Tobie mistrzu poezji! Biada! trzykroć biada!
Patrz! tam gwiazda błyszcząca gaśnie i zapada
W niezgłębione otchłanie próżni i ciemnoty!
To twój obraz!...

Byron.

Ty płaczesz?... oh! kobieto! kto ty?!
Kto jesteś biały duchu?

Anioł.

Jam duchem światłości!
Siostrą gienjuszów, piękna, poezji, miłości!
Jestem Boga najpierwsze, ukochane dziecię.
Rozsiewam dobro, jasność i piękno po świecie!
Płaczę nad tobą! bom ja czekała téj chwili,
Gdy przeszedłszy wędrówkę wrócisz do nas znowu
I kiedy świat zawierzy twój pieśni i słowu
Tam! w świetlanéj krainie gdzieśmy dotąd żyli,
Powrócisz z blaskiem świętéj chwały nad twem czołem!
A tyś stał się przez pychę upadłym aniołem!...
Posłuchaj! przed twem okiem uchylę zasłonę,
Co skrywa tajemnicze, duchowe przemiany.
Spojrz okiem twojej duszy w krąg niebios nieznany,
Ujrzysz tam słońc i planet mnóstwo niezliczone!
Te planety to światy! tysiączne sprężyny,
Wielkie części składowe bezmiernéj machiny,
Którą zwiecie wszechświatem! Arcydzieło Boże!
Od atomu do słońca wszystko tchnie wciąż życiem,

Bo duch wszędzie przebywa i umrzeć nie może,
Będąc sam częścią bóstwa—i wiernem odbiciem
Potęgi niezmierzonéj.—Boga nikt nie zdoła
Określić, wypowiedzieć, ująć w formę ciała!
Nawet błogosławieni, nawet myśl anioła
Najwyższéj tajemnicy dotąd nie przejrzała!
Wiemy tylko—że Jeden w trzy części się dzieli:
Pierwsza—jest to potęga, moc życia, tworzenia;
Drugą dobroć i litość—wyście ją widzieli
Przy najświętszéj miłości dziele—odkupienia!
Trzecia—mądrość—zdrój światła! Słońce jest siedliskiem
Czystych duchów—ostatnią i pierwszą przemianą,
Tam cielesność i zbrodnia nie jest wcale znaną,
Pierwszy objaw materji nie jest tam naciskiem,
Duchy żyją swobodne przed ostatnim progiem,
Który przeszedłszy wreszcie, połączą się z Bogiem!
Lecz jako części Bóstwa wolę posiadają,
Ztąd przestępstwa i kara!—Na innéj planecie
Wygnani z swego raju żyją i mieszkają,
Skrępowani już ciałem w materjalnym świecie.
A jeśli duch niesforny nowe błędy wzbudzi,
I po zrzuceniu swojéj chwilowéj powłoki,
Nie godzien jest powrócić tam—ponad obłoki!
Wtedy niżéj strącony—znów pomiędzy ludzi,
Musi się zrodzić jako syn innéj planety,
Cięższe już dźwigać brzemie i walczyć z cierpieniem,
Z tęsknotą, żalem, troską, z własnem uniesieniem,
Aby wreszcie zwyciężyć.—Niestety! niestety!...
Często ta biedna dusza jeszcze więcéj błądzi
I Bóg znów ją odtrąca i na karę sądzi!
Coraz grubszemi pęty materji spowita,
Coraz daléj niebaczna brnie w złych grzechów kole,
Aż dążąc coraz niżéj na ziemię zawita.

I nieszczęsna, na płaczu i nędzy padole
Straciwszy już świadomość swojego początku,
Od pierwszéj niewinności tak bardzo daleka,
Żyje znowu w postaci ziemskiego człowieka,
Mogąc zmazać swe winy, gdy żyje w porządku
Praw nadanych przez Boga dla każdego z światów.
Lecz jeśli duch z swéj drogi cofnie się znużony,
Lub jeśli go przynęci powab ziemskich kwiatów,
Co kryją wewnątrz straszną truciznę jak gady,
Znów po śmierci rozpocznie swój lot nieskończony,
Aż dochodzi do kresu zupełnéj zagłady.
Zdrętwiały, znicestwiony—przechodzi w zwierzęta,
Czuje tylko przez zmysły, jest pod władzą ludzi,
I całkiem się zatraca iskra Bóstwa święta!
Nigdy nie spocznie—wiecznie z snu śmierci się budzi,
Zmienia tylko swą postać—z kolei jest ptakiem,
Płazem, robactwem, rybą, obrzydłym mięczakiem,
Męczony, zabijany—nawet z krwi ofiary
Odżyje znów maleńkim wymoczkiem, atomem.
Nic go już ztąd nie wyrwie—nie ma końca kary,
Nigdy żyć nie przestanie pod bólu ogromem!
— Bracie! bracie! dla ciebie lękam się Sędziego!
Co najświętszym wyrokiem potępić cię może!
Ukorz się!... wyznaj winę!... i wyrzecz się złego!
Wszakże ci są już jawne tajemnice Boże!...
Litości, odkupienia są liczne przykłady!...
O, módl się bracie! módl się!... Posłuchaj! myrjady
Czystych duchów podnoszą swoje srebrne głosy,
A uwielbieniem Bóstwa brzmią całe niebiosy!...
Módlmy się!...

(Słychać hymn aniołów.)

O cześć Ci, cześć!.. wielki, święty!
Boże dobra i miłości!

Niezmierzony, nieujęty
W swéj potędze i wielkości!
Twa istność początku nie miała
Wiecznie święty nad świętemi!
O niechaj Ci będzie chwała,
A ludziom pokój na ziemi!

Anioł.

Litości Panie! łaski! litości!
Nad bratem moim!
O Ty! coś stworzył światy z nicości
Rozkazem swoim!
Daruj mu Panie! przez wzgląd na męki,
Błędy i winy!
I wwiedź go mocą wszechwładnéj ręki,
W światła krainy!...

Pieśń Aniołów.

O Panie! Panie! naszą pieśń radosną
Przerwały smutne jęki! Boże! Boże!...
Wysłuchaj prośbę tak bardzo żałosną,
Przebacz téj duszy co milczy w pokorze!
Z błagalną prośbą łączym nasze głosy,
W przybytku szczęścia niech się nikt nie smuci,
Niech zabrzmią śpiewem wdzięczności niebiosy!
Nasz brat zginiony znów do nas powróci!

Byron (do anioła.)

Siostro! mnie dziwne ogarnia wzruszenie...
I łzy mi płyną!... Siostro! słyszysz w dali
Jakieś urocze, cudne, tkliwe pienie,
Dolatujące po obłoków fali?...
Oh! to rzewniejsze niźli pieśń słowika!
A takie ciche—niby szmer strumyka!...
Patrz! jaka jasność niebiosa oblała

W kształcie promienistych dróg!...
Olśnąłem!.... co to?

Anioł.

Władca światów—Bóg!

Chór anielski.

O chwała Ci! chwała! o chwała!...

Głos z góry.

Wysłuchałem próśb waszych! Synu marnotrawny!
Przebaczam Ci i chronię od mąk wiekuistych!
Aleś nadto skalany—nadto twój grzech jawny,
Abyś mię mógł oglądać pośród duchów czystych!
Więc znów stań się człowiekiem—powrócisz na ziemię,
Cierp, pracuj—aż oczyścisz swoją duszę z brudu!
Pokrzepiaj pieśnią, słowem, całe ludzkie plemię,
Siłą twego gienjuszu wspieraj ich wśród trudu.

Anioł.

Panie! zostaw mu chwili obecnéj świadomość!
Gdy wróci—wpływy tego niesfornego ludu
Znów w nim pychę rozbudzą i nędzną znikomość!...
Niech pomni Twoją łaskę i tę wielkość cudu!

Głos z góry.

Nie! Bluźniercze żądanie! na to nie pozwolę!
Zanadto cię do brata miłość zaślepiła,
Wszak człowiek ma nadaną sobie wolną wolę,
Od czegoż instynkt prawdy i rozumu siła?

Byron.

Panie! przed Twem obliczem padłem cały drżący!
Przebacz, że głos podnosząc, przeczę Twemu słowu,
Ale ja błagam Ciebie, nie każ mi żyć znowu!
Nieodmawiaj méj prośbie rozpacznéj, gorącéj!

Głos z góry.

Milcz! pyszny!—Duch twój w tysiąc iskier rozrzucony,
Żyć będzie w ciał tysiącu—cierpieć tysiąc razy!

Aż przejdzie tysiąc śmierci—i w jedno złączony]
Stanie przed tronem moim, wolny wszelkiéj zmazy!
Przez całe lat tysiące masz swój cel wytknięty,
Będziesz błądził po świecie z mianem Bajronisty,
Lecz strzeż się namiętności! bądź wielki i czysty!
Bo byłbyś tysiąc razy na wieki przeklęty!

Chór Aniołów.

Żegnaj nam bracie! gdy twe powieki
Ogarną senne marzenia,
Usłyszysz wtedy nasz śpiew daleki,
Co twe złagodzi cierpienia!
My ci zanucim nasze piosenki
I otoczymy cię w koło!
A choć znikniemy w blasku jutrzenki
Myśl opromieni ci czoło!
I gdy pieśń swoją powtórzysz rano,
Poznają wszyscy na świecie,
Że przez aniołów była śpiewaną,
Żeś ducha poezji dziecię!

(Jasność—dusza Byrona ulatuje na dół, ku ziemi.)

III.

Pierwszy Bajronista.

Syn.

Mnie smutno! straszno! mnie czegoś brak!
I tak nieznośnie! i duszno tak!
Ciemno i głucho i czarno!
Znikł dla mnie wszelkich powabów czar!
Wciąż widzę cienie złowrogich mar,
Zwątpienia postać poczwarną!

Matka.

Synu mój drogi! porzuć te żale!
Patrz! jaki piękny świat!
Nie myśl o jakimś tam ideale,
Smutek, cierpienia, rozrywaj w szale,
Spojrzyj na dziewic kwiat!

Syn.

Ja nie chcę matko, dziewic ni róż!
Patrz! słońce błysło—i gaśnie już!
A tak daleko do świtu!...
Zbrzydły zabawy i sen mój zbladł!
Kwiat marzeń moich uwiądł i spadł,
Przed czasem swego rozkwitu!

Matka.

Synu mój! Synu! jakiś ty blady!
A w oczach dziki żar!
Na twarzy widne cierpienia ślady,
Może chcesz czego? uciech? biesiady?
Otrzymasz każdy dar!

Syn.

Nie, matko! nic mi nie trzeba już!
Na głowę moją swe dłonie złóż,
Mów konających pacierze!...
Zwołaj pogrzebu cmentarnych sług,
Ja już wstępuję w wieczności próg,
Z twych objęć śmierć mię zabierze!

IV.

A téjże nocy—nie mija godziny,
W sąsiednim domu szczęście zawitało,
I obchodzono syna narodziny.
Ładne dzieciątko rzewnie zapłakało,

I wciąż wznosiło oczęta do góry,
Jakby gardziło tym płaczu padołem,
Jakby się chciało unieść tam, nad chmury,
I wzlecić w niebo skrzydlatym aniołem.

. . . .

Jeszcze Bajronista.

V.

Noc była! księżyc blady, wśród chmur srebrnéj fali,
To się krył—to znów wyjrzał, rzucając promienie
Na ziemię, co zapadła w głębokie uśpienie.
Cisza! niekiedy tylko wiatr zaszumi w dali,
Zaszumi i ucichnie—jak dziecka westchnienie,
Co usnęło wśród płaczu i przez sen się żali.

Cicho! Czasem z kwiecistéj bliskich łąk równiny
Zaleci jakieś tchnienie wonne i gorące!
I muśnie drzewa, kwiaty i ptaszęta śpiące.
Wtedy na wpół zbudzone coś nucą ptaszyny,
I kwiaty chylą główki swe żywiej płonące—
I znowu zasypiają pod cieniem krzewiny.

I znów cisza!—Lecz pośród drzemiącéj natury,
Na złomie omszałego z wilgoci granitu,
Siedziała jakaś postać—oczami z błękitu
Ścigając jasne gwiazdy i srebrzyste chmury.
Na twarzy był kolejno—to wyraz zachwytu,
To uśmiech ironiczny, lub przesyt ponury.

Był to jakiś młodzieniec, on nie spał nic wcale,
Siedział, patrzył, poziewał i dumał niechętnie,
Czasem ręce załamał, czasem westchnął smętnie,

Zamarzył coś—i znowu krzywiąc się niedbale,
Na ziemię i niebiosa patrzył obojętnie,
I uroczystą ciszę przerywał zuchwale.

I najprzód, powtarzając cudze wyrażenia,
Szepnął „O melancholjo! nimfo! zkąd tyś rodem?“
A potem potarł ręką po swem czole młodem,
I zaczął już coś mówić z własnego natchnienia,
Czemu smutna bogini tylu jest powodem
Tęsknoty i boleści, marzeń i cierpienia!...

„Ha! świat cały—zawołał—jest olbrzymią sceną,
Gdzie dla zabawki bogów, dla ich pośmiewiska,
Wciąż grają się komedje, lub dzikie igrzyska.
Natura dekoracją, ziemia jest areną,
A ludzie aktorami tego widowiska,
Okupując swą rolę życia swego ceną!...

„Czasem się coś odezwie w uczuciach człowieka,
I szarpie się rozpacznie jego biedne serce,
I płacze, że dni schodzą na téj poniewierce,
Żąda czegoś większego i marzy i czeka,
To odgłos tego ducha co tli w mdłéj iskierce
I buntując się przeciw swéj roli—wyrzeka!

„Lecz prędko milknie głos ten, milczyć przymuszony,
I ciemność znów ogarnia, choć przycicha żałość,
A tylko, jakby dawnych wspomnień pozostałość,
We śnie mu się przesuwa obraz nieskończony
Jakichś marzeń rozsnutych a tworzących całość,
I z piersi wydobywa ten jęk przytłumiony.“

Zamilkł—a księżyc nagle chmurą się zasłonił,
Jakby na słowa jego wielkim zdjęty gniewem,

I puszczyk się odezwał swym złowrogim śpiewem,
Zatrzepotał skrzydłami i dalėj pogonił,
I zajęczał strumyczek co płynął pod drzewem,
A milczący poeta rzewną łzę uronił.

Co tę łzę wywołało? czystą jak krynica,
Spływającą powoli po twarzy młodziana,
Przyczyna może jemu nawet nie jest znana,
Lecz uśmiech ironiczny już nie stroił lica,
I nie pochylił głowy, a twarz łzą zalana
Miała jakiś wdzięk dziwny przy blasku księżyca.

„Dawno już bardzo—mówił—jeszczem był dziecięciem,
Miałem jasne widzenie, we śnie czy na jawie:
Wieczór był taki, jak dziś—siedziałem na trawie
I rozmyślałem długo dziecinnem pojęciem
O świecie, Bogu, ludziach, występkach i prawie,
Nagle—ktoś delikatnem zbudził mnie dotknięciem.

Za mną stała kobieta, cała w śnieżnėj bieli,
I tuliła mię tkliwie jasną ręką cienia,
Z jėj czoła, ślicznej twarzy, oczu i odzienia
Biła jasność promienna;—to mię onieśmieli,
I padając na klęczki z strachu, uniesienia,
Pytam: Czyś pani świętą jak boscy anieli?...

— Kto ja jestem, nie pytaj—odparła łagodnie,
Liczne noszę imiona, poznasz je w przyszłości:
Jestem źródłem poezji, piękna i miłości.
Lecz ludzie znieważają mię często niegodnie,
Obciążają potwarzą, ranią bez litości,
Kaleczą nazwę świętą, plamiąc ją wyrodnie.

Przyszłam aby cię ostrzedz—ty jesteś poetą,
Mym bratem ducha—z niebios na ziemię zesłanym,
Ty będziesz wywyższonym! będziesz uwielbianym!
Lecz łatwo możesz zbłąkać się jak wielu—przeto
Pamiętaj, abyś do mnie nie wrócił skalanym!
Lecz wielkim—odrodzonym!—niechaj twą zaletą...

„Tu nagle głos jej zamilkł—jeszcze mówić chciała,
Ale słowa ginęły—widać mękę srogą
Na jéj twarzy; jęknęła raz jeszcze—„Tą drogą
Idź!“ I coraz to bardziéj przejrzysta i biała,
Słaniała się siłując—jak ci co nie mogą
Zwalczyć nagłéj niemocy—i w mgle uleciała!

„Długo jeszcze—czy mówić nie będzie—słuchałem
I w dziwnem rozrzewnieniu wyciągałem ręce,
Sądząc, że znów ukaże się w białéj sukience
I dokończy swéj rady!—Napróżno czekałem,
Nie przyszła! dotąd jeszcze jéj pamiątkę święcę,
Jam już wszystko zapomniał—jéj nie zapomniałem!

„Wiele lat już minęło! życie złudę starło
I nieraz się błąkałem po jego pustyni,
Nieraz serce grzeszyło nie wiedząc co czyni,
Ale mi to widzenie w sercu nie zamarło,
I teraz znowu wzywam téj mojéj bogini,
Pragnę słyszéć jéj zdanie—aby mię znów wsparło!

„Przybądź!—błagam cię smutny—wskaż mi moją drogę,
Zaspokój, bo mię szarpią niepewność i bóle,
Przybądź! ja na twych piersiach swą głowę utulę,
Ja sam już żyć nie umiem, nie chcę i nie mogę,
Przemów do mnie jak wtedy, łagodnie i czule,
Może wzbudzisz natchnienie a ukoisz trwogę.“

Tak mówił młody pieśniarz, wznosząc blade lica
Ku niebiosom zasianym gwiazdami jasnemi;
I nagle!—mgła rozwiała się po cichéj ziemi
I objęła poetę—a promień księżyca
Przybrał kształty kobiety z włosami długiemi,
W białéj szacie, z wejrzeniem ócz jak błyskawica.

W ręku trzymała lutnię o strunach złocistych—
Pochylona coś długo poecie szeptała,
Lecz srebrna mgły osłona tak ich otaczała,
Że słów słychać nie było—i postaci mglistych
Trudno okiem rozeznać—lecz lutnia została
W rękach poety, widać dotąd jeszcze czystych.

Na wschodzie zapłonęła jutrzenka różowa,
Księżyc pobladł i zaszedł.—Ptaszki się zbudziły
I czarowny hymn wdzięcznéj radości nuciły.
O! hymnu tego nigdy nie oddadzą słowa!
I wkrótce się niebiosa całe rozświeciły,
Bo je umalowała zorza purpurowa.

A na złomie granitu, z źrenicą błyszczącą,
Siedział jeszcze młodzieniec z lutnią w białéj dłoni,
Znać że gdzieś, po za światy myślą swoją goni,
I przesunął po strunach lutni rękę drżącą,
A dźwięczne tony echa rozniosły po błoni
I budziły naturę jeszcze wpół drzemiącą.

Cudną była pieśń nowa! jak słońca promienie,
Błyszczała w każdym kwiatku, na brylantach rosy,
Tak wspaniała i wielka, jak modre niebiosy,
Tak jasna a niewinna, jak dziecka spojrzenie!
Wtórowały jéj ciche, tajemnicze głosy!
Falowała w powietrzu, przenikła przestrzenie!

A twarz młodego mistrza stała się natchniona,
Znać że dusza w melodje tonęła z roskoszą,
I blade jego lica łzy przejrzyste roszą,
I przyciskał swą lutnię cudowną do łona,
Słuchając jak zefiry lekko pieśń unoszą,
Jak płynie po błękicie w obłok zamieniona!

I powstał! ujął lutnię z podniesionem czołem,
I poszedł między ludzi—on—co ich przeklinał!
A ile razy przy nich pieśń swą rozpoczynał,
To dawniéj obrzucali go błotem, popiołem.
Dziś—na dźwięk jego lutni każdy czoło zginał,
Otaczając go ze czcią nieprzebitem kołem.

Choć kto miał serce twardsze niżeli opoka,
Gdy posłyszał te rzewne, uroczyste dźwięki,
Stawał się nagle smutny, łagodny i miękki,
A łza żalu trysnęła z nieczułego oka;
Ten co i tonącemu nie podałby ręki,
Płakał, jakby mu z serca zniknęła pomroka!

Odtąd wciąż między ludźmi żył młody lutnista,
Podnosił ich, umacniał, bronił od podłości,
A oni widząc uśmiech pełen łagodności,
Czoło, z którego biła jakaś jasność czysta,
Garnęli się ku niemu nie pomnąc przeszłości,
Że miał przez nich nadaną nazwę: Bajronista.

Bo odtąd już zniknęły szydercze uśmiechy,
Nie krzywiły ironją bladych ust poety,
Z pieśnią przy dźwięku lutni szedł jakby do mety,
Wyższy nad ludzkie bóle, słabości i grzechy.
Może wciąż słyszał rady nieznanéj kobiety,
Choć cierpiał—milcząc—w lutni swéj szukał pociechy.

Lecz nagle, po niewielu latach pieśniarz zginął,
Więc lud szukał go płacząc i tęsknie się żali:
Czy uleciał w niebiosy na obłoków fali?...
Czy zamieniony w kwiatek lilją się rozwinął?...
I wszyscy zasmuceni, wszyscy żałowali,
Bo cudowną swą pieśnią daleko zasłynął.

Aż znaleźli go wreszcie! na zielonéj łące
Spoczywał cichy, blady—spojrzeli—umarły!
Usta jego milczeniem na wieki się zwarły,
Lutnię trzymał w swem ręku, a kwiatów tysiące
Nad czołem umarłego kielichy rozwarły,
Kroplami wonnéj rosy nad niemym płaczące!...

A twarz jego anielskim wyrazem jaśniała,
I taki uśmiech błąkał się jeszcze po twarzy,
Jak u tego, co przez sen, lubo cudnie marzy
Jak dziecię, co go do snu matka kołysała,
Jak młoda narzeczona u stopni ołtarzy!...
A lud mówił—że dusza zbawioną została!

Sulisławice,
d. 12 Maja 1872 r.

IDEAŁ KOBIETY.

OBRAZEK SCENICZNY

w jednym Akcie.

Osoby:

HENRYK, artysta malarz.
KONRAD, doktor medycyny.
MARJA, uczona kobieta lat 20.
EMILKA, młoda panienka lat 16.
PANI WOLSKA, jéj ciotka.

Ideał Kobiety.

SCENA I.

(Pokój w mieszkaniu artysty-malarza Henryka—on sam stoi przed portretem młodéj kobiety, zadumany.)

Henryk.

A im się bardziej w te rysy wpatruję,
Tem więcéj mi się wydają ponętne!...
Ha! mimowoli jak artysta czuję
Cześć, uwielbienie dla piękna namiętne!
I cóżem winien, że te cudne oczy,
Gdy się z mojemi wejrzeniem spotkały,
Jakiś mi urok zachwytu zadały!
A ta twarzyczka, w cieniu tych warkoczy,
Wabi ku sobie, nęci jak pokusa!
Co to za śliczne, anielskie stworzenie!...
Minka królowéj! a dziecka wejrzenie!
Usta stworzone tylko do całusa!...
Jaka niewinność! jaki spokój duszy!
Taka dziewica w czasach teraźniejszych
To cud! zjawienie jedno z najpiękniejszych!
Na które męzkie serce tak się wzruszy,
Że z zachwycenia zapomni o świecie!

I o tem, że nas przestrzegają starzy,
Aby nie wierzyć, nie ufać kobiecie!...
Ależ to fałsz jest! Jakto? w takiéj twarzy,
Gdzie wszystkie linje klassycznie prześliczne,
Można utopić oko podejrzliwe?
Miałyżby rysy być wdziękiem kłamliwe?
I maską wady pokrywać rozliczne?...
Nie! Być to może, ale w innym razie,
Kokietka, ludzi znająca i życie,
To twarz ułoży, wyraz zmieni skrycie—
Można się zmylić na takim okazie,
Sawantki, zręcznéj, bystrej zalotnicy—
Ale Emilka! ze swoją prostotą!
Z swą naiwnością! szczerą jest jak złoto!
To jest prawdziwy ideał dziewicy!

SCENA II.

Doktor Konrad. (wchodząc.)

Aha! artysta przy pracy—jak widzę!
Dzień dobry!

Henryk.

Witaj!—co słychać na mieście?

Doktor Konrad.

Mówią—żeby się nie kochać w niewieście!

Henryk.

Cóż znowu?

Doktor Konrad.

Jestem zły!—sam z siebie szydzę,
A na kobiety srodze obrażony!
Zrobiłem głupstwo!

Henryk.

To się często zdarza!

Konrad.

A mnie szczególniéj! Widzisz... chciałem żony!
I gotów byłem powieść do ołtarza,
No! zgadnij kogo?

Henryk.

Alboż wiedzieć mogę?
Ty się wciąż kochasz! zawsze, nieustannie!
W każdéj kobiecie, co ci przejdzie drogę!

Konrad.

Eh! lecz tym razem kochałem się w pannie
Ładnéj jak róża! mądréj jak Pallada!

Henryk.

I cóż?!

Konrad.

Widzicie państwo obłudnika!
Niby to nie wie! Panna odpowiada,
Że mię szanuje—lecz pana Henryka
Kocha i jego jest już narzeczoną!
Ot! brzydki zwyczaj tajemnica taka;
Gdyby kto wiedział, iż rzeczą wzbronioną
Jest się w niéj kochać, toby dał drapaka,
Czując że mu coś koło serca kręci,
I w oddaleniu, całą siłą woli,
Miłość rugował z serca i pamięci!
A teraz—śmiéj się!... a mnie serce boli!

Henryk.

No! no! nie złość się! Nie ma znów w tem winy!
Śmieję się z twojéj dość pociesznéj miny!
Lecz powiedz-że mi, o kim mówisz?

Konrad.

Heniu!
Proszę cię, nie drwij! Pytasz się o miano
Swéj narzeczonéj?!

Henryk.

To ty w uniesieniu
Przykro żartujesz! Zainformowano
Cię źle! o fakcie dla mnie bardzo dziwnym!
Bo ja nie jestem narzeczonym wcale,
A nawet temu stanowczo przeciwnym!
Nie chcę się żenić z nikim!

Konrad.

Doskonale!
Otóż to gładko kłamie, co się zowie!
Ah! mój Henryku! co u ciebie w głowie!
Wiem już o wszystkiem! na co te skrytości!
Dziś panna Marja wszystko mi wyznała!

Henryk.

Ej! panna Marja zanadto jest śmiała!
Dziwię się bardzo...

Konrad.

Do ostatniej złości
Mnie doprowadzasz! Więc na cóż ma taić?

Henryk.

Emancypację zanadto posuwa!
Ja się nie mogę wcale przyzwyczaić
Do téj śmiałości, która ją wyzuwa
Z najszacowniejszych skromności przymiotów.

Konrad.

Mam żal do Marji—lecz za jedno słowo
Przeciw niéj—bratku! bić się jestem gotów!

Co ty mi tutaj pleciesz to i owo!
Sztuczną gawędą pragniesz otumanić,
Wiem żeś szczęśliwcem wybranym! Zazdrościć
Mogę! —lecz przecież praw nie będę rościć,
Ani też czynu waszego chcę ganić,
Bo gdybym ja się w takiem położeniu
Znalazł, to byłbym najszczęśliwszym z ludzi!
Ha! darmo! chyba w mojem przeznaczeniu
Inaczéj stoi! Już mię życie nudzi!
Ta kawalerska sławiona swoboda,
Poznaję teraz—licha tylko warta!
Na nią młodości pięknych latek szkoda,
Radbym ją szczerze porzucić do czarta!
Jakaż to roskosz mieć swoją jedyną,
Kochaną żonę! Życie, myśl z nią dzielić,
Cieszyć się miłą, prześliczną rodziną
I na jéj łonie z trosk się rozweselić!...

Henryk.

O! niezawodnie! gdy świat zmęczy gwarem,
Ukryć się w małe zaciszne gniazdeczko,
Tam się zachwycać milutką żoneczką,
Spokojnym życia domowego czarem,
To jest raj ziemski!

Konrad.

Jeszcze z taką żoną
Jak Marja! z taką dobrą, wykształconą,
Która myśl każdą pojmie i zrozumie,
Uczucie serca, sercem odczuć umie!
I życie całe towarzyszyć będzie
Wytrwale, mężnie... w szczęściu lub cierpieniu
Z mężem, dłoń w dłoni—w jednakiem dążeniu,
Przez wszystkie drogi, z nim pospieszy wszędzie!
Henryku! za coś ty błogosławiony
By mieć to szczęście?!...

Henryk.

Ja?...

Konrad.

A ty!

Henryk.

Istotnie
Za wiele szczęścia!...

Konrad.

Coś mówisz markotnie,
Twe słowa zimne, a wzrok roztargniony!

Henryk.

Słuchaj! nie umiem się dłużéj hamować!
Bo mi lżéj będzie kiedy ci się zwierzę!
Na twoją przyjaźń wszak mogę rachować!
Ty mię nie zdradzisz!

Konrad.

No! mów wszystko szczerze.

Henryk.

Wiesz—żem gwałtowny, trochę lekki, nieco
Popsuty może!... Żyłem dużo w świecie,
Nieraz chwytałem za płomień jak dziecię,
Jak ćma smaliłem skrzydełka nad świecą;
Lecz z tych igraszek wyszedłem dość cało,
A co dziwniejsza—serce zapaleńca,
Serce trzydziesto-letniego młodzieńca,
Prawdziwie, szczerze, nigdy nie kochało!
I nieraz patrząc na miłosne szały,
Śmiałem się tylko, a z biedaków drwiłem,
Bo mnie kobiety bardzo zajmowały,
Lecz zakochanym, ja nigdy nie byłem!

Konrad.

Głaz!

Henryk.

O! poczekaj!... Przyszła i tu kréska,
Jak na nieszczęsnéj pamięci Matyska!
Znasz Marję! dziwny jéj urok, wymowę—
Przez jeden wieczór tyle dokazała,
Że mię olśniła, przykuła, porwała!
Oszołomiła i serce i głowę!
Wiedziała dobrze, iż mądre kobiety
Nie są w mym guście—że się niemi drażnię,
Przecież nie kryła tej swojéj zalety!
I tak działała na mą wyobraźnię,
Tyle zdań rzekła usty różowemi,
Że mimowoli zająłem się niemi;
Musiałem przyznać w wielu rzeczach rację
I poszanować wyższy polot ducha,
A przytem wielbić wdzięk, swobodną grację!

Konrad.

A widzisz! darmo udawałeś zucha!
Serce nie sługa!

Henryk.

Oj! prawda niestety!
Com ja też sobie nagadał morałów,
Za niestosowny przedmiot mych zapałów!
Napróżno! ległem u stóp téj kobiety,
Zwalczony całkiem, zakochan po uszy!
Tak zawładnęła moich uczuć siłą,
Że z każdą chwilą w mem sercu i duszy
Miłość wzrastała!

Konrad.

I ze mną tak było!
Cóż daléj?!

Henryk.

Mego wstrętu do sawantek,
Tych nowatorek i emancypantek,
Wnet zapomniałem! Ona, tak uczona,
Jakże jest miłą, zręczną, naturalną,
A w towarzystwie jakże ożywiona!
To moją winą było kardynalną,
Mówiłem sobie—żem się uprzedzeniem
Dotąd kierował względem niebożątek!
I zdań tych, z zgrozą! zaraz na początek
Jam się wyprzysiągł z wielkiem uniesieniem!

Konrad.

I słusznie!

Henryk.

Słusznie? o tem już zwątpiłem!
Dziś—myślę raczéj—że się zaślepiłem,
Miłość mi oczy zachwytem zamgliła...
A jednak temu nie będziesz się dziwić!
Gdy się twarz Marji czuciem rozjaśniła,
To mogła serce artysty roztkliwić,
Bom miał widzenie Sapho starożytnéj!
W oczach jéj płomień! na czole prześlicznem
Snuły się ślady myśli wzniosłéj, szczytnéj,
Słowa, ruch—wszystko u niéj poetycznem!
A usta, często drżące, jak kwiat cudne!...
Oh! niezrównane te wdzięki!... Kochałem!...
To mało!... Wtedy—oh! ja oszalałem...
Były to chwile do skreślenia trudne!...

Konrad.

Cóż daléj?!

Henryk.

Z resztą dawniejszych poglądów,

Mężnie uczuciu opór wciąż stawiałem.
Lecz pod jej wpływem znów się przekonałem,
Że pozostaję pod władzą przesądów.
Aż w końcu tak się tej władzy pozbyłem,
Że dotąd nie wiem nic jak się to stało,
Ale mi serce uczuciem wezbrało
I miłość moją Marji oświadczyłem!

Konrad.

A ona?...

Henryk.

Zrazu, niby zalękniona,
Pobladła—na bok odwróciła lice,
Potem utkwiła wilgotne źrenice
W méj twarzy—rączki podała mi obie...
Ukląkłem... Bledniesz? Konradzie! co tobie?

Konrad.

Nic! opowiadaj! jak to dawno było?!

Henryk.

Rok temu! Pojmiesz wtedy moje szczęście!

Konrad.

Oh! tak!... ha! to mię dziwnie rozdrażniło!...

Henryk.

Ależ—ty gryziesz wargi, ściskasz pięście!
Mienisz się! chłopcze! co tobie! mów przecie!

Konrad (z wybuchem.)

Czy nie wiesz, że się kocham w tej kobiecie!
A ty mi gadasz!... No! mów! nic nie zważaj
Na to! proszę cię! tem się nie obrażaj!

Henryk.

Będę zwięźlejszym. A więc od dnia tego
Dostałem tytuł jéj narzeczonego.

Lecz Marja wówczas stanowczo nie chciała,
By o tem wiedział, prócz nas—ktobądź z ludzi;
Pary gołąbków ta czujność nie trudzi
I nam się wcale przykrą nie wydała.
Marja swobodna zawsze w swoich czynach,
Mogła rozmawiać po całych godzinach
Z każdym—bez żadnych uwag i kontroli!
Jak wiesz—że szczerze gust swój okazuje,
Gdy z kim w rozmowie przyjemność znajduje,
To nie krępuje sympatji! I woli,
Choć się naraża na ludzkie gadanie,
Wypełnić chęć swą i upodobanie.
Nie jedną chwilę spędziliśmy cudną!...
Oh! ona umie być roskosznie miłą!
Com ja czuł wtedy! to określić trudno...
Serce raz pierwszy gwałtownie mi biło,
Poznałem wreszcie co jest czar miłosny,
Codzień kochałem ją silniéj, goręcéj,
Codzień o skarb mój byłem trwożny więcej,
Aż się zrobiłem piekielnie zazdrosny!
O! i poznałem wśród męki szalonéj,
Co jest—w kobiecie kochać się uczonej.
Im więcéj z Marją miałem przyjemności,
Śledząc ten umysł wzniosły, wykształcony,
Tem bardziéj czułem porywy zazdrości!
Ah! bo nią każdy musiał być olśniony!
Każdy, kto mówił z nią, poznał jej duszę,
Musiał ją wielbić! hołdować! podziwiać!
Jéj postać, słowa, zdały się ożywiać
Wszystko!—Straszliwe przeszedłem katusze,
Gdy ją tak często wśród ludzi zastałem,
Co jéj klaskali jawnie i tajemnie,
Gdy na ich twarzach wciąż zachwyt widziałem,

To coś dziwnego, wściekłość wrzała we mnie!...
Radbym był wtedy murem ją otoczyć,
A tak wysokim, aby nikt z śmiertelnych
Nie mógł ni okiem sięgnąć, ni przeskoczyć!...
Męki Tantala, najsroższe z piekielnych
Dręczyły wówczas mię ciągle, straszliwie!

Konrad.

Lecz jeśli ona kochała prawdziwie?...
Tyś jéj nie wierzył?!

Henryk.

Nie! ja nie wierzyłem!
Badałem, czemu ona mię kochała?
Czy mogła kochać? gdy mię przewyższała
Wszystkiem! Sam sobie nawet zazdrościłem!
Pomyśl—to serce podniosłe, dziewicze,
Co ponad ziemię, w urocze błękity
Jak anioł leci w sfery tajemnicze,
Ten rozum wielki i niepospolity,
I to pojęcie cudnie poetyczne,
Upodobanie zawsze estetyczne,
Miałożby wszystko to z górnéj krainy
Opaść na ziemię? I taka istota
Mogłaby kochać uczuciem dziewczyny,
Człowieka z mułu ziemskiego, czy błota!
Ot i takiego jak ja pessymistę,
I empiryka i materjalistę!
Nie!... jam ją kochał! bo i któż z młodzieży
W niéj się nie kocha?! Alem widział jasno,
Że jéj uczucia jak ogniki zgasną,
Jak wątła iskra na mokréj odzieży.
Ah! bo jej szata, ciało, przesycona
Idealnemi pojęć roztworami,

Od ogni ziemskich nie będzie spalona!
Ona pozorem kobiecości mami,
A przecież to jest bogini mądrości,
Zrodzona z mózgu Jowiszowéj głowy,
Dla któréj obcy jest popęd sercowy
I ludzkich uczuć żary i słabości!
To muza, nimfa, Loreley, zjawisko!
Zdradna rusałka, cudna Świtezianka,
Lecz nie kobieta, mężczyzny kochanka!
Jam ją miał obok, siedziałem tuż, blisko,
Jéj ręka w mojéj spoczywała dłoni.
Nagle, gdy mówić, gdy śpiewać zaczęła,
Czułem, że mi się z objęcia wymknęła,
Że duch jéj w górne sfery leci—goni!
Jam pragnął w sercu pochłonąć ją całą!...
Ha! dla kobiety zwyczajnéj a tkliwéj,
Było tam gniazdko miłości szczęśliwéj,
Lecz dla téj! czyliż toby wystarczało?
Żem ja uczucie miał dla niéj gorące,
To cóż! wszak ją tak kochało tysiące!
Jakąż ja mogłem mieć w jéj oczach cenę?
Chyba to, żem się zrazu ją czcić wzbraniał!

Konrad

Lecz ona kocha!...

Henryk.

Jam sobie rozraniał
Serce, podejrzeń jadem! Nieraz—scenę
Widziałem taką: że z wroga, robiła
Swego wassala, czciciela, wyznawcę:
Tylko spojrzała, tylko przemówiła,
I już w swéj sieci trzymała łaskawcę!...
A więc myślałem, że obojętności,

Jaką jéj zrazu wciąż okazywałem,
Chce się mścić, grając komedję miłości!...
Konradzie! wierz mi! ja z bólu szalałem!
Gorzéj niż śmierci bałem się téj chwili,
W któréj szyderczo mię pożegnać raczy!
Jam się okropnéj poddawał rozpaczy!
A jednak inni jeszcze zazdrościli
Mojego losu!

Konrad.

Ona kocha ciebie!
I ja zazdroszczę!...

Henryk.

Tak się wciąż błąkałem
Po tym ciemności okropnym Erebie,
Kilka miesięcy! Tyranizowałem
Ją czasem mojem uczuciem, zazdrością,
Ona znosiła wszystko z łagodnością,
Która u takiéj serc ludzkich władczyni,
Sztuczną, nadaną tylko być musiała!
Bo czyż podobna, żeby ta bogini
Tak się pokornie miłości oddała?...
Jam jéj nie wierzył! oh! jam ją przeklinał!
Tę hardą głowę wzgardą obciążałem,
A przecież gdy w jéj lica znów spojrzałem,
Tom w uwielbieniu kolana uginał!
Bo gdy stanęła z pochylonem czołem,
Ze łzą w źrenicy, z ustami drżącemi,
Gdy przemówiła słowy natchnionemi,
To mi się świętym wydała aniołem!
Ah! na co? na co? te chwile wspominać!
One mi pokój duszy zamąciły,
I krwawe ślady w sercu wypaliły!...

Ja póki życia będę je przeklinać!...
Lubo... najmilsze, choć krótkie wspomnienia
Wiążą się z niemi... Z jéj rąk skosztowałem
Przedsmaku szczęścia!... Ha! lecz i cierpienia
Ja z jéj przyczyny raz pierwszy doznałem!...

Konrad.

I potem?...

Henryk.

Potem—czekaj! niech ochłonę!...
Raz—był w ich domu wieczór tańcujący,
Marję—jak zawsze, okolił wielbiący
Tłum!—Wszystkie tańce miała zamówione,
A ja—wzburzony, wcale nie tańczyłem,
Tylko w szalonym gniewie się patrzyłem,
Gdy coraz innem ramieniem objęta
Mknęła po gładkiej posadzce swobodnie.
Jam czuł, żem gotów dziś popełnić zbrodnię,
Tak mną miotała ta zazdrość przeklęta!...
Ah! ona była taka ładna, miła!
Takim urokiem twarz jéj promieniła!
Że ją sto oczów płonących ścigało,
A w każdem tysiąc uczuć migotało!
Ten ją uwielbiał, a tamten się palił,
Inny zazdrościł, a każdy ją chwalił!...
— Marjo!—szepnąłem głosem przytłumionym,
Wyjdź ztąd!... tyś taka urocza!... przez litość!
Ja się tak czuję zazdrością zmęczonym!
Na co ci taka tych hołdów obfitość?
Masz wieniec chwały! ogólne uznanie!...
To dosyć! reszta—wszak do mnie należy...
Czy nie wystarcza ci moje kochanie?
Co chce od ciebie ten zastęp młodzieży?

Odsuń ich, Marjo! poświęć dla mnie trochę
Tych czczych owacji! Spojrzała się smutnie,
Milcząc. — Ha! widzę że masz serce płoche!
Rzekłem, szamocząc się w duchu okrutnie,—
A raczéj—nie masz go wcale! Oklasków
Pożądasz wiecznie! poznaję sawantkę!
Ty żyć nie możesz bez hołdu i blasków!
— Czyliżbyś wolał mieć ze mnie pedantkę?
Od któréj ludzie uciekają zdala?!
Rzekła półgłosem. — O! to milsze Pani!
Że ją tłum ciągle otacza, wychwala!...
Mówiłem—głos mi wiązł w ścieśnionéj krtani,
Ironja straszna serce zalewała.
Milczała—niby łzy w źrenicach miała,
Jednak nie wyszła i jeszcze piękniejszą
Była, bo niby nieco poważniejszą;
Cień melancholji wionął jéj na czoło,
Usta nie śmiały się już tak wesoło...
Lecz dobrze pewno wiedziała zwodnica,
Jakie powabne, gdy smętne ma lica!...
Téj saméj nocy ktoś mię zapytywał
O moje prace— odparłem niechętnie,
Że nic nie robię!—Bom się zaniedbywał
Istotnie! Nadto kochałem namiętnie,
Bym myślał o czemś—co nie było w związku
Z Marji osobą! Ah! lecz wywołałem
Piękne kazanie o mym obowiązku
Dla sztuki. Bólem i gniewem zawrzałem.
— Wiesz—rzekłem Marji—jutro zaraz jadę
Do Włoch—chcę sztukę przeprosić, studjować...
Zwróciła ku mnie lice trochę blade,
— Tak! tyś powinien jeszcze podróżować...
Mówiła zwolna—twoje powołanie

Tego wymaga! Ty jesteś artystą,
Więc ci nie wolno tłumić darów nieba,
Genjuszu twego!... Pomagać mu trzeba,
By się objawił formą wielką... czystą!
Mnie—boleść serce ścisnęła niezmierna,
— Więc się rozstajem?—głucho tylko rzekłem.
— Do czasu!... powróć... jam ci zawsze wierna!
Odparła cicho. Powstałem—uciekłem!
O! zrozumiałem Minerwę przezorną!
Chciała się pozbyć mnie! Gorycz odmowy
Przybrała w formę wyrażeń wytworną,
Bo zawsze, niby posąg marmurowy,
Czy przedstawiając smutek, czy radości,
W twarzy, układzie, połączyć umiała
Wyraz duchowy i urok piękności
Plastycznéj! Cudne pozy przybierała!...
Lecz mnie oszukać nie mogła niestety!
Znałem ja takie kobiece przebiegi!
I z oczu moich bystre były szpiegi!...

Konrad.

Henryku! bluźnisz! nie znasz téj kobiety!
Ona jest szczera i gardzi udaniem!
Ona szlachetna! uczuciowa!...

Henryk.

Widzę.
Przy swoich zdaniach odrębnych zostaniem!...
Ah! czy ty myślisz, że kiedy z niéj szydzę,
To mnie nie boli jeszcze strasznie serce?!
Dziś mniéj—to prawda!... Dziś się już zgodziłem
Z losem! Lecz zrazu pierś sobie krwawiłem!...
Jak wąż się wiłem w uczuć mych rozterce!
Miłość, tęsknota—ku niej mnie ciągnęły!...

Rozum, odwaga—prawdę przedstawiały,
A jam się szarpał zwątpiony, zbolały!...
Wreszcie rozumu władze górę wzięły!...
Pracą usilną w sobie zagrzebałem
Uczucie moje!... Dziś—jam uleczony
I z mąk piekielnych szczęśliwie zbawiony.
Teraz już tylko mówię ci: Kochałem,
Kochałem Marję, kobietę uczoną,
W pojęciach swoich zachwiałem się chwilę,
Lecz dziś raz drugi już się nie omylę!
Mądra niewiasta nie będzie mą żoną!...
Jéj kokieterji palące postrzały
Nic nie zaszkodzą mi! jam skamieniały!

Konrad.

Więc od tygodnia, wróciwszy z podróży,
Tyś u niéj nie był z powitaniem?...

Henryk.

Wcale!
I być nie myślę!

Konrad.

I serce nie zburzy
Tych pęt okrutnych?

Henryk.

Zanadto wytrwale
Nad ich zrobieniem długo pracowałem!
Mówię ci: Marję—Minerwę kochałem,
Ale nie kocham!

Konrad.

Nie mogę ci wierzyć!
Miłość prawdziwa, inna od miłostek,
Trwa dużo dłużéj od nędznych błachostek!

Henryk.

Ale ją można potłumić, uśmierzyć!

Konrad.

Lecz Marja kocha! uważa się zawsze
Za narzeczonę twoją!

Henryk.

O! rozumiem!
Oceniam bardzo względy najłaskawsze!
Właściwie, słusznie je oceniać umiem!
Gdy ja uciekam—ona za mną goni,
Chce, bym u stóp jéj był znowu bez broni!
O! piękna Pallas! daremno się kusisz!
Jam dawno przestał czcić cię niewolniczo!
Już mię nie złudzisz raz drugi zwodniczo,
I spotkać z sobą nigdy nie przymusisz!

Konrad.

Ty się jej boisz! ty ją kochasz!

Henryk.

Cicho!
Ja jéj nie kocham! Ja jéj widzieć nie chcę,
Bo... Znasz tę bajkę: rusałka, złe licho,
Na śmierć młodziana wśród śmiechu załechce!
Ona ma dar ten!

Konrad.

O! niesprawiedliwy!
Ah! gdyby ona mnie była wybrała!
Jabym jéj wierzył! ja byłbym szczęśliwy!
Bo wiem, że ona nigdy nie skłamała!
Wiem, że w téj duszy prawda tylko gości,
A serce zdolne do tkliwéj miłości!...

Henryk.

Ha! chcesz mi dowieść, żem ja jéj niegodny!
Być może!... Dosyć o tem.—Mój kochany,
Spojrzyj na portret ten! jest malowany
Niedawno! Uważ ten wdzięk tak łagodny,
Jakby bez chmurki niebiosa majowe!
Jakie spojrzenie milutkie, niewinne,
Profil prześliczny, włosy złoto-płowe,
Kształty tak czyste, jeszcze wpół dziecinne!

Konrad.

Panna Emilja!

Henryk.

Ona! dziewczę lube!
Patrz! jéj—ja wierzę! naiwna, szczebiotka,
Nie zdoła skazać na zazdrości próbę,
Bo jest tak dobra, potulna, pieszczotka!
O jéj osóbkę staram się na żonę.
Choć filozofji zasad nie pojmuje,
Lecz umie kochać, żywo wszystko czuje,
Będę miał serce szczerze poświęcone;
Postępowanie jéj ja sam przepiszę,
Najlepiej—jeśli żona słucha męża,
Robi robótkę i dzieci kołysze!
Swych praw nie żąda, trudów nie zwycięża.
Emilka moja szczęściem darzyć umie,
Ma serce, więcéj czuje niż rozumie!

Konrad.

A Marja?!

Henryk.

Proszę, mówmy o czem innem!

Konrad.

Lecz ty w zazdrości uczuciu dziecinnem
Krzywdzisz ją!

Henryk.

Ależ! Konradzie, mój miły!
Co tam słyszałeś z polityki? (ogląda swoją rękę.)

Konrad.

Palec
Cię boli?

Henryk.

Ugryzł mię, zły jak padalec,
Pinczer—dwa ząbki głęboko się wpiły,
I ranka boli!

Konrad.

Czy ten pies był zdrowy?

Henryk.

E! to Emilki piesek pokojowy!
Nie masz lapisu?

Konrad.

Nie!—Przyślę ci!

Henryk.

Dzięki!
Ale nietylko lekarstwo dla ręki:
Przyślij mi także co na moje nerwy,
Coś mi je zdrażnił!

Konrad.

Kwiat pomarańczowy!

Henryk.

Wolałbym opjum!

Konrad.

Proszek szafranowy
Przyślę!

Henryk.

Gdzie idziesz?

Konrad.

Bądź zdrów! do Minerwy! (wychodzi)

Henryk. (sam.)

O Marjo! Marjo!... Nie! (biegnie do portretu Emilji.)
Anielskie dziecię!
Jakie to ładne! pokocham cię duszko!
Nawet już kocham! ah! nad wszystko w świecie!
Twe lice takie barwne jak jabłuszko!
Usteczka... szyjka... skarb wdzięków dziewiczych...
— Marja mię kocha?! nie! to być nie może!
To tylko błyski nadziei zwodniczych!
Gdy moje serce u Emilki złożę,
Gdy się złączymy na zawsze już ślubem,
To w jéj objęciu kochającem, lubem,
Zapomnę całkiem tamtéj egoistki!...
Ty Marjo, zbieraj laurowe listki!
Sięgaj po biret! wolno ci! nie bronię!
Ah! jakiś ogień pali moje skronie!...
Duszno mi! (otwiera okno.) Czwarta! a dziś posiedzenie
Cioci, Emilki—przyjdą wkrótce obie,
Lecz jestem pewnym, że dziś nic nie zrobię,
Bo czuję jakieś dziwne podrażnienie!

SCENA III.

(Pani Wolska i Emilka wchodzą.)

Pani Wolska.

Czyśmy zastały?

Emilka.

Dzień dobry!

Henryk (do Emilki.)

Tak, wierzę,
Że to życzenie mówisz pani szczerze,
Z serca!—ah! gotów jestem wierzyć temu,
Żem całkowicie wyrwan z mocy złemu!

Emilka.

Wie pan! dziś miałam szczęście i zmartwienia!

Henryk.

A co też pani swem szczęściem nazywa?

Pani Wolska.

Cicho Emilko! paplesz do znudzenia!

Emilka.

Kiedy mi ciocia tak ostro przerywa,
To nic nie powiem!

Henryk.

O mów pani, proszę!...

(Ustawia stalugi—ciocia siada, Emilka staje przy niéj.)

Emilka.

Nie! nie! nie mogę! już nie! już nie powiem!...

Pani Wolska.

Czy poza dobra?

Henryk.

Doskonała! (do Emilki:) Pani!
Więc ja się pojęć o szczęściu nie dowiem?!

Emilka.

Kiedy mi ciocia wciąż gadulstwo gani!...

Pani Wolska.

No, mów! ty trzpiotko!

Henryk.

Już ciocia pozwala!

Emilka

Widzi pan! Tata, wczoraj, na wiązanie
Kupił mi nowy fortepjan u Kralla!
A ciocia śliczne niebieskie ubranie!

Henryk.

Więc to jest szczęście?! To przyjemność tylko!

Pani Wolska.

Oj! dziecko z ciebie! dziecinna—Emilko!

SCENA IV.

(Wchodzi doktor Konrad.)

Konrad.

Uszanowanie moje!—Mój Henryku!
Chciałbym zobaczyć twe album z podróży!
Wracam się po to.

Henryk.

Weź go! niech ci służy,
Znajdziesz w nim szkiców przeróżnych bez liku!

Pani Wolska (do Konrada.)

Pozwól pan przejrzeć! (oglądają razem.)

Henryk (ciszéj do Emilki.)

Więc pani tak mało
Trzeba do szczęścia? Sukien, fortepjanu...

Emilka.

Ja wszystko szczerze powiedziałam panu,
A pan żartuje...

Henryk.

Lecz mów pani śmiało!
Jabym żartować nigdy nie mógł z pani!
Tyle przyjaźni, uczucia mam dla niéj!...
Powiedz mi jeszcze—gdyby serce swoje
Kto ci darował—czyżbyś się cieszyła?...

Emilka.

Serce? a jakto?...

Henryk.

Czybyś się zgodziła
Dać w zamian twoje?...

Emilka.

Lecz...

Henryk.

Cóż?

Emilka.

Ja się boję!...

Henryk.

Czego aniołku?

Emilka.

Nie wiem!...

Henryk.

Powiedz-że mi,
Kochasz mię?...

Emilka.

Kocham!...

Henryk.

Będziesz moją żoną?

Emilka.

Żoną?...

Henryk.

Spojrzyj tu oczkami ślicznemi,
Cóżeś tak bardzo zmieszaną, spłonioną;
Będziesz aniołku! Prawda?!

Emilka.

Prawda... może!...

Henryk.

Ty niewiniątko cudne! ah! mój Boże!
Jakżem szczęśliwy!...

Emilka.

I ja!...

Pani Wolska.

Cudne szkice!
Oh! pan nie darmo zwiedził zagranicę!

Henryk.

Tak sobie! (ciszej) A więc Emilciu kochana,
Toś ty już moją!...

Emilka.

No tak... niby... pana...

Henryk.

Mój aniołeczek!

Konrad.

Heniu! do widzenia!

Henryk.

Adieu!

Konrad.

Więc biorę album do przejrzenia!

Henryk.

A! czy...

Konrad.

Co?

Henryk.

Ej! nic! (na str.) Dla Marji go bierze.

Konrad.

Bądź zdrów!

Henryk.

To album, przyjm proszę, w ofierze
Odemnie!

Konrad.

Dzięki! (wychodzi.)

Pani Wolska.

Jaki to dar miły!

Henryk (na str.)

On to ztąd prosto do Marji zaniesie;
Jak też osądzi moje dzieci w lesie?
(Głośno) Dziś moje prace nic nie postąpiły,
Jakoś się czuję nieusposobiony!

Emilka (patrząc na mały obrazek.)

Patrz ciociu! ciociu! jakie też to ładne!

Henryk.

Eh! gdzież tam! to szkic dawny, źle zrobiony,
Pierwszéj młodości próby niedokładne!
(Na str.) No, na malarstwie nie zna się dziecina!

Emilka.

A tu znów piesek: to mi przypomina
Moje zmartwienie! Mój Bibi kochany
Zginął!

Henryk.

Co? Bibi! sprawca mojéj rany?

Emilka.

Tak! od dni kilku był już w złym humorze,
I nagle zginął!

Henryk.

On był wściekły może!

Emilka.

Co? Bibi! piesek mój drogi! biedaczek!...
Ah! to on pewnie umrze nieboraczek!...

Henryk.

Przepraszam panie!... wyjść na miasto muszę!...
Wrócę niedługo!...

Pani Wolska.

Lecz co panu?

Henryk.

O, nie!...
Nie!... panie... proszę, niech raczą zaczekać!...

Pani Wolska.

Lecz panie!

Henryk.

Boże! ja nie mogę zwlekać!
Zostańcie!

Pani Wolska.

Blednie, obejmuje skronie!...
On rozum stracił!...

Henryk.

O, błagam was! raczcie
Przyjść za godzinę tutaj!... I wybaczcie!...
Oh! co ja cierpię!... (wybiega.)

Pani Wolska.

On zmysły postradał!
Emilko! co on ci po cichu gadał?

Emilka.

Mówił... że...

Pani Wolska.

No cóż?

Emilka.

Pytał się...

Pani Wolska.

Mów zaraz!

Emilka.

Eh! kiedy wpadłam w okropny ambaras...
Ciocia się może będzie na mnie gniewać...

Pani Wolska.

No! już zaczynam się dorozumiewać!
Oświadczył ci się?...

Emilka.

Tak... niby... niechcący...

Pani Wolska.

A ty? nie kochasz go?

Emilka.

Kocham!. Przeciwnie!...

Pani Wolska.

Więc czemże on się przestraszył tak dziwnie?
Uciekł tak blady, zmieniony i drżący.

Emilka.

Nie wiem! gdy wróci powie nam przyczynę!

Pani Wolska.

A! prawda! chodźmy! przyjdziem za godzinę!

SCENA V.

(Po chwili ktoś sztuka do drzwi ostrożnie—uchyla je i wchodzi Marja, ze starą sługą towarzyszką).

Marja.

Nie ma go!—Zostań w przedpokoju—Anno!
(Sługa wychodzi).
Jestem u niego!... może moja śmiałość,
W obliczu świata zdaje się naganną!
Wiem! każdy krok mój—weźmie za zuchwałość—
A przecież—Boże! Ty wiesz jak cierpiałam!...
I głosu serca tylko usłuchałam!
Biedne to serce! nikt w niego nie wierzy!
Ah! i on nawet! i czemu? oh, czemu?
Przecież go kocham najtkliwiéj, najszczerzéj—
Nic nie dorówna uczuciu świętemu,
Jakie w méj piersi dla niego powstało!...
Kocham go! czemu on drugim zazdrości?
Z tamtymi mówię, znoszę ich, przestaję—
Lecz ja dla niego cała się oddaję...
Czemże jest wszystko—w obec téj miłości!...
Henryku! tyś mię zapoznał! niestety!
Zadałeś straszny cios sercu kobiety...
A przecież—dziwne! kocham go tak bardzo!..

SCENA VI.

Konrad (wchodząc niepostrzeżony, mówi półgłosem).
Ludzie najczęściéj przeciwny sąd mają—
Co jest szacunku godnem, to tem gardzą,
A co złem w gruncie—oni wychwalają!..

Marja.

Ah! to pan!

Konrad.

To ja!—pani tu?!

Marja.

Tak panie!
Może się dziwnem to panu wydaje,
Że etykiety zgwałciłam zwyczaje?

Konrad.

Oh! panią moje nie obchodzi zdanie!

Marja.

Owszem! Na gawiedź nie zważam krzyczącą—
Ale przyjaciół opinję—sąd—cenię.—

Konrad.

Dodając wszakże: przekonań nie zmienię!

Marja.

A więc ta stałość....

Konrad.

Jest zachwycającą!
Wielbię moc duszy, wierność pani serca—
Ale...

Marja.

Już *ale!*

Konrad.

Choć lubię Henryka,
Lecz...

Marja (cicho).

Ja go kocham!

Konrad.

Tego niewdzięcznika!
On jest....

Marja.

Szlachetny!

Konrad.

Nie!

Marja.

Dobry!

Konrad.

Szyderca!

Lepsze uczucia, tłumi egoizmem,
Z życia, z miłości, drwi sobie z cynizmem;
On ciebie pani nie umie ocenić—
A jest kochanym jednak!..

Marja.

Ah! mój Boże!

Czyżby się teraz mógł tak bardzo zmienić?
Nie! ja mu ufam! nawet się nie trwożę!
Pan jego nie zna!..

Konrad.

O!..

Marja.

Nie znasz! z pewnością!

Henryk ma serce szlachetne prawdziwie,
I umysł wyższy...

Konrad.

I czemu zazdrością

Tak męczył panią?

Marja.

Temu się nie dziwię!

Dotąd dwa typy kobiet były znane:

Jeden—gosposie, ciche domatorki—
Powszednim tylko zajęciom oddane—
Drugi—kobiety świata, autorki,
Lub kurtyzantki. Z temi się bawili,
W nich się kochali, zwieńczając ich głowy
Różą, laurem—uwielbiając słowy,—
A z gosposiami potem się żenili.
Typ trzeci, wolnéj, rozumnéj kobiety,
Któréj uczucie ma świadomość jasną,
Która swój pogląd ma i wolę własną,
Mało jest znany...

Konrad.

Lub wcale! Niestety!

Marja.

A więc—tak łatwo omylić się można,
I widząc młodą kobietę z księgami,
Których treść mądra więcéj niż pobożna,
Rozprawiającą często z mężczyznami,
Bać się należy tych pozorów złego,
Zbadać czy dobry ma zasad kierunek?
Czy się nie zrzekła czucia kobiecego,
I zasługuje na miłość, szacunek...

Konrad.

Lecz Henryk—pojąć nie potrafił w pani,
Jéj najwznioślejszych uczuć i przymiotów!
Przez podejrzenie zazdrosne, on gotów
Zrzec się twéj ręki!

Marja.

Pan mi serce rani
Daremno! Ja mu wierzę...

Konrad.

Przyjacielskie
Daję przestrogi—przestań pani wierzyć—
Pójdźmy ztąd — pani masz serce anielskie,
A ludzie, ludźmi... Mógł się przeniewierzyć...
Wreszcie—w pojęciach—świat tak zacofany...
Ot! szkoda pani, żeś zdolności miała,
Żeś się nauce i pracy oddała.
Wszyscy opuszczą cię... i ukochany
Miłość twą świętą odrzuci z bojaźnią,
Mądrości twojej przez dumę nie przyzna,
Za egzaltację i fałsz z wyobraźnią
Weźmie twe słowa! Sam jestem mężczyzna,
Lecz się oburzam na niesprawiedliwy
Przesąd, że nigdy z kobietą uczoną,
Mądrą, światową, poetyczną żoną,
Żaden mąż wcale nie będzie szczęśliwy!

Marja.

Dla czego? Rozum z uczuciem złączony
Wszak to ideał jest doskonałości!
Wiedzą—wszak człowiek jest uszlachetniony,
Rozumem stłumia swoje złe skłonności!
Jakież to dziwne przesądy! okrutne!
Takie pojęcia jak niskie i smutne!.. (milczy chwilę).
Nie! dla mnie inna przyszłość się uśmiecha!

Konrad.

Chwila nadziei!— ha! i to pociecha!

Marja.

Przestań pan! Proszę! nie dręcz mię pan więcéj!
Po takiej próbie – Henryk mi uwierzy,
I zazdrość jego—całkiem się uśmierzy!

Będziem się kochać lepiej... i goręcej!..
Wkrótce po ślubie, już się świat przekona,
Że i z sawantki będzie dobra żona!..
Będziem szczęśliwi! oh! ja mu dowiodę,
Że umiem kochać!—Henryk jest artystą,
A jam poetką! W piękna sferę czystą
Ku ideałom rwą się czucia młode—
Razem się wznosić w nadziemskie wyżyny,
W te idealne natchnienia dziedziny,
W zapale—będziem!— A potem na ziemi
Z dłońmi w uścisku lubo splecionemi,
W życiu codziennem znajdziem czaru tyle!
Rozumiejący się sercem wzajemnie,
Jasne, swobodne przeżyjemy chwile,
On przyjaciółkę, druha znajdzie we mnie,
Ja w nim doradzcę, duszy mej odbicie!
A w chwilach szału, będziem kochankami...
A piękno, dobro, zawsze będzie z nami,
Prawdą wypełni się nasze pożycie!—
Tak!..

Konrad.

Gdyby słyszał... gdyby cię zobaczył,
Możeby przecież sprostował pojęcia,
Które mu przesąd, świat zły—bardzo spaczył...
Mnie cię żal pani! Żal jakby dziecięcia,
Które wyciąga rączki za płomieniem!

Marja.

Czyż Henryk znów mię słyszeć potrzebuje?
On wierny!..

Konrad.

Z bólem widzę, z oburzeniem,
Że pani skarby uczuć swych marnuje!

Henryk niewierny! I nawet ta mowa
Jużby wrażenia na nim nie zrobiła,
Rzekłby: iż to jest kokieterja nowa,
Którąś go pani tak zręcznie zwabiła!
Przebacz mi pani! Obrażam cię może,
Lecz mówię prawdę!.. Błagam cię w pokorze
O przebaczenie! Marjo.

Marja.

Prawdę?.. Wątpię bardzo!
Jeśli masz trochę uczuć szlachetności,
To one pewno pańską prawdą gardzą!..
Mnie! mnie! zarzucać wybieg zalotności?!
Ależ i czemu tak nam nie ufacie?
Czyż my nie więcéj ufać wam musimy,
Czyliż nie częściéj krzywdy zdrad znosimy?
Jednak kochamy z wiarą!

Konrad.

Panie macie
Talent aktorski, już od urodzenia...
Ja—nie wiem o tem! lecz Henryk...

Marja.

Aktorką!
Mnie Henryk miałby uważać?!..

Konrad (na str.).

Złudzenia
Pierzchają!..

Marja.

Boże!

Konrad.

I deklamatorką
Podług zdań jego, pani jest wyborną!

Marja.

Jeśli to potwarz... nadto jest potworną...
Powiedz pan! to jest nieprawda?... skłamałeś?!...
Chciałeś uczucie moje wypróbować...
Oh! błagam! wszakże mię trochę kochałeś!...
Nie dręcz mię!...

Konrad.

Chciałem panią uratować—
Lecz już za późno! Wraca!..

Marja.

Henryk!..

Konrad.

Pani!
Chodź! Nie wystawiaj się na nowe męki!..
Ja panią spiesznie uprowadzę...

Marja.

Dzięki!..
Zostaję!..

Konrad.

Krocset! Ah! ci zakochani!
To są szaleńcy! No! i ja zostaję!..

SCENA VII.

Henryk.

(wchodzi, blady i mocno wzruszony).

Konradzie! właśnie tam u ciebie byłem!
Powiedz mi... spojrzyj... weź puls!.. jak się zdaje
Tobie?.. czym chory?.. czy się już zmieniłem?..

Konrad.

Co znowu? coś ty, w gorączce? w marzeniu?!
Czyś ty zwarjował?! obejrz-no się Heniu.

Henryk.

Boże! to Marja!.. Pani!.. (chce postąpić ku niej, nagle się cofa).

Marja (wstaje, podając mu rękę).

Tak!

Henryk (cofa się).

Zgubiony!
Zgubiony jestem!.. Ah! czyliż piekielne
Moce sprzysięgły się na mnie?!..

Konrad

Szalony!
Co mówisz?!... Jakiż on blady!

Henryk.

Śmiertelne
Dreszcze bojaźni czuję przed wyrokiem!..
Pani! zostaniesz zbyt dobrze pomszczoną!..
Żadna kobieta nie będzie mą żoną,
Kochając ciebie, umrę! Przed twem okiem
Może dostanę napadu pierwszego...
I może wydam serca tajemnicę
Żem ciebie kochał—pomimo wszystkiego!..
Lecz nie! wiedz o tem! że inną dziewicę,
Chciałem niedługo nazwać swoją żoną!..
Która mniej, pani! od ciebie uczoną!..
Ha! ha! doprawdy! że umieram w porę!
Bo serce także mam okropnie chore!
Szarpie się biedne w dwie strony...

Marja.

Henryku!

Henryk.

Czyli cię szatan uwiadomił o tem...
Że będę konać wśród wycia i krzyku?
Chcesz się przypatrzeć może?.. Aby potem
Opisać swoje wrażenie w dramacie!..

Marja.

Oh! Boże!..

Henryk (śmieje się spazmatycznie).

Ha! ha!

Konrad.

Dajno pokój bracie!
Wyjdźmy!

Henryk.

Ty myślisz—żem tylko zwarjował.
O! los mi lepszy epilog zgotował!..
Wszak ci mówiłem, że mię pies Emilki
Ugryzł?.. Ten pies—był wściekły!
(Podczas ostatnich słów, pani Wolska z Emilką wchodzą).

Wszyscy.

Wściekły!

Emilka (chowając się za ciotkę).

Wściekły!..

(chwila milczenia).

Konrad.

Ależ!..

Henryk.

Daj pokój!

Emilka (do ciotki).

Boję się!..

Henryk.

Téj chwilki
Mi nie odmówicie...

Pani Wolska.

My... pójść...

Emilka. (Henryk zbliża się, ona odskakuje).

Ah! (wychodzą).

Henryk.

Uciekły!
Boją się!.. Pani! czemu jeszcze stoisz?
Uciekaj! Wściekły! A ty się nie boisz?!

Marja.

Nie!..

Konrad.

Słuchaj!.. może to jest przywidzenie!..
Wściekły tak mądrze jak ty nie rozprawia!..

Henryk.

Rana mi wielki, palący ból sprawia,
Czuję niezwykłe, dziwne rozdrażnienie...
Trudno!..

Konrad.

Jedyne lekarstwo—wypalić
Ranę! choć późno—lecz próbować trzeba!
Idę po leki... Lecz na imię nieba!
Pani ztąd zechcesz się przecież oddalić?!

Marja.

Nie!

Konrad.

Panno Marjo!

Marja.

Spiesz pan!..

Konrad (wzruszony).

Dzielne serce!..

(wychodzi).

Henryk.

Zostajesz pani?..

Marja.

Przebacz pan!.. nie mogę
Wyjść!..

Henryk.

Lecz ja tèraz budzę trwogę!..
Jam bardziéj straszny niźli ludożerce!

Marja.

Nie!

Henryk.

Czy wiesz pani, co to jest wścieklizna?
Wiesz, że próbować trochę niebezpiecznie!
Ja mogę znaleźć się całkiem niegrzecznie
I ugryźć panią! Niech się pani przyzna,
Że ją to trwoży — i niechaj ucieka
Póki czas!..

Marja.

Czy ta rana bardzo boli?..

Henryk (roztargniony).

Rana?! A! trochę!

Marja.

Niech mi pan pozwoli
Obejrzeć...

Henryk.

Marjo!... (zbliża się) Lecz jad takiéj rany
Jest zaraźliwy...

Marja (bierze go za rękę).

Więc cóż?!..

Henryk (z uniesieniem).

To nie próba!
Chyba naprawdę mię kochasz!.. o luba!
Miłość ci daje tę moc!..

Marja (cicho).

Ukochany!
Tyś mi nie wierzył?..

Henryk.

Marjo! niepojęta!
Tyś chyba anioł! tyś bóstwo! tyś święta!
Czemże na miłość taką zasłużyłem?..
Ty nie wiesz... Marjo! ja cię znieważyłem...
Chciałem uczucie swoje zniszczyć... złamać!
Jam ciebie sądził niegodną miłości...
Podejrzywałem, że mię chcesz okłamać!
Bluźniłem strasznie w szaleństwie zazdrości!..

Marja.

Wierzysz nakoniec?..

Henryk.

Wierzę! mój aniele!
Oh! grzech mój cały wyznać się ośmielę!..
Czy wiesz... zbolały, strasznie zrozpaczony,
Poznałem dziewczę, naiwne, cichutkie,
Tak mię zwabiły jéj minki milutkie,
Żem — przebacz Marjo! ja byłem szalony!

Chciałem się przykuć... oszukać sam siebie...
Murem małżeństwa oddalić od ciebie!..
Nie wierząc tobie — tu mi się zdawało,
Że mnie to serce najszczerzej kochało...
Że znajdę spokój... że ciebie zapomnę...

Marja.

Więc pamiętałeś jeszcze?..

Henryk.

Zawsze! wszędzie!
Twoje wspomnienie było mi przytomne!
Marjo! spojrz tylko — w tych obrazów rzędzie,
Po tyle razy powtórzona twoja
Postać! Bezwiednie prawie ręka moja,
Czy chciałem stworzyć Najświętszą Dziewicę,
Czy cudną Wenus, czy nimfę wstydliwą,
Ziemską kobiet,ę rusałkę zdradliwą,
Wszędzie kreśliłem twe kształty i lice...
Oh! jam się gniewał na serce i siebie
Chciałem przerobić! Ale nadaremno!
Chociaż z daleka, władałaś nademną—
Kochałem, kocham — Marjo!

Marja.

Kocham ciebie!..
A tamta?

Henryk.

Tamta? Wszakże ją widziałaś,
Drżąca z bojaźni, uciekła!.. Najdroższa!
Ty się nie boisz! ty ze mną zostałaś.

Marja.

O! czy ty sądzisz — że śmierć jest najsroższa
Z mąk naszych?!

Henryk.

Marjo! powiedz — tyś nie chciała
Dla mnie poświęcić hołdów bez znaczenia,
A życie swoje poświęcasz bez drżenia?

Marja.

Bo twoja zazdrość tylko ubliżała
Kobiecéj dumie, uczuciu, godności;
Jam wtedy z tobą rozumem walczyła,
Pragnąc zwyciężyć — dla szczęścia w przyszłości,
A dziś — czy sądzisz — żem się poświęciła?
Nie! głosu serca słucham tylko chętnie!
Miałam być żoną twą w złéj, dobréj doli,
Więc nie odstąpię cię — mimo twéj woli...
Razem nam życie lub śmierć!..

Henryk.

Jak namiętnie
Kocham cię! słowem tego nie wypowiem!..
Oh! Boże! modlę się jękiem méj duszy!
Oszczędź mi takiéj okropnéj katuszy!
Obdarz mię znowu życiem... dawnem zdrowiem!..
Ja chcę żyć!.. Boże!..

(Marja składa ręce z rozpaczą).

SCENA VIII.

Dr. Konrad (wbiega szybko).

Bądź spokojny!..

Henryk.

Jakto?..

Konrad.

Ot! tak! Każdą rzecz wprzód zbadaj de facto,
Zanim śmiertelnéj nabawisz nas trwogi!..

Pies, co cię ugryzł — zdrów i znaleziony,
Panna Emilja już go ma w objęciu,
Więc tobie tylko niedostaje pięciu
Klepek! Szaleńcze!

Henryk.

Ah! Jestem zbawiony!..

Marja.

Dzięki ci Boże!..

Henryk (biorąc jéj rękę).

Konradzie kochany!
Jam przez niebiosy szczęśliwiec wybrany—
Ona mię kocha! Oto moja żona!

Konrad.

Co? co? Minerwa, kobieta uczona!..

Henryk.

Za moje błędy — straszną karę miałem—
Ona przebacza! Daruj przyjacielu!

Konrad.

O! czemuż takich szczęśliwych nie wielu!
Przebacz mi pani, że cię udręczałem!

Marja.

Oh! ja się wcale nie gniewam!

Henryk.

Najmilsza!
Już teraz wszystko moim oczom jasne—
I rozwiązana kwestja najzawilsza
Życia! przez moje doświadczenie własne:
Gdy rozum z sercem w kobiecie złączony,
To jest ideał dziewicy i żony!

Marja.

A najzaciętszy wróg szczęścia, miłości—
Jest podejrzenie, niewiara zazdrości!

Konrad.

Ah! a mnie tylko dodać tu przystało,
Czemu *tak* mądrych kobiet dziś na świecie
Jeszcze niezmiernie pojawia się mało!
Niechże więc serce i rozum w kobiecie
Kształcą koniecznie! Przesądy, głupotę
Niech tępią! — trzeci typ niech się rozmnaża—
Bo tylko taką żonę do ołtarza
Prowadzić rychło — każdy ma ochotę!

KONIEC.

REGINA.

OBRAZEK DRAMATYCZNY.

R E G I N A.

OBRAZEK DRAMATYCZNY.

I.

(Noc. Lasek na wzgórzu, oświecony promieniami księżyca. Opodal płynie rzeka. Daniel wchodzi powoli).

Daniel.

Nie ma jéj jeszcze... Urocza bogini
Nie ukazała się w swojéj świątyni,
Niewidzialności słoni się obłokiem.
Ha! bom ja wczoraj przysiągł białolicéj,
Że to ostatni wieczór tajemnicy,
Że jutro przejrzę ostrowidza okiem
Mgłę, co otacza jéj postać zazdrośnie!
Co noc się zjawia i niknie przed świtem—
Ja ją chcę we dnie módz witać radośnie!
Prócz lic, imienia, wszystko mi jest skrytem.
Lecz dla mnie chwili rozkoszy za mało...
Za mą rusałką, za mą lilją białą
Tęsknię dnie całe i marzę jak senny,
I czekam, rychło noc zapadnie cicha—
Kiedy się księżyc ukaże promienny?..
A pierś — jak kwiatek bez rosy usycha
Pod żarem westchnień, tęsknoty, pragnienia!
I drżący, słaby — miotany od burzy

O skałę, co jéj za piedestał służy,
Oparty czołem — czekam wybawienia
Méj świętéj muzy! — która swem spojrzeniem,
Słowem, uśmiechem — ból w szczęście zamienia!
I błogosławię znów moje cierpienia,
Bo przez nią, dla niéj — stają się natchnieniem!
Grecy — ci znawcy prawdy, piękna, życia,
Bóstwo poezji zrobili kobietą—
Niedarmo!.. Odkąd wszystkie serca bicia
Miłością gorą! — czuję, żem poetą!
Dusza ma, serce — z bólu i tęsknoty
Rwą się w wyżyny, na skrzydłach miłości...
Ona mych marzeń prostuje poloty,
A czuciom moim daje skarb czystości!
Błogosławioną bądź miłości święta!..
Władzo tajemna, dziwna, nieujęta,
Przetwarzająca cudownie człowieka!..
Błogosławionym bądź drogi aniele,
Coś mojéj duszy dał szczęścia tak wiele..
Lecz zjaw się znowu!.. wybrany twój czeka!..

Regina (*ukazuje się na skale*).

Jestem!

Daniel (*biegnie ku niéj*).

Aniele!

Regina.

Czekałeś?..

Daniel.

Regino!
Ty muzo moja! Bez ciebie poecie
Godzina wiekiem, minuta godziną!
Bez ciebie droga! — jam trwożny jak dziecię—

Czy moje bóstwo ukaże się znowu?
Co noc w rozłomie ciemnego parowu,
Jak czarodziejski kwiat wabisz mię — biała!
Ja woń słów, wdzięku, chciwie chłonę usty—
To życie moje!.. to ma rozkosz cała!..
Lecz gdy zastaję parów ciemny, pusty,
Nierozświecony twoją obecnością—
Lękam się próżni, którą w sercu miałem,
Przejętą mrokiem i niespokojnością—
Nim ciebie droga! raz pierwszy ujrzałem—
Nim ciebie święta! sercem ukochałem!..

Regina (*siada na skale, Daniel u jéj stóp*).

Biedny mój Lili!

Daniel.

O tak! — biedny Lili!..
Do swojéj muzy z skargą i tęsknotą
Przychodzę smutny! Ja bez ciebie chwili
Dłużéj żyć nie chcę!.. Ah! błagam cię o to!
Daj mi się poznać!.. Nie muzą!.. kobietą
Chcę cię mieć, kochać, być kochanym!.. Czyliż
Nic mię nie kochasz?.. Nigdy nie uchylisz
Zimnéj draperji posągu?..

Regina.

Poeto!
Ty nieopatrzne dziecię — dłonią młodą
Chwytasz motyla z barwnemi skrzydłami.
Dziś on cię bawi tęczową urodą—
Ale gdy pyłek pod twemi palcami
Zniknie!.. to wraz z nim polot twoich marzeń
Zlęknie się szaréj ćmy rzeczywistości,
I pożałujesz twoich wyobrażeń,
Zatęsknisz gorzko za marą.

Daniel.

Miłości
Potęga zwalczy nieznane przeszkody!..
Ja ciebie kocham!

Regina.

O szaleńcze młody!
Kochasz rusałkę, co się ukazała
Zdziwionym oczom tęsknego poety—
A wyobraźnia, jak łuną oblała
Postać i rysy zwyczajnéj kobiety,
Do wysokości wznosząc ideału!
Ale w dzień jasny, przy powszednim chlebie
Zwykłych wydarzeń dnia — ujrzysz pomału
Kobietę starszą o lat pięć od ciebie,
Z pobladłem licem, więdnącą i smutną...

Daniel.

Regino! czemu tą mową okrutną,
Zimną jak głazy, męczysz mnie i siebie?..
Regino moja! Liljo! kocham ciebie!
Tyś najpiękniejsza, najmilsza — i czego
Lękasz się luba?..

Regina.

Ah! rozczarowania
Lili mój! boję się złudzenia twego!..
Nie! mnie i siebie na mękę nie skazuj,
Lepiéj zachować wspomnienie promienne,
Miałeś rozkoszne widzenia wiosenne,
Dotknięciem dłoni świetnych barw nie zmazuj!..
Czarowne w nocy, zbladłyby o świcie—
Lepiéj przechować je przez całe życie,
Jak kwiat, uszczknięty na drodze młodości...

Tak! z końcem lata rozstać nam się trzeba
Na zawsze!..

Daniel.

Rozstać się?!.. Regino!.. Nieba!..
Ha! tyś bez serca... Lecz nie! spokojności
Pozór przybrany! Widzę łzy, co płyną
Niepowstrzymane... Przebacz mi Regino!..
Ty kochasz także?..

Regina.

Kocham!.. i dla tego
Dla szczęścia twego...

Daniel.

Dla szczęścia mojego
Trzeba mi ciebie, muzo uwielbiona!..
Pamiętasz chwilę pierwszego poznania?..

Regina (*do siebie*).

O! to wspomnienie chyba tylko z łona
Wyrwie dłoń śmierci w godzinę skonania!..

Daniel.

Wracając z długiéj podróży do kraju,
Stęsknion do ziemi ojczystéj, rodzinnéj—
Witałem z czuciem miłości dziecinnéj
Każdy zakątek! Zaszedłem do gaju,
Gdzie mnie wspomnienia wabiły, i kwiaty,
I pieśń słowicza — blaski księżycowe—
Marzenie wzniosło mnie na inne światy,
Snułem widzenia świetlano-różowe,
Sercem nuciłem pieśń o ideale.
Nagle — wpatrzonym oczom się wydało
Ujrzeć wśród kwiatów jakąś postać białą.
Kobieta? bóstwo? nie wiedziałem wcale—

W bieli, z włosami na wiatr rzuconemi,
Stanęła piękna, bawiąc się z swym włosem,
Potem -- z rękami na krzyż złożonemi—
Zaczęła śpiewać melodyjnym głosem.
Pieśń tęskna, żywa i porywająca,
Płynęła z falą wód, rosy i woni—
Naprzemian smętna, namiętna, marząca—
A w niéj wyraźnie dwie myśli się goni:
Jedna, drgająca życiem i młodością,
Druga, przejęta najtkliwszą żałością.
Pieśń, noc urocza, woń kwiatów, zjawienie,
Jakiemś czarownem zaklęły mię kołem—
Marzyłem, czując błogie odurzenie,
Czy wśród aniołów, sam jestem aniołem?..
I uniesiony w krainę nadziemską
Słyszę harmonję cudowną, anielską?..
Bezwładny, drżący — nic już nie wiedziałem,
Chciałem spróbować dźwięków głosu mego,
Lecz upojony zachwytem — zemdlałem
I padłem u stóp dębu.

Regina.

Zemdlonego
Spostrzegłam nagle wśród wonnéj zieleni—
Blask księżycowych, srebrzystych promieni,
Oświecał twoją twarz bladą, marzącą...
Przez sen zemdlenia uśmiech się przebijał,
A nad twą głową, na ziołach leżącą,
Krzaczek kaliny bukiety rozwijał...
Przelękła zrazu — drżąca i wzruszona
Chciałam uciekać — kiedym cię ujrzała
Niby Narcyza lub Endymiona!..

Daniel.

Ty, moja Djano przeczysta i biała

Strumieniem wody czerpanéj z téj rzeki
Znów mię zbudziłaś— zimne bóstwo moje...

Regina.

Lubiłam bardzo ten spacer daleki,
Ja się samotni i nocy nie boję—
Lubiłam marzyć w pokoju i ciszy,
Śpiewać z pewnością, że mnie nikt nie słyszy,
I w każdy wieczór chodziłam do gaju.

Daniel.

A jam, zbudzony — śnił jeszcze o raju,
I gdym cię ujrzał nademną schyloną,
Dotykającą dłonią mego czoła,
Jam cię powitał z radością szaloną,
Bom był już pewny, że widzę anioła!

Regina.

Ah! ja z początku stanęłam zdrętwiała.

Daniel.

A potem?..

Regina.

Potem — poznałam cię Lili!..

Daniel.

Jakto? Regino! tyś mię dawniéj znała?!..
Ah! teraz — teraz pamięć mię nie mylil..
Znam cię!

Regina.

Przed pięciu laty!

Daniel.

Tak! przed pięciu!..
Świetniałaś wdziękiem, strojem i urodą
Na jednym balu! Mnie, wtedy chłopięciu,

Śniłaś się potem długo...

Regina.

Byłam młodą,
A tyś był dzieckiem — dziś...

Daniel.

Jesteś kobietą,
A jam mężczyzną. Jesteś mi natchnieniem,
Muzą, rusałką — a jam jest poetą,
Złączeni razem świętem przeznaczeniem
Pójdziem przez życie... ulecim w błękity...
Ja z ust twych będę czerpać pieśń o niebie,
A z oczu twoich cudowne zachwyty...
Będziesz mi żoną, kochanką, bo ciebie
Kocham! ah! kocham!..

Regina.

O nie! mój Danielu!
Ta noc lipcowa jest dla nas ostatnią.
My się rozłączym, drogi przyjacielu...
Raz pierwszy złączym uściskiem dłoń bratnią
I tym uściskiem pożegnamy... wiosnę...

Daniel.

Regino! jam cię jak świętą szanował,
Jam tylko kraje twéj szaty całował...
Raz pierwszy moje uczucia miłosne
Dzisiaj wygłaszam! Ale jak Bóg w niebie!
Mając twą miłość, ja muszę mieć ciebie!..
Ja się nie lękam nic rozczarowania!
Czyż do miłości potrzebny rachunek?
Ty masz uczucie me, serce, szacunek
I czegóż więcéj chcesz?.. i co nam wzbrania
Złączyć się razem słodkiemi łańcuchy?..

Regina.

A nie zaciężą ci na skrzydłach wieszcza?..

Daniel.

O! po co? po co? ta mowa złowieszcza!
Wszak połączone są już nasze duchy,
Serca — więc tylko trzeba spoić ręce...
Ja każdą myśl swą tobie tylko święcę!
O nie płacz luba!.. I gdzież jabym w świecie,
Pośród gwarnego, bezładnego tłumu,
Wynalazł taką potęgę rozumu,
Taki skarb duszy i serca w kobiecie?..
Ty tylko liljo, królowo śnieżysta!
Ty to posiadasz! Posłuchaj widzenia:
Jutro wśród panien, kobiet zgromadzenia,
Zjawisz się piękna, blada i przeczysta!
Przed twą wyższością wszyscy naokoło
Złożą ci hołdy i pochylą czoło—
Wtedy, królowo—i twój Narcyz-Lili
Do stóp bogini blade czoło schyli,
Prosząc o Mązy względy najłaskawsze,
I już zostanę z tobą—zawsze, zawsze!
Wątły kwiateczek, kochający, cichy,
Tej samej barwy co lilji kielichy,
Żyjący tylko jéj życiem i tchnieniem,
Umierający pod jéj błogim cieniem!..

Regina.

Danielu! przestań!.. ty, wielki—szczęśliwy
Żyć będziesz... długo!

Daniel.

Twój sen nieprawdziwy!
Nie jesteś liljo ma jasnowidzącą.

Widzisz—o luba!—kwiaty egzotyczne,
Z dziwniejszym kształtem i z barwą płonącą,
W niezwykłe cienie, odmiany rozliczne,
Szybko przekwitną!..—natura się sili
Na przystrojenie ich — lecz kosztem życia.
I w mojéj piersi prawie od powicia
Gorętsze tony piękniejszéj brzmią pieśni,
Ale dla tego zużyję się wcześniéj,
Melodję całą wyśpiewam w zaranie,
W południe zmilknę już o wczesnéj dobie,
A wieczór—to mię w mogile zastanie
Śpiącego u stóp lilji—co na grobie
Wybladłe lica z tęsknotą pochyli...

Regina.

O nie mów tego! o nie mów! Mój Lili!..

Daniel.

Daruj aniele, że cię zasmuciłem—
Że nieuważnie tak głośno marzyłem...

Regina.

Jutrzenka świta!

Daniel.

Zwiastunka przyszłości
Dnia szczęścia, życia, uciech i miłości—
Wszak dziś na balu zoczę mą jedyną?..
Prawda?!..

Regina.

Błagam cię!.. Nie mogę!..

Daniel.

Regino!
Wymagam tego! w imię uczuć serca!
Losu naszego!

Regina.

Los, to zły szyderca!..

Daniel.

Regino!..

Regina.

Niech się spełnią przeznaczenia!..
Będę!

Daniel.

O święta moja!

Regina.

Do widzenia!

II.

(Salon—liczne zgromadzenie. Regina chodzi w towarzystwie dwóch panien Róży i Hortensji. Hrabia Wiktor rozmawia na uboczu z ojcem Reginy. Daniel wchodzi nieco późniéj i staje w głębi oparty o filar).

Róża.

Jakże świetną dziś zabawa!
Nic już nie brak téj świetności!

Hortensja.

Twój wykrzyknik coś zakrawa
Na zachwyty dziecinności.
Lada motyl, lada kwiecie
Już go podziwiasz jak dziecię.

Róża.

Ty—bo się nie cieszysz wcale,
Wszystko dla cię obojętne!

Hortensja.

Bo widziałam inne bale,

Więcéj barwne i ponętne.
Na prowincji memu oku
Widna śmieszność w każdym kroku!
Młodzież nie błyszczy ogładą,
Damy cudacznie ubrane,
Wszystko sztywne, jak zaspane—
Po co tutaj na bal jadą?..

Róża.

Ależ taniec! miły taniec!
Regino! broń sprawy mojéj.

Hortensja (*półgłosem*).

Eh! jéj raczéj już różaniec
Lepiéj do twarzy przystoi!
(*Głośno*). Jakże sądzisz moja luba?

Regina (*która słyszała powyższe zdanie*).

Ha! to ciężka! krwawa próba!..
(*Wzdryga się, widząc Daniela*).
(*Głośno*). Ja nie tańczę już od roku,
Więc nie jestem kompetentną!

Hortensja.

Minę duszko, tak masz smętną,
Jakąś żałość w pięknem oku—
Czyś zmęczona?

Regina.

Tak! zmęczona!

Róża.

Pewnie pracą osłabiona!
Wiesz? Regina książki pisze!

Hortensja.

A! słyszałam —i wciąż słyszę!
Powinszować!

Regina.

Nie ma czego!

(*Panny oddalają się szepcząc, hrabia Wiktor staje obok niéj*).

Hrabia Wiktor.

Pani! pozwól niechaj słowy
Moją radość ci wyrażę—

Regina.

Ah! to jakiś dzień godowy
Dla hrabiego!

Hr. Wiktor.

O czem marzę
Już oddawna?—wszak wiesz pani?!

Regina.

Nie wiem wcale!

Hr. Wiktor.

O królowo!
Obojętni ci poddani!

Regina.

Przedewszystkiem cenię wolność!

Hr. Wiktor.

Ah! te słowa brzmią surowo!
Lecz gdy który swą powolność,
Serce, rękę u stóp składa,
Cóż królowa odpowiada?..
Milczysz pani?—cóż to znaczy?..
O! nie zwlekaj odpowiedzi!..

Regina.

Niechaj hrabia mi wybaczy—
I posłucha méj spowiedzi...

Hr. Wiktor.

Daruj pani, że przerywam—
Z ojcem pani już mówiłem...
Dla tego się ośmieliłem
Zwrócić do niéj...

Regina.

Hrabio! wzywam
Twego serca — szlachetności—
I pan nie kryj nic przedemną!..
Powiedz szczerze — czy z miłości
Tylko — chcesz się żenić ze mną?..

Hr. Wiktor.

Pani! dziwne zapytanie...

Regina.

Oh! odpowiedz szczerze na nie!

Hr. Wiktor.

Pani! dotąd przez szacunek
Uczuć mych nie objawiałem—
Ale wierz mi! nie rachunek
Mną kieruje! Pokochałem
Cię oddawna!

Regina (*do siebie*).

Dzięki!.. Boże!..
Więc ja mogę być kochaną!..
(*Głośno*). Panie! przed tobą otworzę
Głębię uczuć ci nieznaną—
I stan serca ci objawię—
Oh! bo pan mię nie znasz prawie.

Hr. Wiktor.

Znam cię pani! Piękna, dumna,
Liczne hołdy odrzucałaś,
Bo urocza i rozumna,

Wciąż coś więcéj wymagałaś.
Ja rozumiem! Skarb urody,
Wykształcenia i przymiotów,
Taki brylant czystéj wody—
Przecudownéj wart oprawy!—
Lecz jam pyszną dać mu gotów!
Przepych, rozkosz i zabawy—
Wszystko będzie na skinienie!
A królewskie twe spojrzenie
Wiecznie zbytek będzie witać—
Wzrokiem myśl twą będę chwytać
I wypełniać twe marzenie!..
Ah! Regino! w twéj postaci,
W twarzy, ruchu, ponęt tyle—
Tyle wdzięku w pełnéj sile...
Że mężczyzna głowę traci!..

(*Chce ją wziąść za rękę*).

Regina (*cofając rękę, z powagą*).

O jakże mylisz się! — jak ta omyłka mię boli!..
O hrabio! włóż pince-nez!—oh! bo wzrok twój nie sokoli.
I pan sądziłeś tak?..—że mnie, *rozumnéj* kobiecie,
Do szczęścia tylko brak — pozycji świetnéj na świecie?..
Ha! taki zwykle sąd — o starszych pannach wydają!
Lecz ciężki to jest błąd! — serc kobiet oni nie znają!
Już nieraz świetny los — mą ręką był odepchnięty—
Bo serca mego głos — wciąż milczał, jakby zaklęty.
Miłości tylko dar — kobietę zwabi prawdziwą—
Bez zbytku bladych mar — potrafi zostać szczęśliwą!
Wszak to ubliża wam!—Zbierz, hrabio! myśli twych wątek!
Chcesz, abyś nie ty sam, — lecz był kochanym majątek!
O! biada ludziom tym, — co tak kobietę zniżają—
I tylko złotem swém — za miłość płacić zdołają.

Hr. Wiktor.

Ten ton! ta mowa — pani! co to znaczy?

Regina.

Ah! wybacz hrabio chwilę uniesienia!
Natychmiast będę mówiła inaczéj.
Ale mi w sercu zawrzały wspomnienia:
Kiedy z wiosenną na czole pogodą
Biegłam do świata, jak ptaszek w błękity,
A każdy ranek osłabiał zachwyty,
A każdy wieczór witał mię mniéj młodą!..
Szukałam szczęścia, przyjaźni, miłości,
Znalazłam zawód, obłudę—przykrości.
A przecież — słusznie byłam wyśmiewana,
Gdy się skarżyłam, żem niezrozumiana—
Bo po cóż mowę zwracać do kamienia,
A cenne perły rzucać w straszne morze?..
Raczéj je łowić z fali zapomnienia!
— Raz jeszcze przebacz mi hrabio Wiktorze,
Za myśli moich bezładną gawędę.
Ofiarę twoją bardzo cenić umiem,
Ale twą żoną—niestety! nie będę.

Hr. Wiktor.

Panno Regino! ja cię nie rozumiem!
Chyba ślub jaki—

Regina.

Tak! ślub uroczysty,
Ślub jeszcze z dawnych lat młodéj dziewczyny!
Ten tylko mężem zostanie Reginy,
Kto jéj miłości pozyskał dar czysty!...
I cóż pan powiesz? — jam egzaltowana,
Lecz nie kochając—nie zaślubię pana!

Hr. Wiktor.

Choć mi przykładów dano na to mnóstwo,

Nie chciałem wierzyć, żeś kamienne bóstwo –
Że te spojrzenia ogniste, tę usta,
To tylko maska bez znaczenia—pusta!
O! ale teraz — z doświadczenia—wierzę!

Regina.

A przecież hrabio—ja ci mówię szczerze—
Znowu się mylisz! Wołałam, tęskniłam
Za tem uczuciem, które wymarzyłam
Przeczuciem serca...

Hr. Wiktor (*szyderczo*).

I?..

Regina.

I pokochałam!

Hr. Wiktor.

I czem ta miłość dla pani?—marzeniem?!

Regina.

Najwyższem szczęściem—najwyższem cierpieniem—
Kołem tortury—rozkoszą bez granic!..

Hr. Wiktor.

Ja nie rozumiem cię pani—nic a nic!

Regina.

Wierzę!—Ah! ale ja rozumiem siebie!..

Daniel (*stojący od początku rozmowy niedaleko—zbliża się nagle i pochyla nad jéj krzesłem*).

I ja rozumiem!..

Regina (*cicho*).

Daniel!..

Daniel.

Kocham ciebie!

(*Róża i Hortensja zbliżają się szybko*).

Róża.

Czy skończona tajemnica?..

Hr. Wiktor.

Tak jest pani! już skończona!

Hortensja.

Ah! Regino! twoje lica
Niby róża zapłoniona!

Regina.

Bardzo wątpię!

Hortensja.

Jesteś śliczna!
Ponad wszystkie tu kobiety
Najpiękniejsza!

Hr. Wiktor (*do siebie*).

Ah! niestety!
Święta prawda!

Hortensja (*do hr. Wiktora*).

Jakże liczna,
Jakże miła dziś zabawa!

Róża (*po cichu*).

Nie wiem, na co to zakrawa!

Hr. Wiktor *patrząc na Hortensję, na str.*).

Po Reginie — niezła szansa!

Hortensja.

Czy pan moje zdanie dzieli?

Hr. Wiktor.

Tańczysz pani kontredansa?
Nie? więc służę! Teraz śmieléj
Swe uczucia jéj objawię,
Co ja myślę o zabawie!

(*Podaje jéj rękę—odchodzą—za nimi Róża. Daniel i Regina zostają sami*).

Regina.

O mój Danielu!

Daniel.

O Regino moja!...
Mój sen czarowny zupełnie sprawdzony!
Ah! czemu bledniesz?.. czemu drży dłoń twoja?..
To ja, twój Lili! ja—twój narzeczony!..

Regina.

Wstrzymaj się!.. Nie mów tego!..

Daniel.

Narzeczoną,
Tak! my jesteśmy sobie narzeczeni,
A wkrótce będziem na wieki złączeni,
I ciebie liljo!—nazwę moją żoną!
Czy to nie słodkie miano? mój aniele?..
Kocham cię!..

Regina.

Boże!.. zawiele! zawiele
Szczęścia i bólu!.. A jednak—ja muszę
Siebie zwyciężyć!—Danielu!..

Daniel.

Regino!
Chcesz mojéj śmierci?..

Regina.

O! jakież katusze!

Daniel.

Luba! i czemu te czyste łzy płyną?..
Regino moja! miéj litość nademną!..
Milczysz?.. Ah!

Regina.

Kocham!.. i w walce upadam!..
Jam twoją!

Daniel (*klęka*).

Bóstwo me!

Regina.

Siłą tajemną
Wiedziona—tutaj mą przysięgę składam,
Że jeśli kiedy zapragniesz wolności,
Ja bez wahania znowu ci ją wrócę...
I nigdy skargą—wybuchem zazdrości,
Prawami swemi, ciebie nie zasmucę!
Będę ci żoną i stróżem aniołem,
A gdy ci moje spowszednieją lica,
I serce nowa obejmie tęsknica,
Ja tylko skreślę krzyż nad twojem czołem,
Sercem i duszą za tobą pogonię—
Ale potłumię ból uczuć kobiety
I skrzydlatemu lecieć nie zabronię—
Bom ja kapłanką!.. jam żoną poety!..
Oh! tę przysięgę—Boże! usłysz w niebie...
Pozwól ją spełnić!..

Daniel.

Kocham! kocham ciebie!..

III.

(*Pokój w mieszkaniu Daniela. — Poeta siedzi, paląc cygaro zamyślony—przed nim rozłożona na stoliku książka*).

Daniel (*bierze książkę i czyta półgłosem*).

„Noc pogodna—cicha—
Zdala jakieś stłumione dolatują głosy,
Szmer lekki—może krople spadającéj rosy,
W głąb' wonnego narcyzu—lub lilji kielicha.
Wietrzyk musnął krzewinę—i poigrał z wodą,

Obudził śpiące blaski srebrzystych topieli
I ucichł—wzniósł się w górę—razem z myślą młodą,
Co zbudziwszy się—z piersi sięga coraz śmielėj
Ku wyżynom, błękitom—nieznanym przestworom,
Lotniejsza od zefiru!—Na niebie chmur wały
Piętrzą się—niby groźnym podobne potworom.
Ah! i w sercu uczucia chmurami wezbrały!
Myśl je szybko przecina—jak wicher obłoki—
Rozwiał je—znikły—niebo pogodne—znów cisza.
Lecz w mem sercu niepokój—lecz ten wał wysoki,
Co tam zaległ, groźniejszy od chmurnėj zawiei,
Nie znikł!—I człowiek nakształt obcego przybysza,
Nie wiedząc gdzie zarzucić kotwicę nadziei,
Tęsknem okiem pogląda i bada wokoło,
Azali bezpiecznego portu nie zobaczy?..
Niebiosa! wy milczące! wy wielkie! nieznane!
O! powiedzcie, co czeka nas—ziemskich tułaczy?
Wy, tajemniczo światów miljardem przybrane
Przemówcie! Na pytanie najwyższėj tęsknoty,
Odkryjcie tajemnicę wieczności i życia—
Istność nieznaną, światów losy i obroty...
— Jakąż ceną dojdziemy do tego odkrycia?..
Daremno wiedzieć pragnę i pytam.—Daremno!..
Niebiosy, myśl i serce słonią się mgłą ciemną
I milczą!.. Czyż grób w części choć tę mgłę uchyli?..
Poznamyż te zagadki?.. Znów próżne pytania!
Jedna nas tylko chwila ułudą nie zmyli,
A tą chwilą wszechprawdy — godzina skonania!"

Daniel.

Ah! każde słowo—to echo mėj duszy!..
To obraz myśli, co w piersi wrą tłumem—
I kogóż taki przedmiot nie poruszy?
Kto nie próbował tam sięgnąć rozumem?

Lecz co dziwniejsze—że kobieca ręka
Kreśli te słowa i nic się nie lęka
Zdzierać zasłonę, która oczy mami!..
Jéj duch chce zgłębiać bezdnię tajemnicy—
Jak to niezwykłe między kobietami!..
Piękna, potężna dusza téj dziewicy,
A pieśń jéj ustom—jak woń listkom róży,
Przystoi snadnie młodéj marzycielce!

(*milczy chwilę*).

A przecież—i ja dziwiłem się wielce
Téj, któréj tyle ofiar u podnóży
Świat w darze składa u jéj piedestału—
Ona tem gardzi—i z pieśnią tęsknoty,
Swych białych skrzydeł śmiałemi poloty
Dąży do czystéj sfery ideału.
Raz ją widziałem tylko—i schyliłem
Głowę przed blaskiem jéj białego czoła!
Już się niczemu wcale nie dziwiłem,
Bom w niéj rozpoznał poezji anioła,
Bo pieśń z postacią jéj tak jest złączoną!..
Ona się żywym zdaje poematem!..
O jasny duchu! mój duch bliźnim, bratem
Jest tobie w świętem pokrewieństwie duchów—
Ale tyś biały, swobodny i wolny—
Nie czujesz prawie tych ziemskich łańcuchów—
A jam—związany, słaby—nieudolny!..
Lecz nie! ja pieśnią wyzwolić się muszę!..
Cóż mi przeszkadza?

Ekonom (*wchodzi*).

Czy to pan pozwolił,
Żeby kapusty zagon dać pastuszce?

Daniel (*zrywa się*).

Ha! — Nad tem jeszcze będę się mozolił?
Miej litość! człeku! idź sobie do pani!

Ekonom (*wychodzi*).

Dobrze!

Daniel.

Zagadkę rozwiązał praktycznie.
Myśl, czuj poeto! cudnie, romantycznie,
Wtem! proza życia w samą pierś cię zrani!
A przecież — czemu to źródłem katuszy?
Wszak człowiek złożon i z ciała i z duszy,
Powinien godzić wszystkie swoje zmysły
Z władzami duszy—konieczność z natchnieniem!

(*Siada przy stole i bierze pióro do ręki—po chwili upuszcza je i chwyta cygaro z niechęcią. W półotwartych drzwiach ukazuje się Regina, cofa się cicho, niepostrzeżona*).

Ha! jam od jednéj władzy dziś zawisły,
Która się zowie nudą i zmęczeniem!..

(*Za sceną słychać smętny śpiew Reginy*).

Ha! ten śpiew!.. Jakąż odpowiedź w nim słyszę
Na moje słowa bluźniercze!—niewdzięczne!
Wszakże mam syna—dziecię dwumiesięczne.—
Żona śpiewając, do snu go kołysze.
Tam! cichy obraz szczęścia domowego—
Tam wszystkie skarby uczuć serca mego!
Doznałem szczęścia raju! pociech nieba!
Serce zbawione! cóż ci więcéj trzeba?!..

Regina (*wchodzi*).

Czy mię wołałeś?

Daniel.

O pójdź, mój aniele!
I daj grzesznemu twoje przebaczenie,
Bom ja zawinił bardzo! bardzo wiele!

Regina.

Nie chcę znać winy — daję rozgrzeszenie!

Daniel.

O tak najdroższa! przebacz—i nie pytaj!
Nie wierz bezmyślnym skargom poetycznym,
Przyzwyczajeniem to tylko lirycznem!

Regina (*do siebie*).

Skarży się!..

Daniel.

Wtedy—jak promień zawitaj!
I ciemne chmury spędź z mojego czoła—
Rozjaśnij wzrokiem moje oczy smutne.

Regina.

I cóż zamgliło te oczy sokoła?

Daniel.

Jakieś marzenie tęskne i okrutne,
Co mię męczyło, jak kat swą ofiarę—
Może poezji przypomnienie stare.

Regina.

Jakto?! poezję liczysz do wspomnienia?

Daniel.

Już mnie nie myślić o piosnce i mrzonce—
Wszak stanowisko polot myśli zmienia?!
Ojcu rodziny, przy dobréj małżonce,
Trzeba wieść żywot spokojny, stateczny—
Mniéj poetyczny—więcéj pożyteczny!

Regina.

O mój Danielu! to krwawa ironja!

Daniel (*biorąc książkę*).

Eh! dajmy pokój temu! Znasz Regino
Tę książkę, którą pisała Leonja?

Regina.

Wszak przyszła z poczty ledwo przed godziną!

Daniel.

Szkoda, że nie znasz! są tu rzeczy śliczne,
Fragmenta, myśli, urywki rozliczne—
Skarby poezji...

Regina.

Patrz! ktoś do nas jedzie!

Daniel.

A! to rozrywka nadzwyczajnie miła,
Pół dnia się męczyć przy zacnym sąsiedzie,
Mówiąc o hreczce! Gdybyś przeprosiła,
Że jestem jakiś niewyspany, chory—
Przesypiam całe dnie, nocc, wieczory!..
Przyjmij go sama!

Regina.

Dobrze, mój Danielu!

Daniel.

Nie! ja zostanę—

Regina.

Czemu?

Daniel.

Bo się wstydzę
Swojéj słabości!

(*Doktor Ludwik wchodzi*).

Daniel.

Ah! ciebież to widzę
Ludwiku! drogi bracie! przyjacielu!

(*ściskają się*).

Dr. Ludwik.

W własnéj osobie, mój drogi poeto!

Przedstaw mię żonie swéj—bo sądzę, że to
Jest twoja pani?

Daniel.

Tak.

Regina.

Ja znam już pana!
Daniel mi często o panu wspomina.

Dr. Ludwik.

Poczciwy Lili! Czy ta nazwa znana?
Książątko Lili?

Daniel.

Nawet używana—
Lilim mię często mianuje Regina,
A ja nie gniewam się, jak w szkołach, o to,
Bo to wspomnienie najmilszych chwil...

Dr. Ludwik.

Duszo!
Teraz najmilsze dla ciebie być muszą!
A ty o tamtych wspominasz z tęsknotą!

Daniel.

To mimowolne! Chodź! odpoczniesz z drogi!

(*wychodzą oba*).

Regina (*po chwili milczenia*).

Boże!.. Nie mogę już się dłużéj łudzić!
Z snu czarownego raz się trzeba zbudzić!..
Skończone chwile szczęścia dla niebogi!
On jeszcze przy mnie, ale tylko ciałem—
Duch i uczucia już się oderwały
I ulatują w dal—za ideałem!
Światek mych uczuć za ciasny, za mały,
By w nim poeta nie czuł się więziony...

Ah! straszna walka w méj piersi się toczy
Między uczuciem kochanki i żony,
A myślą, która kamieniem je tłoczy,
I nieubłagana, niszczy te marzenia,
Wskazując ciągle ołtarz poświęcenia!.. (*po chwili*).
Ah! słyszę głos jéj: „Tyś żoną poety!"
—To straszne! Boże!.. A więc na ofiarę
Mam składać uczuć najdroższych kobiety
Skarbiec najświętszy?.. I za cóż tę karę
Zsyłasz na biedną?.. Mam się wyrzec tego,
Kogo tak kocham! nad wszystko na świecie!..
Całą potęgą uczuć serca mego!..
Nie! Nie!.. Okrutnyś Boże!..

(*Słychać płacz dziecka—Regina się zrywa*).

Moje dziecię!..
Bluźniłam!.. Syn mój!.. Wszak ja jestem matka!..
Żona poety!.. Rozumiem!.. Rozumiem!..
Twoje wyroki Boże! cenić umiem!..
Doznawszy szczęścia—teraz—do ostatka
Winnam wychylić mą czarę goryczy!..
A macierzyństwo mocy mi użyczy...
Tracę kochanka—dziecię mi zostało!
O Panie! czuję... bliska chwila próby,
A moje serce hartu ma za mało...
Powinnam spełnić moje dawne śluby,
Lecz słabnę... Ha! tam, u kolebki syna
Moja ucieczka—i pomoc jedyna!..
Tam może biedne serce uspokoję—
I silna—zdołam przetrwać boje!.. (*wychodzi*).

(*Daniel i dr. Ludwik wchodzą razem*).

Dr. Ludwik.

Daję ci słowo! tu nie ma co czekać!

Jesteś mizerny, osowiały, blady—
Mój książe Lili! posłuchaj méj rady!

Daniel.

Nie mogę!

Dr. Ludwik.

Wiesz ty? że się trzeba wściekać
Ze złości przeciw tobie! Co się stało?
Dawniéj—z wieczystem: „powietrza mi braknie,"
Jak wolny ptaszek, wciąż się wędrowało,
A dziś, choć dusza twa rozrywki łaknie,
(Tak! nie zapieraj się! dobrze to widzę!)
Siedzisz uparcie, jak gdyby kamieniem!

Daniel.

Słuchaj Ludwiku! ja się kłamstwem brzydzę—
Tak jest!—Pracuję nad usposobieniem,
By je zamienić w stateczne, spokojne,
Bo los na zawsze skrzydła mi wywichnął.

Dr. Ludwik.

Tożeś się drogi na dudka wystrychnął,
Jeśli tak myślisz! Z poezją wieść wojnę?!
Szalony jesteś! powtarzam—szalony!

Daniel.

Więc mam się zrywać od dziecka i żony
I lecićć dalćj—za czem? po co? na co?

Dr. Ludwik.

Boś jest poetą—skrzydlate ladaco!

Daniel.

Jam jest poetą?!—Nie! jam był poetą!
Bo teraz w innéj występuję roli,
Bo walczę z sobą całą siłą woli—

By się stać tylko nędznym wierszokletą—
Na imieniny jakiéj magnifiki
Czasami zręczne wypalić wierszyki—
I na tem koniec! Obywatelowi
Poezja obcą! A gospodarzowi
Nawet przeszkadza! Nigdzie nie wyjadę,
Chyba na odpust, lub gminną naradę.
Ze mnie hreczkosiej, domator skończony—
Ani się ruszę od dziecka i żony!

Dr. Ludwik.

Bredzisz kochanie! Rozwagi! Rozwagi!
Nerwy masz duszo, djablo rozdrażnione!
Czyliż nie znajdziesz nigdy równowagi,
Wiecznie się rzucasz z jednéj w drugą stronę!

Daniel.

Tu nie ma wyjścia!

Dr. Ludwik.

Po coś się ożenił?

Daniel.

Nie bluźń! Regina — ideał kobiety.

Dr. Ludwik.

Wierzę! Lecz tyś mi się strasznie odmienił.

Daniel.

Ha! ha! to dobrze, mój drogi! Niestety!

(*Regina wchodzi*).

Dr. Ludwik.

Z całą pokorą winę moją powiem,
Wyznam przed panią!.. Męża jéj buntuję!

Daniel (*półgłosem*).

A tak! ty broisz—ja odpokutuję!

Regina.

Lecz niechże ja się o tym grzechu dowiem!

Dr. Ludwik.

Oto—namawiam go, by jechał ze mną
Na wody, w góry—do lubéj Szczawnicy—
On jest mizerny—wyjażdżkę przyjemną,
Rozrywkę, wody z dodatkiem żętycy
Koniecznie, jako lekarz mu zalecam.

Regina.

On chory może?!

Dr. Ludwik.

Nie! z prawdą sumienną
Wszystkie powody przed panią wyświecam.
Zdrów jest—lecz podróż będzie dlań zbawienną.

Daniel.

Ja nie pojadę!

Regina.

Pojedziesz, mój Lili!
Na prośby moje.... Ha! wszak to konieczne?!..
Trzeba ci jechać!..

Dr. Ludwik (*na stronie*).

Na spokój się sili,
A twarz i słowa jakże z sobą sprzeczne!..
Biedna!

Regina.

Pojedziesz! ja z dzieckiem zostanę—
Bo to powinność moja!.. Z łzą tęsknoty...
Nie! Nie! z uśmiechem—śmiać się nie przestanę...
Będę czekała rychło wrócisz!..

Daniel.

To ty
Regino luba—chcesz wyjazdu mego?

Regina.

Ja mój Danielu—chcę szczęścia twojego!
Mnie osobiste czucie nie zatrzyma,
Gdy trzeba ofiar dla ciebie!..

Dr. Ludwik.

Oczyma
Patrzę—a jednak uwierzyć mi trudno!
Zamiast się krzywić i zrzędzić marudno,
Pani, pojąwszy swoje powołanie,
Dla męża, dziecka—zapomina siebie...

Daniel.

Czyż nie mówiłem ci, że tylko w niebie
Są aniołowie jéj podobni?!

Regina (*na str.*).

Panie!
Dodaj mi siły! (*głośno*) Czyż miłość kobiety,
Ten płomień wielki, potężny i czysty,
Może dać przystęp czuciom egoisty?

Dr. Ludwik.

Po większéj części—tak bywa—niestety!
I wierz mi pani! w mojem życiu całem
Takiéj miłości jeszcze nie spotkałem!

Regina.

Żałuję pana! Miłość to skarb życia,
Kto go w swém sercu prawdziwie poczuje,
Ten już niczego w świecie nie żałuje,
Nie pragnie—chyba takiego ukrycia,

Gdzieby wśród szczęścia, ciszy i pokoju,
Nic nie zmąciło świętych uczuć zdroju!..
Taki raj cichy—maleńki zakątek,
W którym się jednak ogrom szczęścia zmieści!..
To naszych marzeń osnowa i wątek,
Obraz, z którym się każda z kobiet pieści,
Wijąc przyszłości równiankę świetlaną!..
Lecz świat niejednéj zetrze te marzenia—
Każe się wyrzec świętego pragnienia
Dla interesu! I z piersią zbrukaną,
Z zgaszonym ogniem tych młodych porywów,
Uległa wabnym poszeptom złych wpływów,
Oddaje rękę, osobę — bez serca!
Bo świat jest straszny—bo świat jest szyderca,
Umie przerazić istotę bezbronną
I do sprzedania się zręcznie nakłonić.
I by się tylko zamężciem uchronić
Od szyderstw—woli torturę dozgonną
Krzywéj przysięgi, i męża dla bytu!
Ale są znowu kobiety wytrwałe,
Które czekały—cierpliwe i białe
Na chwilę uczuć miłosnych zachwytu...

Dr. Ludwik.

I te szlachetne—cóż się z niemi dzieje?..
O powiedz pani?!

Regina.

Czas spełni nadzieje,
Nasyci serca najświętsze pragnienie—
Lecz tu na ziemi—nieba mieć nie możem...
Miłość się musi zmienić w poświęcenie,
A serce—boleść przeszyje jak nożem,
I krwawe rany ciągle mu zadaje...

Ale wśród męki my szczęśliwe jeszcze,
Bo nam uczucie na zawsze zostaje,
Rozświeca blaskiem chmur ciemnie złowieszcze...

Daniel.

Regino! luba! najdroższa Regino!
Z jakiegoż źródła twoje słowa płyną?
A w nich tęsknota tkwi i przeświadczenie!
Więc ciebie także dotknęło cierpienie?..

(*Regina walczy z sobą i skinieniem przeczy*).

Daniel.

Regino! ty... wiem!... Tak! zostanę z tobą!

Regina.

Pojedziesz drogi! polecisz skrzydlaty!..
Dla ciebie ciasno wśród rodzinnéj chaty,
A dusza twoja skryła się żałobą
Po utraceniu snów twojéj młodości!..
Leć bystry orle... tu tęsknisz i smucisz...
Ku słońcu! Żegnam cię ze łzą miłości,
I czékać będę, rychło w gniazdko wrócisz!
By uczyć lotu swe małe orlęta...

Daniel.

Tyś nie kobieta! tyś anioł... tyś...

Dr. Ludwik.

Święta!
Cześć ci o pani!..

Daniel.

O! czemuż ja siebie
Jak ty zwyciężać nie umiem—niestety!..
Jam człowiek—tyś jest ideał kobiety...

Regina.

Nie! mój Danielu—tylko—kocham ciebie!..

IV.

(*Wąwóz w Szczawnicy. — Daniel i Leonja schodzą z góry, za nimi starsza dama i doktor Ludwik*).

Leonja.

Spocznijmy tutaj! Zdala od tych gwarów,
Co męczą tylko, i nudzą—i drażnią...

Daniel.

O! w tym wąwozie, pełnym wdzięcznych czarów,
Łatwo polecieć gdzieś, w dal, wyobraźnią—
I snuć z swéj piersi obraz innych światów...
Tu są boginki, śpiące pośród kwiatów...

Leonja.

Cicho! nie trzeba tych boginek budzić,
Bo one zwykły wędrowników łudzić...

Daniel.

Tak!—wabią śpiewem, licem i warkoczem,
Niedoścignione niknąc w mgle srebrzystéj...

(*Milczą oboje długo*).

Leonja.

Minęła chwila ciszy uroczystéj—
Powiedz pan—o czem tak dumałeś?..

Daniel.

O czem?..

O téj bogince, jasnowłoséj, białéj,
Trwożnéj jak motyl, a jak dziecko śmiałéj,
Bo na jéj czole pokój niewinności,

Który ją zawsze otacza i broni...
Podobna róży—kiedy się zapłoni
Pod blaskiem słońca, czy wejrzeń miłości...
A patrząc na nią—wędrowiec zdumiony
Nie wie—czy kwiatem nazwać ją wypada?...
Czy cudnem dzieckiem, gdy uśmiech tajony
Błyśnie na ustkach!—Albo gdy znów—blada,
Podniesie czoło, przeniknie wejrzeniem,
To już ją bóstwem nazwać ma ochotę,
I na kolana upaść z uniesieniem,
Dając w ofierze czucie i tęsknotę,
Wszystek ból serca—wszystkie skargi swoje...

Leonja.

Panie Danielu! doprawdy się boję!..
Pana zwabiła boginka... widocznie!
I cóż to będzie, jeżeli rozpocznie
Ciągnąć w przepaście?..

Daniel.

O! choćby w bezdenne!
Pójdę za tobą! widzenie promienne!

Leonja.

Jednak! Przestańmy tych wpółgłośnych marzeń!..

Daniel.

Pani się strzeże więcej silnych wrażeń!
A przecież musisz ich pragnąć i poznać—
Teorja uczuć starczyć ci nie może!
Ty rzeczywistość musisz przejść i poznać,
I własną łódkę popchnąć na to morze...
Powiedz mi pani!.. poezja nas zbliża,
Niby krewieństwem duchowem nas łączy...
— Kochałaś kiedy?

Leonja.

Nie!..

Daniel.

A zkąd się sączy
Strumień uczucia?..

Leonja.

Pytanie... ubliża
Delikatności!..

Daniel.

A! pani! czyż warto
W frazeologję bawić się daremnie?..
Więc i my także monetą wytartą
Będziem się codzień częstować wzajemnie?..
Boginko!.. stań się choć chwilę kobietą!..

Leonja.

Jeżeli złota brakło—lub wydane,
Spłacajmy siebie zdawkową monetą.

Daniel.

Więc uczuć twoich skarby młodociane
Już nie do pani należą?.. odpowiedz!

Leonja.

Skarby te dawno pochłonął grobowiec!

Daniel.

A! pani widać umarł narzeczony!

Leonja.

Nie! on nie umarł—ale pogrzebiony!..
Umarły dla mnie!..

Daniel.

Kochał cię?..

Leonja.

Nie wiedział,
Że mi był bóstwem! moim ideałem!
Sam, własną ręką zbudował ten przedział,
Bo się ożenił już z inną kobietą.
Umarły dla mnie!..

Daniel.

Zawrotu dostałem!
Kim on był?.. powiedz pani!..

Leonja (*odchodząc do towarzystwa*).

Był poetą!..

Daniel.

Leonjo!.. Czekaj!.. Męczarnia!.. Męczarnia!..

Dr. Ludwik (*zbliża się, pożegnawszy damy*).

Co tobie Lili?.. co tobie?.. Danielu!..

Daniel.

Rozumiem! Boże!..

Dr. Ludwik.

Ciebie szał ogarnia!
Chodźmy do domu, biedny przyjacielu!

Daniel.

Nie! ja w tem samem miejscu pozostanę,
Gdzie spoczywała przed chwilą jéj postać...
Patrz! ten kwiat usta pieściły różane!..
Gdyby raz ust tych pocałunek dostać
I umrzeć potem!..

Dr. Ludwik.

Szalejesz!.. Regina!

Daniel.

O! niech przeklętą będzie ta godzina,

Gdy ją raz pierwszy mą żoną nazwałem!
Ja jéj nie kocham! Nigdy nie kochałem!..
Bo to był wyskok dziwnéj dziecinności!
Dziś—czuję ogrom prawdziwéj miłości!
Nie módz nasycić jéj!—Rozpacz!..

Dr. Ludwik.

Mój Lili!
Słuchaj!—co święci się—dawno poznałem.
Żona twa będzie tu w przeciągu chwili,
Bo po namyśle do niéj napisałem—
Niech cię ten anioł od zguby ratuje—

Daniel.

Ona przyjedzie!.. Ah! ja się otruję!
Boże! Regina! Leonja!..

Dr. Ludwik.

Ty obie
Kochasz potrochu—umiesz radzić sobie!..
Eh! daj mi pokój do kroćset!..

(*wyrywa mu rękę, którą Daniel uchwycił*).

Daniel.

Ludwiku!
Przez litość! daj mi dozę arszeniku!..
Niech się to skończy!..

Dr. Ludwik.

Ha! ha! słabe dziecko!
O sobie tylko myślisz, egoisto!
A o téj, któréj szczęście tak zdradziecko
Zabijasz! która miłością tak czystą,
O jakiéj tylko nam się marzy we śnie,
Kocha cię wiernie! o niéj—nie myślałeś—

Życie zatrułeś, przysięgę złamałeś,
Teraz nie pomnisz, co cierpi!..

Daniel.

Boleśnie
Słuchać wyrzutów—lecz jam je zasłużył!..
Tak! Dla mnie tylko groźba i przekleństwo!..
Lecz i jam przeszedł za karę męczeństwo!..
Ha! nadtom się już tu życiu zadłużył—
Koniec położę—a długi wypłacę
Śmiercią!

Dr. Ludwik.

Stój!

Daniel.

Puść mię!

Dr. Ludwik.

Raczéj życie stracę
Wprzód, nim ci odejść samemu dozwolę!..
Masz obowiązki, masz żonę i syna—
Żyć trzeba!

Daniel.

Nazbyt ciężko taką dolę
Dźwigać...

Głos z za krzewu.

Więc pozwól ci pomódz!..

Daniel i Dr. Ludwik.

Regina!

Regina.

O mój Danielu! więc już zapomniałeś
O méj przysiędze przedślubnéj? Danielu!
Ty się przybycia mojego lękałeś?..

A przecież cierpisz, biedny przyjacielu
I twoja młoda a płonąca głowa,
Chyli się smutno pod bólu brzemieniem...
Więc trzeba ci się wyżalić z cierpieniem
Przed kimś, co pojmie twe myśli i słowa..
Co cię odczuje sercem kochającém,
Co cię ukoi słowem łagodzącém,
Przyjmie na siebie połowę katuszy
I słodki balsam wsączy do twéj duszy!..

Daniel.

Lecz ty... Regino!..

Regina.

Czyż myślę o sobie,
Kiedy dla ciebie tu jestem!.. przy tobie!..
Ja chcę być twoją przyjaciołką, siostrą,
Chcę ci zastąpić twą całą rodzinę,
Z wyjątkiem... *żony!*—Czyż i teraz ostrą
Wymówką—biedną odepchniesz Reginę?..
Zapomnij o tém, że nas łączą śluby—
Przed kochającą uczuciem... kobiety—
Wyznaj twe skargi i żale poety!..
Ja cię zrozumiem... o wierz mi, mój luby!..
I razem z tobą nad dolą zapłaczę...
I wszystko pojmę!.. (*ciszéj i słabiéj*) i wszystko... wybaczę!..

Daniel.

Tyś anioł!..

(*Rzuca się ku niéj ze łkaniem, ona go tuli, hamując swą rozpacz spokojem*).

Słuchaj!.. ja się wyspowiadam,
Ale to straszna... straszna tajemnica!..
Ja ją... tak kocham!..

Dr. Ludwik.

Pójdę!.. bo nie władam
Zmysłami mémi!.. Biedna męczennica!

V.

(*Pokój Leonji. Ona sama siedzi na sofie w białém ubraniu, z książką w ręku. Wisząca lampa rzuca przyćmione światło—w głębi drzwi*).

Leonja.

„Leonjo! czekaj!“—oh! czemuż te słowa
Tak mi wokoło szemrzą ustawicznie
Rozkoszy echem!.. Biedna moja głowa!..

(*milczy chwilę*).

Boginka!.. jak on mówił to prześlicznie!
Ah! czemuż taką boginką nie jestem!
W kwieciste razem szlibyśmy wyżyny...
Wszak on podziela uczucia dziewczyny—
Zdradza swą miłość wejrzeniem i gestem!
Widziałam, czułam to!.. „Leonjo! czekaj!“
A jam uciekła, jak rusałka płocha.

(*bierze stokrotkę z bukietu i obrywa ją*).

Kocha?.. nie kocha? kocha? czy nie kocha?!..
Kocha!—Zapóźno! Nikt nie rzekł—uciekaj
Wędrowcze młody! chroń się przed urokiem!..
Kocha!—Ah! Boże! co marzę szalona!..
Płynę, unoszę się z rwącym potokiem
Uczuć serdecznych... a przystań wzbroniona!
Cudnéj nadziei zielone wybrzeże
Straszliwy potwór konieczności strzeże!..
Ha! to ja dawno kotwicę złamałam...
Gdy się o jego ślubie dowiedziałam!..

A serce moje—to tylko mogiła,
Co się w barwiste kwiaty przystroiła...
Dziś! ha! to tylko jest wrażenie chwili!..
Jutro? kto mówił o jutrze?! Dziś moje!
Z czary słodyczy będziem dotąd pili,
Aż się nakoniec przesycim oboje!
I nic nie możem zyskać—oprócz wrażeń...
Wątek do przyszłych poematów, pieśni...
Trochę boleści—dużo więcéj marzeń—
Strząśniemy nieco salonowéj pleśni,
Co nam, poetom—wybaczyć się godzi!..
Wszakżeśmy tylko—marzący i młodzi—
Rozrywką będzie to—całkiem niewinną!..
(*milczy chwilę*).
Ha! ha! skrupuły! ha! jakżem dziecinną!
Konwenans, pozór—ha! ha! maska wstrętna—
Że ją uchylim na chwilę przed sobą—
A po rozejściu się, w sercu z żałobą
Będziemy nucić! pieśń rozstania smętną!
Nasz śpiew łabędzi—wszak to zysk ludzkości!
Poeta czuje—i skarbem czułości
Swą młodszą bracię nasyca ochoczo,
A za to—jemu—tą chwilką uroczą
Gardzić nie trzeba!—bo to natchnień chwila!..
Nim przez cierń, głogi, dobieży do mety,
Ona mu przepaść jasnością umila!
Ah! kto tu?! (*porywa się przelękniona*).

Regina (*wchodzi powoli w czarnéj sukni i woalu*).
Żona Daniela, poety!
(*Milczą obie, patrząc na siebie*).

Leonja (*na str.*).
Ona?! (*głoś.*) Czego chcesz pani?! mów!

Regina (*chwiejąc się i opierając o fotel*).

Nie mogę!..

Leonja.

W téj porze?!.. chwila wizyt już minęła...

Regina.

Dozwól mi pani... abym... odpoczęła...

Leonja.

Oh! ja ci pani nawet dopomogę!
Bo widzę, że po pierwszém uniesieniu,
Jakie twe kroki tutaj kierowało—
Uległaś pani teraz osłabieniu!
O! zrzućmy maskę—mówmy wszystko śmiało!
Zapewne chodzi o scenkę zazdrości?!
O! nim przemówisz! musisz mię wysłuchać!
Wiedz!—że nie zgasisz płomienia miłości!
A wyrzutami możesz go rozdmuchać!
I ja się z skargą podniosę z kolei:
Dla czego los cię na drodze postawił,
By mię na zawsze dni szczęścia pozbawił?..
Patrzaj! jam młoda! a przecież—nadziei,
Wiary—ostatnie błyski już straciłam—
Życiem fizycznem, śmierć serca przeżyłam!
Ja go kochałam!—Marzeniem dziewiczem
Jego świetlaną postać oplatałam—
I w sanctuarium serca tajemniczem,
Ja mu, jak Bogu—mą cześć oddawałam!..
On mię znał mało—raczéj nic znał prawie—
Lecz ja z nim byłam we śnie i na jawie—
I u stóp jego duchowéj istoty
Klęczałam ciągle—z wlepionem wejrzeniem
W tego, co był mi bóstwem i natchnieniem!..

Modliłam mu się uczuciem tęsknoty!

(*śmieje się spazmatycznie*).

Ha! ha! ha... ha! ha!.. zimne biorą dreszcze
Na to wspomnienie!.. ha! ha!.. Serce wieszcze—
Poezji marzeń, snów swych—zapomniało...
Na wagę złota chętnie się sprzedało!..

Regina.

Ha! więc ty myślisz, że ja go kupiłam?!
Mylisz się! prawdę ci wyznaję świętą—
Z czary miłosnéj, usty, sercem, piłam
Jego uczucia słodycz nieujętą!..
Kochał mię!.. kochał! młodzieńczo i szczerze —
Wiedz o tem! wierz mi! on mię kochał!..

Leonja (*zasłaniając twarz rękami*).

Wierzę!..

Regina.

Lecz dziś!.. przebrzmiała rozkoszy godzina...
On mię nie kocha... matki swego syna...
Smutna, z obliczem zawiędłem kobieta
Miłą mu—jakby wierna niewolnica—
Lecz jasna gwiazda, prześliczna dziewica
Milszą dlań! ją to ukochał poeta!..
Mój świetny motyl przy płonącéj róży,
O biednéj lilji, pożółkłéj wśród burzy
Zapomniał snadnie...

Leonja (*nagle, z wybuchem*).

On sercem mój.

Regina.

Chryste!
Litości!..—On twój... jak dziecko zmęczone,
Na mojéj piersi biedną głowę złożył

I głębię uczuć serca mi otworzył—
Płynęły wyznań potoki wzburzone,
A wśród łez bólu, usta powtarzały:
„Ja ją tak kocham!“

Leonja (*chwytając się za serce*).

Ah!

Regina.

Jakże szarpały
Te straszne słowa serce biednéj żony. .
Żony! Ha! tytuł ten! gorzka ironja!...
A późniéj, blady—wybuchem zmęczony,
Usnął—lecz przez sen... wciąż szepcząc... Leonja!..

(*Leonja składa ręce z zachwytem*).

Regina.

Patrzyłam długo na tę twarz kochaną,
Smutkiem, tęsknotą, marzeniem znękaną—
I z żalu nad nim—nie żałuję siebie...
Po chwili dziecko moje zapłakało—
Walczyłam z sobą—chciałam iść do ciebie,
Nie miałam siły! Dziecię pierś mą ssało.
Doznałam smutnéj ulgi rozrzewnienia...
Gdy uśmiechnęło się potem wpół śpiące,
Z mych spiekłych źrenic padły łzy gorące...
I dokonałam już postanowienia!

Leonja.

Mów!

Regina.

O Leonjo! zrób ty go szczęśliwym!..
Panuj nad duchem poety wrażliwym,
Lecz nie w przepaście go wiedź—a w wyżyny!..

On poprowadzić się daje, jak dziecię.
Bądź ty mu zawsze postacią anioła...
Wysłuchaj prośby nieszczęsnéj Reginy (*klęka*),
Nie kalaj nigdy ziemią jego czoła—
Żyjcie oboje w idealnym świecie!..

Leonja.

Ty! na kolanach!.. przedemną!.. przedemną,
Rywalką twoją!.. Boże!..

Regina (*wstając*).

Więc daremną
Prośba najświętsza?!.. Więc mię nie rozumiesz?!

Leonja.

Lecz ty mi męża swojego chcesz oddać!
Chyba nie kochasz... sercem czuć nie umiesz—
Bo tak się wyrzec siebie—tak się poddać
Nie zdoła człowiek!

Regina.

Ja nie kocham?!.. Boże!
Czy Ty ją słyszysz? ja nie kocham!—sądzisz!
Ha!

Leonja.

Przebacz! głowę mą chylę w pokorze!
Przebacz!

Regina.

Przebaczam—bo ty sercem błądzisz!
Bo ty, kochając—lękasz się ofiary!..
Posłuchaj jeszcze!.. Ty, jak Beatrycze,
W poezji niebo wprowadź go!.. On kary
I męki przeszedł piekło tajemnicze,
Ty mu daj szczęście!.. Wolny od trosk ziemi,
Niech snuje pieśni, sny... cieszy się niemi!..

Mojéj boleści głos wam nie zamąci
Téj ciszy błogiéj!.. Wola w grób go wtrąci
I rezygnacji przywali kamieniem!..

Leonja.

Nie!.. to sen tylko!.. powiedz! to marzeniem
Łudzącem! strasznem! i... rozkosznem razem!..

Regina.

Poczekaj! wkrótce... oh! zaprędko! Staną
Me słowa—żywym ujęte obrazem
Przed twojem okiem!.. Tę postać kochaną
Ujrzysz przy sobie! oh! Boże! przy tobie!..
A ja, nieszczęsna, we łzach i rozpaczy
Będę żyć zdala—w strasznym bólu grobie!..

Leonja.

Przestań, Regino!.. stanie się inaczéj!..
Ty pozostaniesz... ja odjadę—smutna—
Ale spokojna! On to rozłączenie...
Przeboli!.. Dla nas—tęsknota—cierpienie—
To doli naszéj konieczność okrutna...
Blaski uczucia i kolce cierpienia—
To wieniec, co nam skronie opromienia...
Pieśnią wypłaczem wszystkie żale swoje...
Bo myśmy dzieci poezji... poeci...
I będziem czekać téj chwili oboje—
Kiedy duch wolny od ziemi—uleci!...

Regina.

O! nie mów tego! życie moje całe,
Krew mego serca daję mu z ochotą.
By mu zapewnić i szczęście i chwałę,
Ja własnym bólem, łzami i tęsknotą
Kielich goryczy chcę odeń oddalić,

Wrócić mu wolność i życie ocalić!..
Przecież ofiara najczystszéj miłości
Tam... w oczach Boga nie będzie bezcenną?..
Ja mu katuszą, modlitwą codzienną
Wyproszę długie dnie, pełne jasności...
Ale czas wracać!.. Tak szybko ucieka
Chwila za chwilą!.. Oh! bo serce zwleka
Smutnéj godziny termin ostateczny...
Jutro!.. ah! jutro!.. wyrok straszny—wieczny
Spełni się!.. Jutro! już go nie zobaczę!...
Leonjo! z tobą on będzie!.. szczęśliwa!..
Pamiętaj!.. jeśli zatęskni... zapłacze...
Niechże go miłość twa ukoi tkliwa...
Bądź dlań łagodną... dobrą... kochającą...
Bo łatwo zranić tę duszę marzącą!..
Masz list do niego... oddaj mu!.. Rzecz cała
Przejdzie bez śladu... cichutko i skromnie...
Pamiętaj... żebyś mu... czasem wspomniała...
O jego synu maleńkim... i... o mnie...

(*Wybiega ze łkaniem. Leonja chce ją wstrzymać — ale napróżno. Dr. Ludwik wchodzi niepostrzeżony i staje przed Leonją*).

Dr. Ludwik.

Pani wyjedziesz jutro ze Szczawnicy!
Bo jeśli jeszcze masz szlachetność w duszy,
To nie wyzyskasz ofiar męczennicy!..
Nie będziesz żyła szczęściem jéj katuszy!..
Przysięgnij!..

Leonja (*z rozpaczą*).

Idź ztąd! Widmo straszne! blade!

Dr. Ludwik.

Przysięgnij!..

Leonja.

Cicho!.. przysięgam!—odjadę!..

(*Pada zemdlona na sofę.—Dr. Ludwik wybiega szybko*).

VI.

(*Pokój w mieszkaniu Daniela. Poeta siedzi w głębokim fotelu, blady, znękany chorobą, i śpi, z głową opartą o poduszkę. Regina stoi przy nim, oparta o poręcz*).

Dr. Ludwik (*wchodzi cichutko*).

Śpi?..

Regina.

Ciągle drzemie!..

Dr. Ludwik (*na str.*).

Ten sen mię nie cieszy!..

(*Głoś.*). To bardzo dobrze!

Regina.

Daj Boże!..

Dr. Ludwik (*dotyka jego ręki*).

Puls spieszy...

Ale to przejdzie!

Regina

A syn mój?

Dr. Ludwik.

Dziecina

Ciągle w gorączce—ale choć obrażam
Tem serce pani, ja zawsze powtarzam,
Że dziecka słabość, to jest matki wina!

Regina.

W niezagojoną ranisz mię pan bliznę!..

Dr. Ludwik.

Przebacz mi pani—lecz mówię sumiennie—
Ty dziecko swoje zabijasz codziennie,
Bo ono z piersi twéj ssie wciąż truciznę!..

Regina.

Boże! więc mam się téj wyrzec pociechy,
I jego pierwsze całunki, uśmiechy,
Obca kobieta będzie dostawała?!..
Ja go wykarmić nie mogę!... ja—matka!..

Dr. Ludwik.

Trzeba ten kielich spełnić do ostatka!..

Daniel (*budzi się*).

Regino!

Regina

Drogi! jestem tu przy tobie!

Daniel.

Dobrze! o zbliż się moja liljo biała...
Tu twoje miejsce... tu—przy moim grobie...

Regina.

Danielu!..

Daniel.

Co?! sam nie wiem co mówiłem—
Ot jakiś dziwny sen wciąż majaczyłem...
Widziałem tyle kwiatów... tyle kwiatów...

(*zasypia*).

Regina.

On bardzo chory!.. Boże!..

Dr. Ludwik (*na str.*).

To agonja!

Regina.

A jam sądziła... Doktorze!—Leonja
Przyjedzie tutaj!..

Daniel.

Czy głos z innych światów
Takiem czarownem zaszemrał mi echem...
Leonja... (*zasypia*).

Regina.

Spojrzyj! jak życiem, uśmiechem
Twarz się rozjaśnia na *tamtéj* wspomnienia...
Ja to oddawna zgadłam i widziałam—
Wczoraj już do niéj telegram posłałam—
Bo to jedyny środek uleczenia!
O czemuż ona próśb mych nie spełniła!
I pojechała — jego zostawiła
Na pastwę smutku i ciągłéj tęsknicy.
Oh! on swe bóle chował w tajemnicy,
Ale przed mojem okiem nie osłonił
Ani swych westchnień, ani łez, co ronił...
Aż popadł teraz w ten stan odrętwienia...

Daniel (*który słyszał jéj mowę, bierze jéj rękę*).

Biedny aniele! ty tylko cierpienia
Ze mną dzieliłaś.

Regina.

Nie wierz! jam szczęśliwa!..
Z tobą... przy tobie...

Daniel.

Święta i cierpliwa,
Wszystko znosiłaś—do ostatniéj chwili...

Regina.

Bo cię kochałam... bo cię kocham Lili!..

Daniel.

O! teraz wszystko! wszystko jasno widzę!..
Sam z siebie gorzko i boleśnie szydzę...
I gdzież te skarby czucia i zapału,
Com je odebrał od Boga—i strwonił—
Wybrany kapłan, piewca ideału,
Jam po rozdrożach za ognikiem gonił —
I wciąż zapadał w brudne trzęsawiska!
Ścieżka poety wązka jest i ślizka—
Lecz jeśli idzie z nieskalanem czołem,
Z wiarą i prawdą, nie gardząc cierpieniem,
Jeśli ozdobi swą pierś poświęceniem—
To wnet się droga szerszem toczy kołem,
I oświecona gwiazdą jasną z góry,
Przez świat szyderski, ciemny i ponury
Powiedzie prosto do nieśmiertelności...
A ja?—ha! ja się jak dziecko błąkałem —
Samego siebie poznać nie umiałem...
A teraz—nędzny—dążę do nicości,
Z któréj wyszedłem!.. O! biada poecie,
Co nie wyśpiewał swéj pieśni do końca,
Ona mu ciągle kamieniem pierś gniecie—
I zaćmi wszystkie jasne blaski słońca...

Regina.

Danielu! przestań!—Ty dokończysz jeszcze
Pieśń twą...

Daniel.

O! śmierci oznaki złowieszcze
Poznałem dzisiaj!..

Regina.

Nie myśl o chorobie—

Leonja wkrótce przybędzie... to obie
Podwoim starań... wyzdrowiejesz! luby!

Daniel.

Święta kobieto! bądź błogosławioną!..
Regino moja! biedna moja żono!
Chcesz mi osłodzić te ostatnie próby!..
Ileż cierpienia przeszłaś z mojéj winy!..
Przebacz mi!..

Regina.

Nie mów tak! o mój Danielu!

Daniel.

I ty mi wybacz drogi przyjacielu—
A po méj śmierci—bądź bratem Reginy!..

Dr. Ludwik.

Przyrzekam!

Regina.

Lili! spocznij!.. takiś blady!..

Daniel.

Bom trochę senny. (*zasypia*).

Regina.

On jest źle! O Boże!
Powiedz mi prawdę! ratuj go! Doktorze!..

Daniel (*półgłosem*).

Czy ja ją ujrzę? królewnę z ballady,
Leonję moją?..

Regina (*z rozpaczą*).

Słyszysz?!

Daniel (*bierze jéj rękę*).

Tak! to ona!..

Nie! to... Tak jasno!.. niebo się otwiera!..
Cicho!.. Ah!.. (*pochyla głowę na piersi*).

Służąca (*wbiega z krzykiem*).

Pani! dzieciątko umiera!..

Regina.

Danielu! zbudź się! Danielu!..

Dr. Ludwik.

Już kona!

Regina.

Nieprawda! luby! zbudź się!..

Dr. Ludwik.

Nadaremno!
Chodź! syn umiera!.. Nieszczęsna! chodź ze mną!..

Regina.

Syn mój!.. Danielu! spojrz na mnie!.. mój drogi!!.

(*Leonja wbiega szybko*).

Dr. Ludwik (*wraca z drugiego pokoju*).

Ha! anioł śmierci zawitał w te progi!..
Dziecko nie żyje!..

Leonja (*bierze za rękę Daniela*).

Danielu!..

Regina.

Nie żyje!..
I on! i dziecko! a ja? męczennica
Wiecznie żyć będę?!.. Nic mię nie zabije?!..

Leonja.

Tyś miała jego uśmiech—jego lica...
I słowa ust tych—które śmierć zawarła.

Szczęśliwsza stokroć odemnie! Doznałaś
Raju rozkoszy!..

Regina.

Ha! ty!.. jego miałaś
Serce i duszę!.. (*pada na posadzkę*).

Leonja (*biegnie ku niéj*).

Regino!

Dr. Ludwik.

Umarła!

KONIEC.

RÓŻE.

POEMAT PODSŁUCHANY.

„Barwne swą krasą — świeżością, urodą,
Dałaś mi róże dzisiaj na wiązanie—
Wdzięczną ci jestem — oh! i bardzo za nie—
Bo mi wspomnienie, kiedy byłam młodą,
Gdy miałam serce różane i lice,
Tak żywo dzisiaj w pamięci stanęło—
Jakby przez jakie czarów tajemnice
To znów wróciło, co dawno minęło!..
Oh! wiem ja dobrze! nie wróci! nie wróci!..
Szczęścia, młodości, raz stracone chwile
Giną na wieki! — A jednak, ja mile
O nich wspominam — mnie przeszłość nie smuci,
I lubię — gdy mi tak przed oczy staje—
I lubię... jeśli mi kto róże daje!..

O! bo do takiéj różanéj wiązanki
Miłe wspomnienie niegdyś się wplątało!
Wiosenne życia mojego poranki
Różowem kwieciem cudnie ozdabiało!..
Ot wiesz! że róż tych woń słodka i miła
Wszystkie obrazy w duszy méj wskrzesiła,
I zapominam o latach sędziwych,

I o tym szronie, co skroń moją pruszy,
Młode uczucia wzbierają mi w duszy...
Chcesz-że tych wspomnień posłuchać szczęśliwych?..“
. . . .
„Piętnaście lat! — Oh Boże! co za siła!
Tych wyobraźni snów! tych pragnień, złud szalonych!
Cud rajskich barw! tak dusza świat barwiła—
A zaludniał go tłum — postaci wymarzonych!
Świat niebem był! w marzeniach mych dziewiczych—
Na skrzydłach swych, w obłoku czucia swego,
Lot górny mój! — A wśród mgieł tajemniczych
Jak słońce wschodził *on!* bożyszcze serca mego!..
Czyliż *on* godnym był — tego świętego ołtarza?
Najczystszych uczuć mych! — oh! nie badałam ja wcale!
Czyż umie badać kto — gdy miłość serce rozmarza?..
Mając piętnaście lat!.. toż tylko w ideale,
W miłości tylko snach — dziewczę się kocha goręcéj,
Niż w tym, co nazwę ma — kochanka i lubego!
Gdy piękny, chmurny jest — ona nie pragnie nic więcéj!
Duszę mu własną da! i serce własne do tego,
I przed bożyszczem tem — uklęknie w niemym zachwycie.
Modli się łzami doń — uśmiechem, pieśnią, tęsknotą—
W naiwnym hołdzie swym — gotowa poświęcić życie,
Wszystkie ofiary znieść — lecz nikt nie prosi ją o to!
...Piętnaście lat! oh! cudna to jest pora!
Wdzięk niewinności tkwi, w uczuciu, myśli, pragnieniu!
Widzisz ten kwiat? Zda się — to było wczora!
On zerwał pączek ten — i rzucił w roztargnieniu—
Jam wzięła go — bo już przez to dotknięcie
Tak drogim mi się stał! i schowałam go święcie!..
Dziś — tyle lat! z róży liść zeschły tylko...
A z ideałów mych — nicość... jak zwykle z marzenia!
A przecież ja — choćby złudzenia chwilką,

Chcę się znów wrócić tam!.. bo to cudowne wspomnienia!

. . . .

Szybko mijają godziny i lata—
Najpierwszy pączek, często bez rozkwitu,
Zmrożony zimnem — więdnie i oblata—
Ale od tego méj młodości świtu—
Tyle aż dotąd czasu upłynęło—
Słońce południa inne rozwinęło
Róże, płonące i barwą, i wonią.
Patrz! oto moja szufladka pamiątek!
Ta, teraz żółta — niegdyś drżącą dłonią
Była mi dana!.. a smukły jéj prątek,
Ot — dotąd jeszcze krwawą plamką znaczny.
I to wspomnienie z ubiegłéj młodości—
Nie zgadniesz jakie! epizod dziwaczny,
Pełen przeróżnych uczuć — prócz miłości!..

Miałam lat dziewiętnaście i byłam artystką—
Sztuka młode uczucia całkiem shołdowała—
I wierzyłam w to święcie, żem już w życiu wszystko
Straciła w pierwszéj walce — jakąm przebolała—
I wyrobiwszy sobie teorję kapłaństwa,
Piękna, Dobra i Prawdy — nic już nie żądałam,
Skargę serca tłumiłam z przemocą tyraństwa—
Przysięgłam sztuce wierność — ją tylko kochałam!
I czując wielką siłę, po téj pierwszéj próbie,
Nie wątpiłam — że dla mnie inne nie istnieją—
Że wytrwam bez wachania w mym kapłaństwa ślubie—
Bom się dawno rozstała z zwodniczą nadzieją,
Wyrzekła mary szczęścia, przy marzenia grobie—
I z powagą Westalki — chodziłam w żałobie.
A nawet — dziwne myśli! — mnie się nawet zdało,
Że nie ma w świecie serca, coby mię kochało!

Że każdy, z kim się zetknąć przymusi mię życie,
Jak przy posągu Nioby — tylko westchnie skrycie —
Przeczuje i rozpozna boleść nieskończoną,
I odejdzie pospiesznie! — Dziecko byłam smętne,
Nieopatrzne, marzące, tkliwe i namiętne—
I Bóg wie, co nie śniłam z głową rozmarzoną!..

Raz w tłumie obojętnych — mało znanych ludzi,
Spotkałam go raz pierwszy — młodego wietrznika.
Czem-że jest ta sympatja — co się w sercu budzi,
I nim umysł spostrzeże — już myśli przenika?!
Czem ten pociąg wzajemny — niczem nieprzeparty—
Który dwojgu nieznanym przybliżać się każe
I jak dawno znajome, tak miłe ich twarze—
I sojusz między nimi tak prędko zawarty,
Jakby się gdzieś — przed laty dobrze wzajem znali—
Razem życie spędzili — a nawet — kochali!
I ja — tak obojętna i zimna na wszystko,
Com roztargnionem okiem nic nie widzieć zwykła,
Zapomniałam tym razem, żem tylko artystką—
Oziębłość, nieugiętość i powaga znikła!
I on, w którym widziano cynika, szydercę,
Tak pełnym dźwięków głosem mówił do mnie śmiało
I takim mu zapałem oko zajaśniało,
Że wzruszona wyrzekłam: —Ten człowiek ma serce!..
I polubiłam tego głosu słowa, tony—
I ten zapał namiętny — tę młodzieńczą żywość,
I tych błękitnych źrenic blask nieco przymglony,
I tę miłą wyrażeń, ruchów pieszczotliwość—
Co mężczyznie nie cnoty — lecz wdzięku dodaje—
Bo też cnót nie miał wiele! tylko serce złote,
Kobiecy powab, zapał, zręczność i szczerotę!
Wiedziałam, czego jeszcze do życzeń zostaje,

Aby wedle wzorowych zasad się wyrobił.
A przecież — nim rozsądek zdanie przysposobił—
I mądre, pożądane przygotował rady—
Jam już lubiła jego i cnoty — i wady!
. . . .
I tak zawiązał się dziwny stosunek,
Niby zwyczajny, przyjazny i grzeczny,
Ale tak szczery, swobodny, serdeczny,
Tak go nie kalał żaden obrachunek,
Że choć nas wszystko dzielić się zdawało,
Ludzie i plotki, względy i szczegóły,
Dni znajomości koleją się snuły,
Nic na ich zmianę wpłynąć nie zdołało.
Byliśmy młodzi, dobrzy, chciwi wrażeń,
Na ziemi taka cudna była wiosna—
Pod jasnem niebem, wśród niebieskich marzeń,
Myśl mimowoli stała się radosna!
I nieraz — wszystkie okoliczne echa
Zawtórowały naszéj wesołości,
Bo gdy natura wdzięcznie się uśmiecha,
To w smutku trudno wytrwać jest młodości.
Jam ze zdziwieniem uczuła to w sobie—
Że choć się zawsze pocichu smuciłam,
Choć wierną byłam smutkom i żałobie,
Często — pod wpływem, znów się weseliłam,
I biegnąc żywo, śmiałam po młodemu,
I wiele miłych chwil zawdzięczam jemu.
Ileż to było zabaw! tak niewinnych
Jak kwiat wiosenny! — niekiedy dziecinnych—
Bo on z powagi mojéj chciał żartować,
Bał się jéj — lodu zowiąc ją powłoką—
Jam się nią zawsze pragnęła ratować,
Gdy jego bystre, przenikliwe oko

W postać mą — w lice było zapatrzone—
Mnie wtedy — z piersi — gorącéj krwi fale
Twarz oblewały, jak zorze czerwone...
A jednak — jam go nie kochała wcale!
Miłość! oh! miałam ja o niéj pojęcie,
I jak skarb w duszy chowałam je święcie—
A choć przestałam w własne szczęście wierzyć,
Uczucia moje — niby źródło czyste,
Głęboko w łono ukryte skaliste,
W sercu taiłam. Gdyby weń uderzyć,
Jak Mojżeszową różczką, cud czyniącą,
Możeby strugą wytrysło gorącą?..
Lecz — jam o cudach — dawno już zwątpiła!
Nic nie żądała — o nic nie prosiła—
Bo pierwszy zawód zranił mię boleśnie!
— Widząc, że chłopiec mój błękitnooki
Tak często we mnie wzrok topi głęboki,
Chciałam go ostrzedz — i powstrzymać wcześnie—
I wpół przyjazną uczyniłam spowiedź,
Żem na ciernistą poślubiona drogę,
Żem zbyt cierpiała i kochać nie mogę
Nigdy — nikogo! Oh! jego odpowiedź
Zrazu się tylko zawarła we wzroku!..
Potem wezbrała — jak wody w potoku—
Słowa jak fale jęły wkoło szumieć,
A choć nie zdradził, co mu w sercu płonie,
Choć ja nie chciałam go wtedy rozumieć,
Lecz mną — niestety! zachwiały te tonie!
I odwróciłam oczy przerażone—
Ah! chwilę jeszcze — chwilę — a utonę!..

. . . .

Nie! Nie! daremna to była obawa!
Artystka w pomoc przybyła kobiecie!

Miałam-że ślepo lecieć w żar, jak dziecię,
Gdy mnie, kapłankę — czekał wieniec — sława!
Tam, dla cór sztuki laury na skronie —
Trwalsze, świetniejsze, niż wianek weselny—
Tamten piękniejszy, czysty, nieśmiertelny—
Miałyż go własne moje niszczyć dłonie?!
Nie! Dla artysty nie zwyczajna droga!
Może ciernista, przykra i pochmurna,
Ale zaszczytna, i świętsza i górna,
I sięgająca aż tam — do stóp Boga!
Nie! nie zamienię jéj na tę dolinę,
Chociaż kwiecista, wonna i ponętna!
Milutką tutaj spędziłam godzinę—
Ależ ta skłonność tak dziwnie namiętna,
Że rozumowi śmie stawiać się sprzecznie,
Szybko przeminie! — Szczęściaby nie dała—
Bom ja go przecież — nawet nie kochała—
Tylko lubiła — oh! bardzo serdecznie!..
Tylko — współczułam nad jego cierpieniem...
I podzieliłam się czasem wrażeniem—
Tylko... westchnęłam, że się kończy wiosna...
Lecz to nie była tęsknota miłosna!..

. . . .

Po cudnéj wiośnie, i letnie wieczory
Miały swój powab — a więc wypadało
I nam korzystać z téj prześlicznéj pory!
Oh! tęskną piersią wtedy się czerpało
Powietrze wonne od kwiatów i rosy—
Nad nami były gwiaździste niebiosy,
Wokoło cisza... ale w takiéj ciszy
Ileż to dźwięków wyobraźnia słyszy!..
Choć częściéj teraz byliśmy milczący,
Niby wsłuchani w ten wieczór uroczy—

A przecież — gdy się spotykały oczy,
Twarz mą rumieniec oblewał gorący...
Jakbym z ust jego słyszała wyznanie,
Nie mogąc znaleźć odpowiedzi na nie!..

. . . .

Aż raz — dzień skwarny był dziwnie... gorący—
Słońce znikało — jak głownia ognista
W morzu płomieni! Noc ciemna i mglista
Zapadła wcześnie — ale zachód cały
Zorze czerwone krwawo malowały—
W powietrzu czuło się tajoną burzę—
Księżyc się w chmury tulił — niby z trwogą—
Gwiazdy noc skryła czarną swoją togą—
Duszno mi było!.. Mając w dłoni różę
Świeżo zerwaną — ustami wciągałam
Tę woń czarowną a upajającą...
I nie wiem czemu — choć było gorąco,
Mnie dreszcz przenikał... mimowoli drżałam!..
Nagle — on przy mnie stanął niespodzianie—
Drgnęłam znów — czegoś bojąc się téj chwili...
Lecz przywołałam na pomoc — udanie
Spokoju! Nie wiem już — cośmy mówili—
Do piersi różę cisnęłam namiętnie,
Aż mi jéj kolce głęboko utkwiły
W palcach. — Nie czułam tego — obojętnie
Spojrzałam na krew — którą palce lśniły—
Wtedy — on zbliżył się — pochylił ku mnie—
Krew w pocałunku usty zabrał swemi—
Chciałam oczyma odtrącić go dumnie—
Napróżno!.. oczów nie wzniosłam od ziemi!..
I wybuchnęła ta szalona burza
Wyznań i zaklęć, wiry, gromy, błyski—
W pierś mą godziły te wszystkie pociski—
Oh! straszne chwile wywołała róża!..

Straszne?.. ja tak je wtedy pojmowałam
Drżąca, wzruszona i walcząca z sobą—
Dziś... dziś... ja muszę wyznać to przed tobą,
Najmilsze chwile, jakie w życiu miałam,
Były te chwile — dziwnego wzruszenia —
Tych łez palących — westchnień... uniesienia...
Tego wahania — i téj niepewności,
Kiedy to serce pierś rozerwać chciało
Pragnieniem szczęścia, tęsknotą miłości...
Ah! ono wtedy jeszcze nie kochało!
Artystka okiem jasnem i surowem
Zmierzyła przepaść głęboką i groźną—
I ręką swoją piękną — jak lód mroźną,
I zmysłem swoim i mądrem swem słowem
Kazała zmilknąć sercu niesfornemu!
A więc... zwróciłam się doń — drżąca, zbladła—
I prawdę moją — powiedziałam jemu...
Słuchał... Mnie jakieś urocze widziadła
Słowa plątały, wkoło otaczały...
I czy od sukni méj pozór przybrały,
Czy się mieniły w blaskach zorzy krwistéj,
Dość, że widzenia — blaski księżycowe,
Kwiaty, dom, niebo... gdzie spojrzę... różowe!..
Nawet w źrenicy jego żarem szklistéj
Róże widziałam!.. I róż oblał lice...
Jam się wzruszyła — nie jak Westy córy...
Lecz znów artystka zwalczyła dziewicę,
Kazała spojrzéć wysoko — do góry—
Gdzie już nie było barwy tak różowéj—
Ale był wieniec chwały laurowy.
On mię nie przeklął — bo on mię zrozumiał—
Tę niemą prośbę — i tę straszną walkę—
I wszystko pojął — prawdę cenić umiał—

Z sztuki, z artystki miał silną rywalkę,
Którėj zwyciężać nawet się nie kusił—
Tylko tak smutno swemi błękitnemi
Oczyma spojrzał — oh! że mię przymusił
Zapłakać, łzami czysto kobiecemi!
I zapomniałam, że tam są na świecie
Zaszczytne drogi dla kapłanów sztuki—
Rozsądku dary, owoce nauki—
I cicha, drżąca, uległa, jak dziecię,
Niekiedy łzy swe mieszając z uśmiechem,
Słuchałam szmeru słów tak dla mnie nowych...
Co się w mem sercu odbijały echem—
Wśród smętnych marzeń i uczuć różowych—
Ot! byłam tkliwa — gwałtowna i młoda...
Dziś tylko do mnie jeszcze należało—
Jutro — do sztuki! Cudny wieczór! — Szkoda!
Minął na zawsze!.. Oh! wyznam ci śmiało!..
Szkoda!.. Był piękny — czysty... nieskalany!..
Anielski wieczór... jak dziecka marzenie...
Dziwne!.. mnie żal dziś — budząc to wspomnienie,
Że się już skończył poemat różany!

. . . .

Minęło! Za nim innych minęło tysiące—
I życie upłynęło — starość się zbliżyła!
Patrz! to wieńca laurów piękne liście lśniące—
A jednak — zwiędła róża — mnie najwięcėj miła!
I cóż ci jeszcze powiem z życiowych kolei?
Nie spotkałam Mojżesza — nie doznałam cudu!
Wkrótce straciłam resztkę o szczęściu nadziei...
I szłam po mojéj drodze, wśród cierni i trudu!
Zyskałam cząstkę sławy i zaszczytne miano—
Ale róż — świeżych, wonnych, więcėj mi nie dano!..
I dziś — samotna — smutna — zestarzała wiekiem—

Mówię ci! mrzonkom sławy — nie daj się uwodzić!
Wprzód nim będziesz kapłanem — pozostań człowiekiem;
Tylko takie wspomnienie będzie życie słodzić,
Co nie sztuka je sprawi — nie świat — obowiązek—
Nie gienialny twór ducha, albo rąk twych dzieło—
Lecz to, co w sercu tylko swój początek wzięło!
Co z uczuciem, z naturą najbliższy ma związek!
Wznoś twoją myśl wysoko — i kształć twego ducha—
Ale serce — nie zawsze niech go ślepo słucha!..
Spojrz! ten martwy, choć świetny wieniec laurowy—
Mniéj mię wzrusza, niż drobne tych zwiędłych róż listki—
Wieńcem ozdobią marmur grobowy artystki—
Ale w życiu najmilszym jest tryumf sercowy!..
Nad zaszczyty, honory, sławę i wielkości,
Droższy sercu kobiety dar szczeréj miłości!

SKARGA.

Na coś Ty Panie, wywiódł mię z nicości?
Skazał na przejście przykrych dróg żywota—
Czemuś dał sercu skarb czucia, miłości?
Mój duch się skarży wśród mąk i żałości,
A w biednem sercu kwili wciąż tęsknota!

Czemuś Ty Boże! wielki! niepojęty!
Pamięć przeszłości przedziemskiéj mi zmazał?
A ja się błąkam, jak listek zwiędnięty—
Jak kwiat z rodzinnéj swéj ziemi wyjęty,
Bo za ojczyzną tą — Tyś tęsknić kazał!

Na coś Ty Panie stworzył ród Jubala?
By skarby pieśni mieniali za nędzę!
Synom Lamecha, czcicielom Baala
Brud czoło plami, popiół ręce wala,
Na co im rajskich kwiatów przy siermiędze?

Czemuś Ty raczéj tę przeklętą ziemię
Zwierzem bezdusznym — płazem nie osadził?!
Czyliż za karę, biedne ludzkie plemię
Musi wciąż dźwigać ciężkie ziemskie brzemię?
Boże! tę zemstę — zły duch Ci doradził!

Czyś Ty nie mocen — jeśliś się rozsrożył—
Niesforne duchy zniszczyć raz na zawsze—
A Tyś im sprawił — że każdy z nich ożył,
Zbudził się — w ciele! Pocóżeś ich stworzył?
Sądy zniszczenia byłyby łaskawsze!

Czy ja Ci bluźnię? Ja nie wiem o Panie!
Patrzę na życie — i skargi powtarzam!
Zewsząd się wznoszą jęki, narzekanie—
Więc ja Cię szukam, przez bóle, przez łkanie,
Wzywam Cię Stwórco!.. czyliż Cię obrażam?!

Zewsząd ciemności! zewsząd tajemnice!
Nic nie wiem biedna! smucę się i trwożę—
Napróżno w górę zwracam swe źrenice—
Ciemno i głucho—w piersi wrą tęsknice...
Ktoś Ty! i gdzieś Ty?! oh! wzywam Cię Boże!

Tyś mojem życiem kierował dowolnie,
Tyś moje serce zabrał na ofiarę,
Tyś drogi moje powikłał mozolnie—

I na pieśniarza wyświęcił powolnie—
Czyż to ma łaskę Twą znaczyć? czy karę?

Oświeć mię—wspomóż! Stwórco! Dziecię Twoje
Wszakże ma prawo wołać tam — ku Tobie!
Usuń z méj duszy walki — niepokoje—
Smutki, zawody, wątpliwości moje—
Albo — daj spocząć raz już cicho — w grobie!

CON FUOCO.

Bez nadziei! bez łzy w oku!
Pieśń szyderską rzucam w świat—
Niech tam jęknie — gdzie w pomroku
Leży w grobie uczuć kwiat!

Tam niech kwili, jak sierota,
Gdy się nad nią pastwi los —
I serdeczna ma tęsknota
Niech ku niebu wzniesie głos!

O! nie na to, by litości
Zyskać kilka marnych słów!
Litość? harpja! co w cichości
Wpija w serce tysiąc kłów!

Lecz by zabrzmieć, jak pogrzebu
Strasznéj pieśni dziki jęk!..
By przekleństwem szydzić niebu,
W świecie trwogę zbudzić — lęk!

O! nie myślcie wy, weseli!
Że to szczęście trwałem już!
O! będziecie wy cierpieli—
Patrzcie! rozpacz czycha tuż!..

Na swe szczęście i marzenia
Już zawczasu trumnę rób!
Ja ci mówię z doświadczenia,
Wszystko! wszystko! schłonie grób!

RÓŻNE LOSY.

Dwóch nurków w morza wskoczyło głębiny,
Szukając pereł:—pierwszy, dziecko młode,
Spojrzał błagalnie ku chacie matczynéj
I z łzą tęsknoty zanurzył się w wodę.

Drugi—nie żegnał nikogo na ziemi,
Sierota—ni się cieszył, ani smucił,
Szepnął modlitwę ustami blademi,
Wejrzał ku niebu—i w morze się rzucił.

I pierwszy nurek niedługo powraca,
Napotkał muszlę, perła tkwi w jéj łonie,
Nic pragnie więcéj—skończona już praca—
Z dumną radością ociera swe skronie.

Cieszy się swoim skarbem pożądanym,
I odtąd żyje szczęśliwy, swobodny,

Będąc łagodnym i umiarkowanym.
Inaczéj myślał drugi pielgrzym wodny.

On coraz głębiéj sięga bez wahania,
Choć mu rekiny grożą swemi kłami,
I porost morski zdradnemi skrętami
Plącze wędrowca i żeglugi wzbrania.

Zwalczył potwory—zerwał ślizkie pęta,
Pochwycił zdobycz po walce szalonéj,
Przepłynął śmiało wiry i odmęta,
Trzymając muszlę w dłoni zakrwawionéj.

Zwyciężył—w oczach radość mu się żarzy,
Cudowną zdobycz do serca przyciska,
Lecz coraz większa zmiana w jego twarzy,
Blednie, a z źrenic dziki wyraz błyska.

„Ha! ja posiadłem, czego nikt nie zdołał
Dotąd osięgnąć.—Skarb to, skarb prawdziwy!..
Dosyć mi na tem!..“ z wysiłkiem zawołał,
I z muszlą w drżącéj dłoni padł nieżywy!

DRAMATY JESIENI.

Smutno mi! tęskno! jesień się zbliżyła,
Jak duch ponuréj żałości!
I jasne niebios oblicza zaćmiła,
I kwiatów wdzięki uroczéj młodości
Mroźnym oddechem zabiła.

Gdzie się obrócę, gdzie rzucę okiem,
Wszystko ku śmierci skroń chyli,
Słońce spowite szarym obłokiem,
Jakby przez grzeczność na uśmiech się sili,
A ziemia w smutku głębokim.

Patrz! tam! jak młoda dziewica
Na swéj śmiertelnéj pościeli,
Wśród mchu róża kona!..
Listki wicher bieli,
Jak umarłéj lica!
Ziemia jak matka tuli ją do łona,
Własnem ją ciepłem ogrzewa—
Napróżno! ona omdlewa!
Po raz ostatni za swoim kochankiem
Tkliwe rzuciła wejrzenie!..
Umarła!—Biedna róża!—gdy zakwitła rankiem,
Ujrzała piękne słońce,—a jego promienie,
Gdy wniknęły w jéj łono dziewicze,
Cudną wonią jak szczęściem wnet je napełniły,
I róża pochyliła płonące oblicze,
A ku słońcu posłała pierwszy uśmiech miły.
I odtąd cała w miłość się zmieniła,
Obojętna na skargi czułego słowika,
Przy dźwięku jego śpiewu o słońcu marzyła!
A kiedy płomyk błędnego ognika
Przypomniał jéj spojrzenie, które tak kochała,
Cała drżąca w zwierciadło wody spoglądała,
I o swą piękność zdawała się pytać,
By gdy nadejdzie upragnione rano,
Najpiękniejszym uśmiechem kochanka powitać,
Z krasą jutrzenki rumianą.
Zapomniała, że słońce ożenione z chmurą,

Chwilowych uczuć zapału,
Udzielić tylko może — pomału, pomału—
Znów się z małżonką pogodzi ponurą,
Zapomni o kochance, w jéj objęcie wróci!
Nadeszła pora zmiany, słowik już nie nuci,
Pośród tkliwéj rodziny szukał swéj pociechy,
I znalazł ją — a róża traciła uśmiechy,
Bo słońce coraz zimniéj na biedną patrzyło!
Aż zbladła! zwiędła — chyliła smętna,
Czuła, że słońcu już jest obojętna,
    To uczucie ją zabiło!

O! biedna różo, konająca z chłodu!
    Ja mękę twą odczuć umiem!
Wiem, co jest miłość i boleść zawodu,
Tęsknotę, rozpacz, cierpienie — rozumiem!..
    I śmierć pod wejrzeniem z lodu!

Lecz pójdźmy daléj — tam godło przyjaźni,
    Bladym uśmiechem ostatnim,
Wdzięczą się lubo bratki. — Ich nie drażni
Śmierci obawa — bo uściskiem bratnim
    Splotły się wolne bojaźni!

One się tylko mocniéj przytuliły,
Aby jak razem kwitły w uczuciu rodzinném,
Tak mogły razem umrzeć—wspólny skon im miły!
Młodzież w zapale niewinnym
Pochyla się ku sobie, szepcząc coś miłośnie,
Zapomnieli o śmierci!—Starsi znowu innem
Czuciem przejęci! marzą o swéj wiośnie,
    Pełni lubego zachwytu,
O przeszłych czasach swojego rozkwitu.

A chociaż wiedzą, że ich ród nie zginie,
Smętnem spojrzeniem badają niebiosy,
Niby wyroczni w ostatniéj godzinie,
O dalszych pokoleń losy....

Ja wam zazdroszczę! bratki! Oh! błagam Cię Boże!
Pozwól mi mieć skon podobny!..
Na bratniéj piersi niech głowę położę,
Niech bracia moi hymn nucą żałobny,
Otoczą śmiertelne łoże.

Za całe życie gorzkiéj samotności,
Téj jednéj błagam nagrody,
Niech choć przed śmiercią, braterskiéj miłości
Moi pokrewni dadzą mi dowody—
A potem? — skonam z radości!..

Ah! tu—jak biedna dziecina sierota,
Powój na tyczce się wspiera;
Dziecku sierocie potrzebna pieszczota,
Bez niéj schnie, więdnie i cicho umiera,
Zniszczy go rzewna tęsknota!
Powój — nieśmiałe dziecię — tyczkę — swą macochę
Objął tkliwym uściskiem swéj wątłéj postaci,
Lecz macocha choć dobra, sercem nie odpłaci,
Więc mu zawsze smutno trochę!..
Czasem ślicznym uśmiechem chciał się rozweselić
I tajemnie ust kielich rozchylił — lecz drżący,
By spojrzeć w słońce, nie mógł się ośmielić—
Wnet się zwijał i tulił, trwożliwy, tęskniący.
Lecz jak dziecko, ze śmiechem chce igrać z płomieniem,
A umierając, marzy o jutrze, zabawie,
Tak powój delikatny — zmęczony cierpieniem,

Bliskiéj śmierci nie czuł prawie!
Coraz mocniéj w ostatnich konwulsjach konania
Ściskał macochę z czułością dziecinną,
Jakby zapragnął kochania. — A potem chwieje się—słania!
Skończył swą istność niewinną!
Wiatr zanucił hymn pogrzebu,
Ziemia w cmentarz się zmieniła,
Widok trupów przykry niebu,
A więc zima płaszcz rzuciła.
I wszystko jak całunem osłoniła skrycie—
A tym, co smutni nad śmiercią płakali,
Rzekł biały anioł: niech się nikt nie żali,
Bo z grobów nowe powstanie życie.

BAJKA WARJATA.

Ha! ha! posłuchaj! bajkę ci opowiem—
A choć mi mówią, żem warjatem został,
To ręczę—przyznasz—że z zupełnem zdrowiem
Żaden bajkopis mojéjby nie sprostał!
Ho! posłuchaj! Cudna powieść—
W niéj chcę dowieść—czego dowieść?
Ah! Ah! nie wiem!

Czekaj! był olbrzym niezmiernéj wielkości,
Czołem dosięgał niebieskiéj stolicy,
Gdzie sam Bóg mieszka w potopie światłości—
Świat cały przejrzał się w jego źrenicy—
Tak była wielką i czystą,
A świeciła tak ognisto,
Jak zarzewiem!

A żyło także małe karłów plemię—
Ha! ha! pocieszne, maleńkie figurki—
Ci — nie sięgnęli nigdy ponad ziemię,
A mieli rożki, zęby i pazurki,
Więc kąsali i szarpali,
A gdy zgryźli, to płakali
Na pogrzebie!

Złośliwe były te małe potworki,
Sprytne, przebiegłe, bystre i układne—
Z zręcznością małpy z drugich biorąc wzorki—
Stroiły potem minki bardzo ładne—
Rożki czarne pochowały,
A tyś im się oddał cały—
Żal mi ciebie!

Ha! gdy zoczyły naszego olbrzyma,
Z szeroką buzią na rozcież otwartą,
Patrzyły długo, mrugając oczyma—
A później z gniewem, zazdrością zażartą,
Rzucił się ród Liliputów
Do olbrzyma wielkich butów,
Ah! zabawni!

Gryzą—aż czoła pot gorący znoi,
Ale pomimo ogromnych przechwałek,
Olbrzym nie wiedział nawet i wciąż stoi,
Choć mu ugryzły podeszwy kawałek!
Więc w straszliwą złość popadli,
Jeszcze bardziej się rozjadli,
Niepoprawni!

Lecz między nimi byli i mądrale,
Co nie czepiali się butów daremno,

Lecz naśmiewając się z tamtych zuchwale,
Dowiedli raźnie, że im we łbach ciemno!
I jeden i drugi gada—
„O jest rada! mądra rada!
Zwyciężymy!..“

Pazurki, rożki schowali głęboko,
A przystąpiwszy bliżej do wielkiego,
Krzykną: „Olbrzymie! zwróć na nas twe oko!
I my też chcemy coś wiedzieć mądrego!
Chcemy urość! twoja głowa
Niech pomoże! niech twe słowa
Usłyszymy!“

Zwrócił się olbrzym, gdzie wrzeszczeli malce,
A że był dobrym—świat cały chciał zbawić,
Więc całą kopę wziął ich we dwa palce,
I mądre rzeczy począł karłom prawić!
A te, choć skrycie ziewają,
Lecz słuchają, łbem kiwają
Obłudniki!

I gdy tak olbrzym ślicznie opowiada,
I w dźwięku swych słów słodko się lubuje,
Ani się spostrzegł, że cała gromada
Małych karzełków wszędzie mu plądruje!
Targa umysł, krwawi serce,
Myśli gasi po iskierce,
Naród dziki!

I nim się biedny olbrzym opamiętał,
Nim miał czas spojrzeć, co się wkoło dzieje,
Tłum już mu zabrał siłę i opętał,

A nad osłabłym szyderczo się śmieje!
Olbrzym nie czuł tej boleści,
Bo go karzeł jeden pieści,
Ah! zdradliwy!

Przed jasne oko stawił blaszkę złotą,
Głaszcze i prosi chwilę cierpliwości,
Olbrzym wpół śpiący zamilkł—teraz oto
Karzeł przemawia, chwaląc raj ziemskości:
„Rzuć te idealne sfery,
Wróć do ziemskiéj atmosfery,
Znajdziesz dziwy!“

Ha! ha! źrenice czyste się zamgliły,
Olbrzym się chylił, i kurczył, i malał,
A blaszki złote przed okiem wciąż lśniły,
A karzeł ciągle swą ziemię wychwalał,
Ho! i tryumf był niemały,
Bo olbrzyma pokonały
Karłów sztuki!

O! i ty myślisz, że koniec powieści?
Gdzie zaś!—Wszak trzeba mówić o królewnie!
W każdéj balladzie królewna się mieści,
A więc i w mojéj znajdzie się zapewnie!
Ho! była królewna! była!
Przy niéj karły i ich siła.
To nieuki!

Zwalczony olbrzym był jéj miłym bratem,
Mieli oboje nad karłów plemieniem
Rządy sprawować i zatrząsnąć światem—
Więc ją wieść straszna przejęła cierpieniem—

Więc płakała! oh! bolała!
Tęsknie ręce załamała!
Biedne dziecię!

Czy jéj łzy co pomogą? nic nie wiem mój bracie!
Olbrzym karzełkiem został—ona jeszcze wzrosła,
Ale czy zawsze będzie w swéj bez skazy szacie,
Tak wytrwała, odważna, czysta i wyniosła,
Ty się pytasz łzawem okiem,
No! cóż to! czy ja prorokiem?
Nie wiem przecie!

A choćbym nawet naprawdę co wiedział,
Coś—niewyraźnie—nie wiem, jak to było!
Nie! jabym wcale tego nie powiedział!
Bo czy mi się to śniło... czy nie śniło...
Zdało mi się... Wiem na pewno!
To ja byłem tą królewną!
Czy olbrzymem?!..

Wiem, że nie karłem—nim się tu dostałem,
Byłem czemś wielkiem!—Lecz chowaj w sekrecie
To, co ci teraz cicho powiedziałem,
Niechże się tego nie dowiedzą w świecie,
Boby słowa pochwycili,
Jak śrubami przytwierdzili
Twardym rymem!

W CHWILI ZWĄTPIENIA.

Gdzie silnéj woli owoce trwałe,
Które mi miały zapewnić chwałę?..
Gdzie spokój ducha?—Wszystko stargane!!
Jak zwiędłe liście burzą porwane!..
Gdzie myśli moich swoboda błoga?
I moja śmiało wytknięta droga?
Wszystko zniknęło w odmęcie szału,
Rozpacz się wpiła w serca zakątki,
Starła tam wszelki ślad ideału,
A z świętych uczuć—już tylko szczątki!
I kędy spojrzę, gdzie rzucę okiem,
Taką spostrzegam nicość i ciemno!
Wszędzie! obok mnie—za mną—przedemną—
Głuche przestrzenie, okryte zmrokiem!
I tak złowrogie wkoło milczenie,
Że gwałtem szukam pociech dla duszy,
Ale dorzucam tylko katuszy,
Bo nic nie znajdę na jéj wzmocnienie!
Nic! Nic!.. ból straszny ciągle się wzmaga!
Tylko wśród ciemnéj nocy cierpienia,
Szyderska, blada, skrzywiona, naga,
Jawi się straszna postać zwątpienia,
I suchą ręką wiedźmy kościstéj,
Wkłada na głowę wieniec ognisty;
Krwawe płomienie i kłęby czarne
Palą mi głowę ogniem czerwonym,
Własne marzenia, jak ćmy poczwarne,
Giną w nim sycząc—śmiechem szalonym!
O! gdzie mam szukać siły straconéj,
Co robić, aby wyrwać się z męki?..

Jasny dzień z któréj zabłyśnie strony?..
Ja nie wiem!—pióro wypada z ręki!

*
* *

Ludzie się boją śmierci!—ah! oni
Chyba w swém życiu nic nie cierpieli!
Im chyba ciągle wesoło dzwoni
Szczęścia piosenka!—Gdyby wiedzieli,
Co się w méj duszy i sercu dzieje!
Gdyby poznali takie boleści...
Toby wierzyli, że myśl ma pieści
Wspomnienie śmierci jakby nadzieję,
Którą się więzień cieszy stęskniony,
Że wkrótce ujrzy rodzinne strony!
Ziemia mi obcą!—Nikt dłoni mojéj
Braterską dłonią nie ściśnie szczerze!
Nikt nie przygarnie do piersi swojéj,
Nikt trochę serca nie da w ofierze!
Samotnie stoję!—choć wkoło tłumy!
Wśród fali mętów, głębi skalanych—
Lecz mnie się zdaje w uczuciu dumy—
Że mam tę świętą cechę—wybranych!

JAŚNIEJĄCY PROMIEŃ.

Czy marzyć wolno? czy gdy bije serce
Szczęścia przeczuciem, rozkoszą nieznaną,
Można uwierzyć nadziei iskierce,
Która błysnęła?.. Czy tę pokonaną
Zwodnicę—w pęta okutą rozsądku,

Zimnym rozwagi ujętą łańcuchem,
Uwolnić z więzów?.. i jak na początku
Życia, jéj szeptów chciwem słuchać uchem?..
Czy nie zawiedzie?.. Zyskawszy zwycięztwo,
Czy nie zaśmieje się i czy nie zniknie,
Duszę na nowe wskazując męczeństwo!
Ha! kto to zgadnąć może... kto przeniknie
Boskie wyroki?—Jednak choć zawody
Ranią boleśnie,—chwilowe złudzenie,
Wiara w ideał, krzepią umysł młody.
I choćby znowu wróciło cierpienie,
Ja ci uwierzę! Aniele skrzydlaty!..
Drżące z zachwytem znów wyciągam dłonie—
Wiedź mię za sobą w te urocze światy.
Sercem i duszą wraz z tobą pogonię!..

Nocturne.

Śpiewać chcę! śpiewać! bo mi pęknie serce!
Pod łez naciskiem—pod uczuć nawałem!
Bo czucie moje w dziwnéj drży rozterce—
I dreszcz febryczny wstrząsa mojem ciałem!
Bo mi się zdaje, że w szalonym biegu,
Pomiędzy ziemią i niebem wiruję,
A nie ma dla mnie przystani u brzegu,
Choć widzę niebo! blizkość ziemi czuję!
A wszystkie ziemskie przestępstwa i grzechy
Stają przedemną wyjąc w różne głosy—
Nademną słyszę anielskie uśmiechy,
A nie mam siły ulecić w niebiosy!

Ani nie mogę zwrócić się ku ziemi,
Szaleć jak inni, lub cieszyć się z niemi,
I jak kometa, dziwném bieżąc kołem,
Nie wiem, co myśléć, jak sądzić o sobie?
Czyli mnie żywcem pochowali w grobie?..
Jestżem człowiekiem?.. gwiazdą?.. lub aniołem?..
. . . .
O! wieleż śmierci człowiek przejdzie w życiu,
Zanim ostatni raz wreszcie umiera!
Ileż to zabójstw dzieje się w ukryciu,
Bez wiadomości pana policjanta!
Ileż serc płomień pali i pożera!..
Ile to powag i znakomitości
Nie wstydzą się brać maski komedjanta!
Ile potęgi słabnie dla nicości!..
A ile razy pod wrażeniem chwili,
Człowiek stanowi o przyszłości całéj,
I raz się myląc dla drobnostki małéj,
Przez całe życie potem wciąż się myli?
Ha! chęć ogarnia zgłębić te tajniki!
Uchwycić prawdę, rzucić ludziom w oczy,
Lecz choćbyś przebył kurs matematyki,
Nie skombinujesz zadania!— Cień mroczy
Serca, umysły—zaspanéj ludzkości,
O postępowych ideach wciąż prawi!
Cywilizacją, jak cackiem błyszczącém,
Nowém i ładném, milutko się bawi,
Lecz o postępie, dobro jéj niosącym,
Nikt ani myśli!..
. . . .
Dziwne to stworzenie
Ten człowiek! z ciała złożony i duszy,
Zamiast oddalać od siebie cierpienie,

Sam sobie tylko dodaje katuszy,
I zawsze chętniej tych poszeptów słucha,
Co głaszcząc zmysły, usypiają ducha!
O ludzie! ludzie! ślepi, obłąkani!
Zbudźcie się na głos prawdy i sumienia,
Prawda jedynie jest światłem wśród cienia—
Leczy głąb' duszy, choć pozornie rani!
. . . .
Kiedyś—gdy cały wiek minie z okładem,
Nastaną dobre czasy—prawdy—cnoty,
I pogardzając dawniejszym przykładem,
Wyżej ocenią serce, niż klejnoty.
Wiedza szeroka, wsparta czystą wiarą,
Powiedzie umysł i szlachetność zbudzi—
Zastępy świętych bezkrwawą ofiarą
Tę nową drogę otworzą dla ludzi—
Wszyscy poznają słodką miłość braci,
Stanie się jedność—a za łzy lub czyny
Świat nie pieniędzmi, lecz sercem zapłaci—
Zgładzą się wtedy ciężkie nasze winy—
Tak!—to nastanie! widne memu oku
Brzaski zarania, które wyższe szczyty
Zwolna rozświeca. Dotąd świat w pomroku
Tonął,—jak w całun, w swe kłęby spowity,
A na nim tyle plam krwawych i czarnych—
Tyle zwątpienia i szaleństw poczwarnych!
My—odkupieni!—My—Boga synowie,
W czci bałwochwalczéj rozkoszy i złota,
Pełnimy zbrodnie—bluźnimy Jehowie!
Choć własnym oczom widna ta sromota!
Choć serce w piersi rwie się ku lepszemu,
Głuszymy zgiełkiem serce i sumienie,
W przepaść rzucamy się po pijanemu,

Pijem, by straszne przytłumić cierpienie!

. . . .

Ja widzę!.. czuję!—kiedyś lepiéj będzie!
Słodka pociecha me serce ogarnia!
Bogacz i nędzarz w równym staną rzędzie—
I jeden pasterz—i jedna owczarnia!..
Boże! mój Boże!.. jeśli jeden człowiek
Może przyspieszyć tę szczęśliwą zmianę,
Niechże ja cierpię do zamknięcia powiek,
Niech nic z udziału szczęścia nie dostanę,
Byle męczarnie, co rwą serca bratnie,
Były zmniejszone—krótsze—i ostatnie!..

TĘSKNOTA.

Mnie smutno tak!—usta się śmieją—
Lecz sercu brak—wesołych marzeń—
Znikły jak sen—radość z nadzieją,
I każdy dzień—snuje koleją
Ciąg dalszy ponurych wrażeń!..

I ziębnie serce, gaśnie umysł młody—
        A mnie żal złudy młodości!..
Żal cichych westchnień, uśmiechu, swobody
        I téj dziecinnéj czułości!
Kwiatek zwiędnięty, albo śmierć motyla
        Łezkę wywołał na chwilę.
Lecz wkrótce uśmiech znów usta rozchyla,
        Wszakże są inne motyle!..

I kwiaty świeże tam na łąkach rosną,
Więc łzy i smutek skończone!
Zima się skończy,—a słowiki z wiosną
Powrócą w gaje zielone.

Dziś dla mnie już—tylko cierpienia—
Motyli—róż—nie chcę znać więcéj—
Bo widok ich—budzi wspomnienia
Błogich dni tych—ah! gdzie marzenia
Mojéj swobody dziecięcéj?!..

Inną mi drogę wskazały niebiosy,
Skończone mrzonki ulotne!
Ciężka to droga!—smutne moje losy
I życie twarde—samotne!..
Ale w ponurych chwilach żałości,
Gdy przymknę senne powieki,
Zda mi się widzieć obłok światłości,
W nim koniec drogi daleki.
W blaskach poznaję bratnie mi dusze!
One tam na mnie czekają!..
Z zdwojoną siłą zniosę katusze,
Wiara i zapał wracają!..
Bo jeśli zdążę do mojéj mety—
Cel mój wypełnię na ziemi—
Bóg wyswobodzi duszę poety,
Wtedy połączę się z niemi!..

Więc dosyć skarg—do pracy, pieśni!
Nie kalać warg—próżnemi słowy!
Ha! tęskno! żal!—Duch mój już nie śni,
Lecz rwie się w dal!—Przed tron Jehowy!
Bo tam są moi rówieśni!

Co ja lubię?

Lubię smętną pieśń słowika,
Gdy się skarży w wonnym gaju,
Lubię cichy szmer strumyka,
Polne kwiatki przy ruczaju,
Lubię kiedy wschodzi słońce,
Zorzy blaski purpurowe,
Wolę jednak srebrne, drżące,
Blado światło księżycowe.
Lubię dumki łzawą nutę,
Co ją śpiewa lud po siołach,
I te baśnie, z serca snute,
O królewnach i aniołach.
Lubię wiele rzeczy jeszcze—
Jest to gustu druga strona:
Salonowa—wykształcona.
Może to kiedy obwieszczę,
Gdy zechcę wydać z ukrycia,
Co mi jest drogiem na świecie—
Wtedy się także dowiecie,
Co mi potrzebne do życia!

Z ŻYCIA POETY.

Sonet I.

O! niechaj nikt poety losu nie zazdrości!
Czy wy znacie poetę? czy wiecie, co płonie

Co się kryje, co burzy w duszy jego łonie?
Czy kto może to zgłębić potęgą mądrości?..

Nigdy! — z szkiełkiem na oku i miną krytyka,
Z ostrożną ciekawością każdy się przybliża,
Ceni utwór — z powagą błędy mu wytyka,
Nie chwaląc nic zbytecznie, bo im to ubliża!

Biedny śpiewak! w swéj pieśni zmieścił całą duszę,
Wyśpiewał żal, tęsknotę, radość i katusze,
I skonał, — bo pierś pękła mu z ostatnią nutą!..

A w nagrodę? — nad grobem długą miano mowę,
Wielbiono talent — piękny pomnik mu ukuto—
I zwieńczono laurem jego martwą głowę!..

Sonet II.

Była młoda dziewczyna z obliczem anioła,
Co ze śmiechem srebrzystym do świata się rwała—
Niezmącona pogoda jaśniała z jéj czoła,
Była płochą jak motyl — lecz jak lilja biała.

Pokochał ją poeta — jéj oczu błękity
Kazały śnić o niebie — a więc pobudzała
Coraz nowe piosenki, uczucia, zachwyty—
Aż kochał coraz więcéj — i ona kochała.

Rozkoszą było widzieć ich miłość naiwną!
Minęły lata — w pięknéj postaci hrabiny,
Co się śmiała z poezji z pogardą tak dziwną—

I hołdy wielbicieli przyjmowała dumnie,
Zniknął obraz mojego anioła — dziewczyny—
A poeta?.. ten dawno już spał cicho w trumnie!..

FRAGMENT.

Dziwném jest życie!.. jak wielka skarbnica,
Zbiera dzień po dniu pamiątki, klejnoty—
Koral uśmiechu,—djament łaski z lica,
Wspomnienie szczęścia i skargę tęsknoty.
Dziwném jest życie!.. Są w niem takie chwile
Złudnéj radości, wielkiego zachwytu,
Zda się—że serce nie obejmie tyle
Pociechy—że się dosięgnęło szczytu
Wesela—że świat—ludzie—naokoło
Wszyscy się śmieją! i chce się udzielić
Szczęścia bezmiaru—wszystkich rozweselić,
Aby im także było tak wesoło!
I nagle—usta wpół uśmiechu zmilkną—
Szczęścia obrazy bledną, gasną, nikną—
I szara barwa tak smutno obleka
Promienne chwile—a w sercu człowieka
Coraz to chłodniéj—nicość i tęsknota.
Żal się zakrada—ta złowroga postać,
Tysiącem ramion owinie, obmota,
Aż niepodobna się już z nich wydostać.
O! żal! tęsknota—straszne to uczucie,
Czy to wśród bólu, czy u stóp ołtarzy,
Wszędzie się znajdzie, i w posępnéj nucie
Skargę wygłosi, a duszę rozmarzy
Dzikiem marzeniem choréj wyobraźni!
A świat przedstawi taki nędzny, marny—
I tak zasmuci, rozrzewni, rozdrażni,
Że wszystko skryje w całun kiru czarny...
Ah! wtedy smutno!—Ah! jak wtedy smutno!
Ludzie gniewają, praca nuży, męczy,

Pieśń najweselsza wyda się pokutną—
Niebiosa płaczą—szmer strumyka jęczy,
I dzwon niedzielny zda się pogrzebowy,
I kwiatek każdy kwiatem na mogile,
Zewsząd się czuje zimny chłód grobowy...
O! jakie straszne takie życia chwile!
A powód tego?.. kto zgadnie powody?..
Może ten smutny cień rzuciły chmury,
A może księżyc, albo obłok który
Zagarnął uśmiech, zabrał pieśń swobody,
I z skarbem moim we mgle się rozpłynął—
A gdy nazajutrz spadł w kropelce rosy,
To się natychmiast wonny kwiat rozwinął,
I śmiało główką zaglądał w niebiosy!
A mnie tak smutno! tak tęskno! żałośnie!
Zazdroszczę dziecku, że wesoło nuci—
I kwiatom, że się uśmiechają wiośnie.
Czyż sercu memu kiedy wiosna wróci?..
Czy struny harfy mej radośnie brzękną,
I będę śpiewać, że młodość jest piękną—
I będę sławić hymnem uwielbienia
Życie, niebiosa, naturę i sztuki—
Gdy żal przeminie—skończą się cierpienia...
Gdy poznam wreszcie mą właściwą drogę...
A to nastąpi... nie nastąpi... póki—
. . . .
Ha! nadaremno! dokończyć nie mogę!

Nie wróci!..

Czemuż w myśli znów stanęło?..
Czemu próżno serce smuci—

Oh! minęło! już minęło!
Nigdy! nigdy! już nie wróci!

Kto swe szczęście widział w grobie,
I kwiat serca zdeptan—biały—
Rozpierzchnięte sny w żałobie—
Zdruzgotane ideały!..

Pocóż łudzić się nadzieją,
Co zwodniczą piosnkę nuci?
Życie, rozum—z niéj się śmieją—
Co minęło—już nie wróci!

Żal mi przecież tych chwil rajskich,
Gdy z dziecięcą w nie ufnością,
Snułam tęcze barw niebiańskich,
Zwane wiarą i miłością!

Znikły tęcze, sny!—Cierpienie
W pierś się wpiło! życie skróci—
Wszystkie blaski słonią cienie—
Szczęście serca—już nie wróci!

Łza po licu cicho płynie,
Nikt nie widzi jéj z żyjących—
Łza sieroca gdzieś zaginie
Razem z dźwiękiem tonów drżących.

Kwiat jesienne zimna ścięły—
Wicher listki gdzieś rozruci—
Łza, piosenka, kwiat... zniknęły—
Przeszłość nigdy już nie wróci!

FRAGMENT.

Marzeń, chęci, uczuć roje,
Kłębią się w piersi falami bez końca,
A myśli, pragnienia moje,
Niby kaskada w złotych blaskach słońca,
Miga tysiączną barwą, drży kropel miljardem,
Aż w objęciu przepaści, lodowatem, twardem,
Ginie, przepada gdzieś z szumem!
Kaskadą czucie—przepaść jest rozumem—
Rozum pochłania, więzi czucie rozszalałe,
Walka to olbrzyma z atletą—
Areną do zapasów—moje życie całe—
Tych strasznych wyścigów—grób metą!

Nie! mylę się! dalćj sięga
Duch nieśmiertelny, rodzic zapaśników—
Czyliż rozumu i uczuć potęga
Nikłaby? nakształt tych błędnych ogników—
I zagasła bez śladu, na zimnćj mogile?!
O nie! oni tćj walki nie przerwą na chwilę—
Tylko—jak zużytą zbroję,
Oddadzą ziemi wątłe ciało moje—
I chwytając broń nową—nowych ludzi życie,
Przedwieczni—przez przeciąg wieczności,
Będą iść—walcząc otwarcie i skrycie,
Drogami nieskończoności.

DUMKA.

I.

Wyje wicher pieśń żałosną, strąca liście z drzew—
Drzewa znów zakwitną z wiosną, zabrzmi ptasząt śpiew.

I ta rzeka, mrozem ścięta, potęgą swych fal,
Skruszy lodów zimne pęta, i popłynie w dal.

II.

Lecz jeśli w sercu cień zaległ ponury,
Hymny tęsknoty rozpacz głucho nuci,
Nigdyż błysk szczęścia nie rozświeci chmury,
Nigdyż tam wiosna nadziei nie wróci?

I.

Na cmentarzu puszczyk kwili — złowrogi to głos!
Tym co żyją, tych co żyli, przypomina los—
Młodość, czucie, piękność, siła — wszystko pójdzie w grób,
Pochłonęła to mogiła — został tylko trup.

II.

Więc darmo budzić uśmiechy przeszłości,
Gdy pogrzebione pod smutku nawałem?
Daremno pragnąć pociechy, radości,
Gdy nic na świecie nie może być stałem?

I.

Nad kwiatami motyl leci — barwne skrzydła ma—
Barwa znikła, w rękach dzieci — pozostała ćma.
Zdala wabił młode oczy, zblizka z brzydł i zbladł—
Pierzcha złudzeń sen uroczy — kwiat marzenia spadł!

II.

Tak, próżne walki, zabiegi, nadzieje—
Życie—to potok, który przejść raz musim—
Uczucia—pyłek—które czas wnet zwieje—
Szczęście—błysk—który schwytać wciąż się kusim.

I.

Nad potokiem wątła kładka — strach iść po niéj wprost,
Lecz kto wytrwał do ostatka — bezpieczny to most—
Niecierpliwych prąd unosi — rozbija o brzeg—
Obojętnych w miejscu trzyma — tamując im bieg.

II.

Tą kładką siła i spokój—w rozterce
Uczuć i smutków—pomoc to jedyna!
Lecz zkąd je wskrzesić w duszy?—przelać w serce,
Gdy mi ich zbraknie—czyż to moja wina?

I.

Nad przepaścią gwiazda świeci — co rozjaśnia toń—
W burzy wichrów i zamieci, — wzrokiem sięgaj doń—
Każdy człowiek ma ją jasną — i w nocy i w dzień—
Biada! jeśli ręką własną — rzuca na nią cień!

STROFY ODERWANE.

Lutnio moja! do ciebie wracam znów—do ciebie!
I drżące dłonie na twych jasnych strunach składam.
O! zabrzmij mi piosenką! Jak w ciemnym Erebie
Nieszczęsny duch przeklęty—błądzę—rwę się—padam,
Gubię się wśród chaosu!—tonę wciąż w odmęcie—
I szamocząc się, szatę swą białą rozdzieram—
Ratuj mię!.. póki jeszcze w sercu chowam święcie
Skarb uczucia nietknięty!.. Ratuj mię!.. umieram!..

Przez ciemność—wały zmroku—zaświeć mi promieniem
Widnym—ze strun oblanych łuną blasków słońca!..
Spłyń dźwiękiem w mą pierś pustą—zwieńcz czoło marzeniem,
Pieśń, światło, jak dwa skrzydła anielskiego gońca,
Osłonią mię—ukoją—i w górę uniosą!..
Zwiędnięte jak kwiat usta—napoją jak rosą!
Słyszę... szmer cichy—dźwięczny... Bądź błogosławiona!
To twój—o lutnio moja! wtór do pieśni zwykły!
Widzę!.. jasne promienie toń mroczną przenikły—
I wpływają potokiem do mojego łona!
O aniele poezji! jam znów razem z tobą!
Pieśni!.. Śpiewać chcę! mogę!..
Ha! pierwszy ton—smutny!
Daremno! kto raz przeszedł czyściec prób okrutny,
Piekło mąk—temu niebo nawet lśni żałobą!

I.

Trzeba żyć!.. straszny wyrok niezbłaganych sądów
Sumienia i rozumu—broń wytrąca z ręki—
Każe mi znowu walczyć z głębią rwących prądów—
Tonąć, wypływać—krwawej nie módz zwalczyć męki.

Trzeba żyć—długo jeszcze—i cierpieć bez końca!
Jak Prometej przykuty łańcuchem do ziemi—
Jedna kara nam, żeśmy po światło do słońca
Sięgnęli, nad ogniami płacząc wygasłemi!

Żeśmy braterskie piersi, ciepłem z nieba wziętem,
Chcieli rozgrzać, zatliwszy iskrę w każdem łonie!
Aby płonęła wiecznie tem uczuciem świętem,
I promiennym odblaskiem wieńczyła ich skronie.

Lecz Bóg Prometeusza zazdrościł mu chwały—
I mściwy—nielitośny—na męki go skazał!
A mój Bóg—co swą męką ludzkie winy zmazał,
Czemu każe me serce rwać sępom w kawały?!

Ty, coś wskrzesił umarłych—przebaczył grzesznicy—
I o miłości bliźnich ustanowił prawa,
Czemu mię tak dotykasz karą swéj prawicy?..
Wszak wiesz, komu chcę służyć—wszak to święta sprawa!

O wszechwiedzący! wielki! czyliż to zamało,
Że ja Ci ofiaruję życie mojéj duszy?
Chcesz, aby Ci poświęcić i serce, i ciało,
I wszystkie chwile długiéj a ciągłéj katuszy?..

O Panie! Tyś okrutny!.. przebacz mi, mój Boże!..
Ja Ci pragnę być wierną—lecz wiara się chwieje
Pod naciskiem rozpaczy!.. Błagam Cię w pokorze,
Zrób ją silną—dając mi—miłość i nadzieję!..

II.

Serce moje! serce biedne! młode!
Czemu biciem pierś rozrywasz, palisz,
Tak się zrywasz, jak ptak na swobodę
I jak dziecko, boleśnie się żalisz?..

Serce moje! daremno! daremno!
Wszystkie więzy pozrywać się kusisz—
Tam otchłanie! tam straszno i ciemno!
Ty ulegniesz! ty poddać się musisz!..

Ja cię w złota szczerego oprawie
Rozumowéj zasługi, wyższości,
Światu z chlubą i chwałą przedstawię!
Jako djament bezmiernéj wartości!

Lecz jak djament ty musisz być czyste!
I szlachetne, promienne, spokojne,
Jako rubin, tak cudnie przejrzyste,
Jako słońce—tak świetnie dostojne!

Więc skarb taki potrzeba szanować,
By go w życiu na marne nie stracić!
I przybytek czarowny zbudować—
I tym darem ołtarze wzbogacić!

Ołtarz wielkiéj a czystéj ofiary
Dla ludzkości—z całego żywota—
Tam jest miejsce dla serca i wiary—
Tam się skłaniać powinna tęsknota!

III.

Więc nie widzicie, że niepokój szarpie
 Mą biedną duszę—jakby potwór zły!..
Jak owe straszne, starożytne harpje,
 Pije krew z serca—topi srogie kły!
A smutek cięży... a łza w oku pali...
 Choć nie wypłynie z pod powieki—nie!
Bo dusza moja ludziom się nie żali,
 Chyba aniołom w modlitwie lub śnie!
. . . .
Z piersi zbolałych smutne płyną dźwięki,

Płyną gdzieś w górę, aż do Bożych stóp!
Nie w mojéj mocy potłumić te jęki,
Nie prędzéj ścichną, aż gdy legnę w grób!
Tam, na cmentarzu—tak cicho!.. spokojnie!..
A pośród żywych—niepokój i gwar!
Na żadnym tronie nigdy tak dostojnie
Król nie spoczywa—jak na łożu z mar!..
Zimna mogiła cieplejszą jest przecie,
Niż serca ludzkie, zamienione w głaz—
Wszak tyle śmierci przechodzi się w świecie—
Czyliż nie lepiéj skonać wreszcie raz?!

. . . .

Nad gwary miejskie—chaos ludzkich krzyków,
Przenoszę ustroń cichą i spokojną—
Ze śpiewem ptasząt i szmerem strumyków,
W prostocie swojéj tak wabną—dostojną!
Gdzie pieśń, modlitwa—płynie bez przeszkody,
Łącząc się z hymnem potężnym wszechświatów,
Gaje zieleńsze—przezroczystsze wody—
Dużo powietrza—błękitu i kwiatów!..

. . . .

I wy myślicie, słysząc moje śmiechy,
Że moje serce jest pełne radości?
Dusza nie łaknie balsamu pociechy,
Bo lica gładkie zdobi wdzięk młodości?..

I wy wierzycie—że myśl płocha, pusta,
Ślizga się lekko jak motyl po kwiecie,
I nierozważna wybiega na usta,
Aby poigrać z płomieniem jak dziecię!..

Oh! nigdy! nigdy! nie znacie mię wcale!
Czy można sądzić człowieka w salonie?

Chcecież, by moje tęsknoty i żale
Obok zegarka powiesić na łonie?

Chcecież, by wam się spowiadać z katuszy?
A czy pojmiecie moje wszystkie bóle?
Nie jeden—ręczę—ramionami ruszy,
Choć może w oczy wykrzywi się czule!

Lecz nim ja przecie—znajdę się za drzwiami,
Odgłos obmowy me uszy zadraźni—
Ha! więc i na co męczyć się próbami—
Ja i bez próby uwierzę przyjaźni!

Lepiéj mię znajcie z uśmiechem i żartem—
Dopóki starczy sił do wesołości—
Dopóki boleść piętnem niezatartem
Nie skreśli w twarzy dziejów méj żałości!..

A kto chce głębiéj zajrzyć w myśl i czucie,
Niechże się wsłucha w dźwięk śmiechu i mowy,
Niech sercem pojmie ton zawarty w nucie,
Może to będzie ton—zupełnie nowy!..

Niech—naturalnie—jeżeli ciekawy!
Gdy moja ręka po klawiszach błądzi,
A wzrok w przestrzeni—niech spojrzy—osądzi—
Czy tylko ziemskie zajmują mię sprawy!

Niech pójdzie za mną do stopni ołtarzy,
I śledząc cicho—niech pilnie posłucha
Mojéj modlitwy—méj spowiedzi ducha,
Może zawierzyłby słowom i twarzy!

Lecz na co? na co?—Bajka niewesoła!
I cóż wam przyjdzie z moich snów skarbnicy?
Niech śpią spokojnie pod strażą anioła—
A dla was—uśmiech—i żarcik pstrolicy!

. . . .

Z bólem w piersi, z serdeczną tęsknicą,
Z łzawą skargą, choć z suchą źrenicą,
Ja za pióro znów chwytam z zapałem!
Bo pieśń moją pociechą jedyną—
Bo przez słowa te wszystkie łzy spłyną,
Co zawarły się w oku zbolałem.

Z pieśnią moją—ot! szczęścia mam chwilę!
W życiu tyle męczarni—prób tyle—
Czarne mary zwątpienia mię dręczą—
Tylkoż tobie—poezjo ty Boska!
Ustępuje na moment ma troska,
Co mię skuła żelazną obręczą!

Świat obszerny i piękny i młody—
Czemu na nim tak mało swobody?
Same jęki, niewole, łańcuchy!
Świat bogaty, zbytkowny i strojny,
Czemu pobyt w nim trudny i znojny,
Żółć za napój—na pokarm—okruchy!

Smutno w sercu i w duszy—oj! smutno!
I pieśń dźwięczy wciąż nutą pokutną,
Niby psalmy nad trupem grzesznika—
Nawet słońce chmurami się skryło,
Wszystkie barwy tym mrokiem przyćmiło—
Wszędzie ciemność i smutek w głąb' wnika!

To i nie dziw—że serce śpiewacze
Tak drży ciągle tęsknotą i płacze,
Bo jak dziecię ciemności się lęka—
I choć czoło uchylam z poddaniem,
Oczy łzami zachodzą—pierś łkaniem—
Bo ta ciemność—to życie—to męka!

VANITAS VANITATIS.

Kwiatek więdnie—gwiazda w mroku
Niknie! Motyl wnet umiera—
Nic trwałego! W mojem oku
Łza tęsknoty błyszczy szczera.

Za powabem trwalszéj mocy
Duch mój tęskni, śledzi, woła—
Ale w zwątpień czarnéj nocy
Nic nie widzi dookoła!

Chyba ludziom wierzyć trzeba,
Co poecie kładą w głowę,
Że dostatek złota, chleba,
To zasady są życiowe!

Że się troszczyć nie należy
O duchowe sny, pragnienia—
Wszystko! wszystko! wiek uśmierzy,
Bo to złudy i marzenia!

NA WIOSNĘ.

I.

W różanym kwiecie miód słodki
I woń czarowna się mieści—
Motyle lubią łakotki,
Więc motyl z różą się pieści.

Do róży lecą pszczół roje,
Nie dla próżnego przesytu—
Lecz róża powaby swoje
Kryje od pszczółek odbytu!

Bo ona woli motyla,
Choć jego natura płocha—
Ku niemu listki rozchyla
I jego jedynie kocha!

Ej! różo! pszczółka poczciwsza!
Strzeż się tamtego zwodnika—
Barwa skrzydełek jest żywsza,
Lecz zdrada serce przenika!..

Różę ta mowa nie płoszy,
I mówi: dobra i chwila
Byle prawdziwej rozkoszy—
Nie chcę pszczół! wolę motyla!

II.

I znów wiosna—czas prześliczny!
Idę w pole zachwycona —

Wciągam oddech balsamiczny
Z uroczego wiosny łona.

Pierwszy kwiatek się ośmielił
Wyjrzeć z pod uschniętéj trawki—
Świat się cały rozweselił,
Ptaki wiodą swe zabawki.

Rwę zielone listki, kwiecie,
Uśmiechając się do wiosny,
I wesoła, jakby dziecię,
Nucę niebu hymn radosny.

Bukiet skromny, ale miły—
Właśnie trawką go wiązałam,
Gdy me palce zaczepiły
O kwiat zeschły—ah! zadrżałam!..

Chodź! łodygo! ty masz prawo!..
Wmieszczę w bukiet cię—choć z boku,
Bo na sercu mi coś łzawo...
Ah! tyś kwitła w zeszłym roku!..

Wtedy także—czas był miły—
Cudny!.. zdobny wdziękiem wiosny,
Dzisiaj—poszły do mogiły
Kwiatu listki—czar miłosny!..

Inna róża kwitnąć może—
Lecz z téj tylko suche szczątki,
A co było w tamtéj porze—
Dziś się liczy do—pamiątki.

PIEŚŃ SŁOWIKA.

Tu! tu! w cień listków róży—
O luba! spiesz!..
O nie bój się!.. Wszak nie ma burzy...
Kocham cię! Wiesz?..
Chodź! chodź! chodź! chodź!
Kochanie moje!
Słowiczko ty!
Czemuż tak twoje
Serduszko drży?..
Chodź! chodź! chodź! chodź!

Czy tak? czy tak? to moja prośba daremną?
Kryjesz się wciąż—i chcesz uciekać przedemną?..
Ah! ah! ah! ah!
Nie kochasz już?..
I kryjesz się,
Gdy w gaju róż
Z miłości drżę...
Ah! ah! ah! ah!

O nie! nie! tu jesteś! tu!
Luba! schwytałem ciebie!..
Ah! wśród miłości snu...
Tuż obok siebie...
To raj! to raj!..
W gaiku z róż
Pieszczotę daj!..
Twą główkę złóż...
Chodź! chodź! chodź! chodź!
W gniazdeczko me!

Ja kocham cię!
Chodź! chodź! chodź! chodź.

POETA I ŚWIAT.

Rzecz i tytuł—nienowe.

(Poeta tylko co skończył czytać i składa ze wzruszeniem rękopism—towarzystwo wynagradza sobie milczenie przymusowe—pojedyncze osoby zbliżają się doń zwolna).

Pan Faustyn.

No! tak! hm! powinszować! talent co się zowie!
Wiersz gładki—wcale, panie! dobrze się to składa!

Pan Franciszek.

I, panie dobrodzieju! niechże mi kto powie,
Zkąd to takie pomysły? Bo, proszę sąsiada—
Każdy z nas ma tam trochę nauki choć szkolnéj—
Wiadomości też różnych—przecież—pisać wiersze,
To przyznam się, że mimo me chęci najszczersze,
Dalibóg—nie potrafię!

Pan Faustyn.

Na to trzeba zdolnéj
I wprawnéj, panie, ręki!

Pan Franciszek.

No cóż? co do ręki,
Toć jeszcze umiem czysto pisać Bogu dzięki!

Pan Spirydjon.

Niech mi też wam, panowie, wyrzec wolno będzie,
Że obadwa jesteście w bardzo grubym błędzie!
Aby poznać poetę, trzeba znać kraj jego—

(Jest to znana przypowieść z poezji Götego).
Ja się z innego punktu na to zapatruję:
Trzeba tu psychologję obserwować ściśle—
Właśnie robię notaty—i pilnie studjuję
Rozwój ducha ludzkiego—bardzo nad tem myślę,
By historję poezji wyjaśnić odczytem,
Objaśnić słuchających wieloma rzeczami,
Co jest oda, poemat, co prawdą, co mythem—
Zapoznać ich z głównemi poezji wzorami,
I przystępnym mym stylem wyłożyć treściwie
O Homerze, Horacym, Słowackim, Krasińskim,
Co, mam błogą nadzieję, uda się szczęśliwie!

Pan Faustyn.

E! kiedy wy mówicie jakimś stylem chińskim—
Trudno sensu pochwycić!

Pan Spirydjon.

Tak! nadto technicznie
Zwykłem przedmiot określać—sam tę wadę czuję!

Anna.

Choć ja to tam te rzeczy nie bardzo pojmuję,
Lecz to, co pan czytałeś—to było prześlicznie!

Pan Spirydjon.

Co?—mój odczyt ostatni?

Anna.

Przepraszam! mówiłam
Do tego pana! (*wskazuje poetę*).

Pan Spirydjon (*zdekoncertowany*).

Aha!

Pani Faustynowa.

Ja tu osądziłam,
Że, aby tak sercowo opisać kochanie,
Trzeba...

Poeta.

Sercem czuć! pani.

Pani Faustynowa.

Ho! ho! widzę... śmiało
Samemu się przyznaje, że się, hm! kochało!
Tak! to tak?!

Poeta.

O nie! pani!

Pan Marek.

Oto ja, prawdziwie.
Tematowi tych wierszy niezmiernie się dziwię —
Lepiéj było obrobić przedmiot historyczny,
Bo to tam, licha warto! ten zakrój liryczny!
W gruncie ni to, ni owo!

Pan Spirydjon.

Mając na uwadze
Młodość, dobrą chęć pana—szczerze tu obwieszczę
Moje zdanie! Polegać na jego powadze
Możesz trochę.—No, otóż, poczekajmy jeszcze!
To, to, niezłe to nawet te twoje wierszyki,
Lecz styl niewygładzony, pomysł trochę dziki—
Radziłbym tłumaczenia trochę popróbować—
Przeczytaj Wirgiljusza—albo też Bajrona—
Znasz?—ano—to innego wybierz z wieszczów grona—
Zawsze, sądzę—że dotąd—nie masz co drukować!
Zmienisz twe przekonania—więc tego—nie warto!
Ot wiesz—wczoraj zacząłem bojową pieśń czwartą—
Powiadam ci—przepiękna! Tu jęki! tam strzały!
Tu ryk dział! niby trzaski wielkiéj morskiéj trąby!
Tam łzy niewiast z ócz lecą, a tu z góry—bomby!
Wszystko jest wyrażone: krzyk, wrzask, zamięszanie,
Tu człowiek padł nieżywy i leży!—konanie

Zajmuje pół arkusza bitym charakterem—
Bo też on—został właśnie głównym bohaterem,
A jego narzeczona patrzy na to z ganku,
I mdleje od szlochania, marząc o kochanku!
To piękne—prawda?.

Pan Faustyn.

Wątpię! Ale oglądałem
Właśnie rękopism pana—

Pan Spirydjon (*ucieszony*).

Mój?!

Pan Faustyn.

Nie! ten to właśnie,
I dziwię się, że mało poprawek widziałem!

Pan Franciszek.

Powiedz mi pan dobrodziéj—czy to tylko baśnie?
Czy prawdziwa historja?

Poeta.

Prawda!

Pan Franciszek.

Nie słyszałem
Nigdy o czemś podobnem! Ha! może!

Pan Faustyn.

Więc panie,
Czy to twoich utworów od ręki pisanie?
Tak?! to źle! Starem, dobrem było to przysłowiem,
Że im kto więcéj maże, tem lepiéj napisze!
Święte przysłowia ojców—trzeba słuchać—bowiem—

Panna Eulalja (*półgłosem*).

Jak pan cudnie skreśliłeś to tkliwe zacisze,
Gdzie ptaszęta świergoczą—a strumyczek płynie—
Gołąbeczki w dziobeczki czule się całują,

I kuka kukułeczka na pięknéj wierzbinie—
Ah! to jakbym tam była!

Pan Spirydjon.

Panie go zepsują
Zbytecznemi pochwały!

Pan Faustyn (*do poety*).

Niechno pan posłucha—
Zbawiennie to podziała na myśl twego ducha,
Jeśli będziesz poprawiał, przepisywał, mazał!
Nasz nieboszczyk profesor, pismak był nielada!
Po dziesięć razy jedno przepisywać kazał,
Ledwo mu jedenaste do gustu przypada!

Poeta.

Ależ panie! to przecież nie ćwiczenie szkolne!

Pan Faustyn.

No! dobrze to pojmuję, że to jest mozolne,
Ale trzeba pracować!

Poeta.

Praca mię nic trwoży!
Ale źródło poezji nie jest wprawą, sztuką,
Nikt go odkryć nie zdoła pracą swą, nauką—
To jest nadprzyrodzony i święty dar Boży!
Natchnienie to jest Znicza iskra niezgaszona,
Którą poeta, rodząc się na świat, odbiera—
Z duszą, sercem Bóg składa je wśród jego łona,
Ostatni jego płomień—wraz życiem zamiera!..
Nikt ptaków nie nauczył śpiewać—a śpiewają—
I poeci pieśniarze ten przywilej mają!

Pan Franciszek (*półgłosem*).

O! kanarek wyśpiewa wszystko z pozytywki!
Ja sam go nauczyłem bardzo pięknéj śpiéwki!

Poeta.

Ja kanarkiem nie będę! nie jestem pojętny!..
Wyśpiewam to, co w piersi dźwięczy niebios echem,
Mnie poklask, sąd słuchaczów—prawie obojętny!
Nie zrażę się krytyką—nie smucę ich śmiechem!
Nie trzeba mi uznania, oceny, zachęty—
Ja się czuję poetą!.. Natchnień zapał święty,
Uczuć moich potęga—to są skrzydła moje!
Piękno, Prawda i Dobro—moje niebo jasne!
Ponad nędzę ludzkości—ponad troski własne,
Nad brudne błot kałuże—nad łez gorzkich zdroje
Unoszę się, ulatam—daleko ku górze,
Jak orzeł w słońcu blasków swe oczy zanurzę,
Bo mnie światło nie olśni!

Pani Faustynowa.

Wróć-no pan na ziemię!

Poeta.

Wracam! o! ja się ziemi nigdy nie wyrzekam!
Ona jest moją dobrą matką karmicielką—
I nie często się od niéj odrywam, uciekam—
I czuję dla niéj miłość, litość, wdzięczność wielką!
Kocham ją! moich braci! chociaż niewzajemnie!
I pragnę im poświęcić całe moje życie—
I druha serdecznego zawsze mają we mnie!
A choć czasem ich pocisk dosięgnie mię skrycie,
Nie mam żalu, lecz litość tylko we mnie budzą,
Bo mnie bryzgi nie plamią—a oni się brudzą!
Jabym pragnął zdrój czysty w ich serca przelewać—
I zmywać wstrętne ślady błota na ich czołach,
I duszę moją całą w poezji wyśpiewać,
By tam, gdzie zapomnieli już o apostołach,
Pieśń missję apostolską dokończyła—świętą!..

I wszędzie z ludzkim duchem bratając się blisko,
Każdy krok i myśl nową—pracę rozpoczętą,
Czy w pałacu lub chatce, domowe ognisko,
Znojne trudem, lub kwieciem ustrojone czoła,
Aby natchnęła czystem, podniosłem pragnieniem,
Osłoniła jak skrzydłem opieki anioła,
Rozjaśniła słonecznym, duchowym promieniem!..
To zadanie, powinność, uczucie poety!
A jeśli głos na ustach zmilknie—moc swą straci,
Toż pieśń serca odczują przecież serca braci?..
Nieprawdaż?.. Wszyscy milczą!..

Młoda kobieta (*zbliża się i podaje mu rękę*).

Niestety! Niestety!
Szkoda cię!..

Pan Spirydjon.

Młody panie! strzeż się egzaltacji!

Poeta.

Dzięki ci! dobra siostro!

Lokaj.

Proszę do kolacji!

(*Ruch ogólny i pospieszny. Fizjonomje się wyjaśniają, poeta i kobieta zostają w tyle*).

DO PIEŚNI.

Leć pieśni! jak ów gołąb biblijnej pamięci,
Z arki puszczony w przestworze—

Którego nic nie wstrzyma—zdobycz nie przynęci,
    Śmiało wzlatuje nad morze.

I z gałązką lauru do Pana powraca!
O pieśni! przebądź mężnie walki i przeszkody!
Bądź posłanką pokoju, dobra i swobody—
Dla mnie—może laurem będzie własna praca!

KONIEC.

SPIS RZECZY.

	Strona.
Urszula Zmorska	1
Po skonie, fantazja marzyciela	78
Ideał kobiety, obrazek sceniczny	99
Regina, obrazek dramatyczny	147
Róże, poemat podsłuchany	204
Skarga	214
Con fuoco	216
Różne losy	217
Dramaty jesieni	218
Bajka warjata	222
W chwili zwątpienia	227
Jaśniejący promień	228
Nocturne	229
Tęsknota	232
Co ja lubię	234
Z życia poety	—
Fragment	236
Nie wróci	237
Fragment	239
Dumka	—
Strofy oderwane	241
Vanitas vanitatis	248
Na wiosnę	249
Pieśń słowika	251
Poeta i świat	252
Do pieśni	258